

BRATANKI.

Powieść

Z PODANIA POCZĄTKU XVIII WIEKU

przez

J. I. Kraszewskiego.

TOM II.

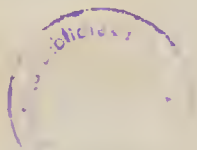
WARSZAWA.

Nakład Gebethnera i Wolffa.

—
1879.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 23 Июля 1879 года.



I. Z panem Wojskim.

O panu Wojskim. Feliksie Wereszczace ze Zdunki, nie mówiono inaczej, tylko choć go do rany przyłożyć; człek był dobry, mało rzec, wysmienity, serdeczny, ludzki, uczynny, przecież wadę miał jedną i kapitalną. Lubił się bawić i to czynić, co mu fantazyja podyktowała, lub serce; co mus, lub obowiązek nakazywał, wstrętném mu było.

Pieszczony niegdyś jedynak u matki, człowiek majątny, na wsi swój pan wszechwładny, nawykł życie trawić po swój myśli, inaczej go też nie rozniósł. Dlatego może choć już nie zbyt młodym był, nie ożenił się dotąd, mieszkając z matką staruszczką, którą kochał i wielbił; ona go jeszcze podpieszczała i tak sobie lata płynęły prawie bez chmurki. Człłek był wcale nie bez zdolności i owszem, umysłu bystrego, pamięci wielkiej, szlachetnego serca, marzyciel i projekcista namiętny, ale próżniak, jakiego świat nie widział; tylko znowu, gdy mu co serce przypie-

kło, nie tchnął, nie spoczął, nie zasnął, póki na swém nie postawił.

Część życia spędzał na różnego rodzaju polowaniach, potem na wesołych zabawach, a w domu czytał sobie, co go bawiło i na skrzypcach grywał. Ci, co go słyszeli, mówili, że grał wcale pięknie i mógłby się był popisywać, gdyby chciał, częściej jednak grywał tylko dla siebie. Żył się w Zdunco bez troski z dnia na dzień, szukając rozrywek a bardzo wygodnie, substania starczyła. Gość gdy przybył, choćby rok mieszkał, nie dano mu uczuć, ażeby się stał ciężarem, to też na rezydentach nie zbywało.

Przy pani stolnikowej Wereszczakowej, matce, siedziała daleka jej krewna panna Szukszeianka Elżbieta, ładna i miła panienka, było też i nboższego francymoru panien kilka. Matka zajmowała ze swoim dworem stary dom pradziadowski, zwany Stolnikowym; pan Feliks zaś, aby matce nie być zawadą i swojemu gościowi pokoju jej nie kłócić, pobudował sobie w brzozowym gaju tuż za ogrodem podług swej myśli nowy dwór, który zwano Wojskim.

Od Wojskiego do Stolnikowego dworu wiodła piaskiem wysypana ścieżka i widać go było nawet z dziedzińca, bo brzóz nieco przecięte. Nowy dwór wyglądał nieco dziwnie, gdyż pan Feliks żadnego budowniczego nie słuchając, sam go sobie stawiał ku własnej wygodzie i na symetrię się nie oglądał. Na dole była sala duża jedna i druga, sieni, parę pokoiów dla ludzi, a na górze mieszkalne izby pana Woj-

skiego, tak urządzone, iż gdy sam chciał być i na skrzypkach się wygrać, albo się z książką zaniknąć, wtedy jedyne schody na górę wiodące wciągał za sobą i to znaczyło, że nikogo nie przyjmował.

Wygodnie było dosyć, ale nie pięknie. Na górze oprócz sypialni, był pokój myśliwski, pokój do muzyki i biblioteczka. Ludziom ta budowa cała z ogromnych kłód sosnowych w zamki złożona nie przypadała do smaku, śmiano się z niej, nakłaniano nawet stolnikową, ażeby synowi perswadowała, by sobie dwór wedle starego obyczaju wystawił, staruszka wszakże odpowiadała — a dajcież mu pokój, co to komu szkodzi, jeśli jemu z tém lepiej, nie sprzeciwiajcież mu się.

I nikt się panu Feliksowi nie sprzeciwiał, nawet los który mu sprzyjał zawsze, nieczemni spokoju jego nie znęciwszy.

Po uściskach na gościńcu, Wereszczaka ani sobie mówić nie dając, by inaczéj być mogło, zabrał zaraz do siebie do Zdunki i Piotra i wszystkich ludzi, osobną drogą wiodącą wprost do Wojskiego prowadząc ich za sobą, pilno mu niesłychanie było dowiedzieć się o losach przyjaciela, którego był pogrzebił i opłakał.

W drodze po kilkakroć go ścisnął z niekłamana radością, a gdy nareszcie na dole w salce się znaleźli sami u wieczornego stołu, bo staruszka jadła wcześniéj i kładła się spać z kurami, Feliks gorąco nastą-

wać zaczął na pana Piotra, aby mu swą historję opowiedział.

— Nie śpieszno mi było z nią, rzekł wzdychnąwszy gość, bo tak smutną jest, a przykrą będzie dla ciebie, iżbyś się dowiedziawszy jój, rad potém z pamięci pozbył, lecz tajemnicy dla ciebie żadnej mieć nie chcę.

Niepotrzebował pan Piotr historyi młodości swęj przypominać, znał ją bowiem dobrze Wereszczaka, opowiedział tylko w tych prawie słowach, co pani kasztelanowój, przygody swe z bratankiem, ową zasadzkę, rażenie śmiertelne, ocalenie, tatarską i turecką niewolę, naostatek ucieczkę i przybycie. Pan Wojski, który był wielkim dziwnych przygód w książkach czytanych lubownikiem i łatwo się do nich zapalał, ubolewając zawsze, iż na świecie z uiczym tak osobliwém spotkać się nie było można, a po raz pierwszy w życiu usłyszawszy taką tragedję rzeczywistą, zapalił się do nięj i jój bohatera nadzwyczajnie.

Słuchaniem owego opowiadania nasycić się nie mógł, pytał, dziwił się, słuchał, wykrzykiwał, w ręce klaskał, a na ostatek począł ścisnąć i zaklinać na wszystko najświętsze pana Piotra, aby mu on téż dozwolił sobie czynnie pomagać dla dopięcia celu: oswobodzenia żony, ratowania dziecka i pomśzczenia się krzywdy na Wicie. Głowa mu i serce porzeziwie płoneły do téj myśli, by téż jakąś rolę odegrał w tak rzadkich a szczególnych przygodach.

— Mój Piotru, moja duszo, zawołał, o Jezu najśladzszy! dozwólcież mnie wam przyjsć w pomoc głową i dłonią. Dalipan, że ja się téż wam przydam na coś, zobaczycie. Worek mój, rękę, pracę, czas, wszystko wam najchętniej poświęcę. W takim wypadku, ani dwoma, ni trzema pomocnikami gardzić nie należy. Wita znam, choć go jeszcze z czynów ukrytych nie znałem bliżej, ale mi charakter człowieka był widny, przeczuwałem go zawczasu. Rzuci się on najzuchwałej na wszystkie sposoby ocalenia, i nie pójdzie z nim tak łatwo, jakby się zdawało. Prędzej nas zabraknie, niż będzie za wiele. Macie dowód na tém, co z księdzem pocziwym zrobił i jak sobie ważył skruczę, macie lepszy jeszcze w tém, że Neligę na was nasadził. Wszystkiego się tu obawiać potrzeba, ścigać go na wszelkich drogach i mieć się na baczności. — Piotru! Jezu najśladzszy, ja z wami, nie puszcę was samych, ja z wami!

I począł znów ściskać, niemal dusząc, ażeby go z sobą wziął za pomocnika i towarzysza.

— Mój drogi Feliksie, rzekł Piotr, ja ci najwdzięczniejszym jestem, i nie tylko ofiary nie odrzucam, lecz ją z serca gorącego przyjmuje jako dowód przyjaźni. A mimo to. bolesno mi, że się narażać dla mnie będziesz.

O tém ani mowy, przerwał pośpiesznie Wojski, chwilki najmniejszej do stracenia nie mamy, radzić należy, a jutro do dnia w pogoń się wybierać, języka dostać i ścigać, ścigać, dopóki zdrajcy nie złapiemy.

— Tak, ścigać, odparł Piotr, ale gdzie? jak? wiatru w polu? Trudno odgadnąć, dokąd on zemknął i jakimi drogami?

— Owszem, zdaje mi się, że odgadnąć łatwo, zawołał Feliks, nie mógł gdzieindziej ujsć, tylko na dwór, w którym ma przyjaciół, opiekunów i protektorów. Drogę wytropim. Dodać należy, iż nie sam, ale z żoną i dzieckiem uchodząc, zatrzcć tak łatwo za sobą śladów nie może. Powóz, konie, ludzie do poznania łatwi, zmieniać zaś ich nie będzie miał czasu. Moim zdaniem tajemnicy czynić z tój sprawy ani można, ani należy. Hańba nie spada na rodzinę, boć wyrodki są wszędzie. Między apostołami znalazł się Iskariota.

— Ale rozgłosu unikać trzeba.

— Gdy nie sposób go uniknąć, nie ma co o nim i myśleć, rzekł Wojski, rozbęhni się to szybko, aby jeden wiedział, a wić już nie jeden. Prózne to więc staranie, kryjąc rzecz, zrobić nic nie podobna.

Piotr zwiesił głowę na piersi, nie było co odpowiedzieć.

— Ja na całą noc, gorąco począł Wojski, śle trzech ludzi, aby języka dostali. Z żoną i powozem ciężkim uchodzić nie mógł inaczej, tylko drogami większemi, tych u nas wiele nie ma. Ludzie i konie znaczne. Spoczniesz tu i prześpisz się, a nim ranek nadejdzie, moi ludzie powrócą. Niech koniom karki kręcą, a języka dostaną. Mań takich, dodał pan Wereszczaka, że z pod ziemi by go dostali.

Z żywością człowieka, któremu spadło razem na serce upodobane zajęcie i na fantazję mrzonka po-
nętna, zakrzętnął się pan Feliks.

W dziesięć minut potem stał u drzwi dojeżdżacz
jego, którego używał do spraw różnych, a zawsze
bardzo szczęśliwie.

— Słuchaj Damianek, dobrze na was namotaj
i zrób, co powiem. Jutro do dnia musisz być z po-
wrotem, wyjedziesz na trakt, który idzie z Bożej
Woli ku Warszawie, będziesz pytał, kędy szedł po-
wóz rotmistrza, który tamtędy jechał z żoną, dowiesz
się, kiedy przejeżdżał, gdzie popasał i nocował, czy
z traktu zwrócił, jak; koni możesz sobie zajeździć
dwa, to ci wolno, ale z próżnemi rękami, powrócić—
wara.

Damianek rzucił pytań parę. pokłonił się i w pięć
minut ruszył na przelaj wyciągniętym kłusem. Dru-
giego i trzeciego ze stajennych wyprawiono w in-
nych kierunkach na wszelki wypadek, poczem Woj-
ski poszedł broń opatrywać; konie sposobić, pienią-
dze w ruloniki pieczętować i do drogi się gotować
tak, aby naza jutrz mógł ruszyć choćby do dnia.

Późno w noc rozprawiali z Piotrem. W poczei-
wego próżniaka nowe życie wstąpiło, znalazł sobie
zajęcie, kłopot wedle serca. Czekał tylko rana, aże-
by się staruszcze opowiedzieć, że na wielkie polowa-
nie jedzie aż do białowieżskiej puszczy, a potem do-
piero, hulaj dusza! Uśmiechało mu się dziwnie to
szastanie po świecie, ta pogoń i rycerskie stawanie

w obronie kobiety i dziecka, w sprawie przyjaciela. O skrzypcach nawet zapomniał, iż się z niemi na doryć długo rozstać przyjdzie. Całą też noc potem zasnąć nie mógł, z boku na bok przewracając się, a wymyślając sobie przygody, w których mu los da być uczestnikiem. Obiecywał je sobie w reptularzu starannie zapisać.

Zaczęło dzień, i nim się ludzie we dworze ruszyli, już Wojski był na nogach, staruszka stolnikowa, która się kładła zawczasie, wstawiała też do dnia. Obyczaj ten znał syn. Często zimową porą przy świecach odprawiała rannę modlitwy i kawę sobie podawać kazała. Jeszcze słońce nie weszło, a w sypialnym pokoju okno było otwarte i budzące się wróble miały już posypyany chleb, którym się ledwie przebudzone karuiły. Staruszka siedziała w krześle, z okularami swemi na nosie, z książką na kolanach, a dziewczęta się zwijały, aby kawa była na zawołanie gotowa. Po cichutku wszedł Wojski dać — dzień dobry. Staruszka go zdala znać przeczuła, skończyła prędko nabożeństwo, okulary schowała w książkę i gdy przyszedł ją w rękę całować, uściśkała za głowę biorąc, podniosła nań oczy ciekawie.

— Cóż to z ciebie dziś za ranny ptaszek? pewnie polowanie?

— Zgadła mancia, rzekł Feliks, i to jeszcze bardzo paradne, a dalekie, bo... aż... w Białowieży.

— A po cóż ci to tak daleko się wlec za zwierzem, kiedy go tu podostatkiem masz? po co?

— Tu, mamcin droga i o łosia już trudno, a tam na żubry zapolujemy.

— Tylkoż mi się nie narażaj.

Syn ją w rękę pocałował, prosząc, by była spokojną. Stólnikowa pomilczała chwilę i zaczęła zwolna:

— Powiem ci Felisin, co za dziwny sen miałam tej nocy, muszę dać na mszę za duszę nieboszczyka Piotra Zagłoby.

Wojski aż się z krzesła schwytał.

— Cóż to było? rzekł żywo.

— Śnił się Piotr, ale jakbym go wczora widziała, smutny, zestarzały, niby do naszego domu przybył i o pomoc prosił.

Wojski pobladł aż.

— Ale, moja mamcin droga? czyż to być może? z kąd sen taki?

Staruszka ramionami ruszyła.

— Sama nie wiem. Gdyście wczoraj z tym gościem, który do was z Rachowój przybył, jechali do Wojskiego, widziałam was przez okno zdaleka, choć o mroku, na myśl mi przyszedł czegoś Piotr i z tego pewnie sen, ale za duszę dać potrzeba.

Drżąc pocałował Feliks matkę w rękę.

— Niech mamcia za jego duszę nie daje, rzekł, nie ma dotąd dowodu, że nie żyje, kto to wie?

— A przecież się Wit z jego wdową ożenił? dodała.

Wojski ramionami ruszył, nie nie odpowiadając,

lecz to jasnowiedzenie macierzyńskie raziło go i przstraszyło. Miał ją zawsze za wielce świątobliwą niewiastę, teraz zdało mu się, że jój sam Pan Bóg zatajone objawiał rzeczy. Grzechem uczuł, że przed nią skrywał to, co ona przeczuwać umiała. Obejrzał się tylko, czy ich kto nie słuchał i cały blady, rzekł cicho do matki.

— Matuniu kochana, sen twój był snem proročzym, nie mogę dłużej kryć przed tobą, pocziwy Piotr ocalony został, żyje i jest u mnie.

Staruszka krzyknęła zdziwiona, Wojski pohamował ten objaw zbyt głośny i cicho począł jój szeptać wszystko, co wiedział. Modliła się, słuchając a sławiąc Opatrzność Boską, łzy potoczyły się jój z oczów, a miłość gorąca dla syna wezbrała, gdy się dowiedziała, iż szedł ratować przyjaciela. Ani go chciała wstrzymywać, ani mu śmiała odradzać. Relikwie dała na drogę, zakrzatnęła się, żeby pieniędzy nie zabrakło i płacząc, pożegnała się z synem, nie domagając się nawet widzieć na jawie tego, którego we śnie widziała, aby jemu nie dodawać troski.

Po tysiąc razy powtórzyła synowi, ażeby się dla niej oszczędzał, pobłogosławiła, ucałowała, a gdy drzwi się za nim zamknęły, spokojna zaczęła się modlić.

Wysłanego Damianka nie było dotąd, wszystko zresztą gotowe do podróży czekało, lecz ruszyć nie było podobna bez jakiejś pewniejszej wskazówki. Słońce się podniosło dobrze, gdy ów dojeżdżacz na

zbielałym od potu koniu dopadł stajni i przybiegł zdać sprawę panu. Oba na przeciw niemu wybiegli.

Damian doszedł tylko potrafił, iż rotmistrz z żoną udał się do Borszczówki, lecz co się dalej stało, czasu nie miał tropić, gdyż by inaczéj o naznaczonéj nie powrócił godzinie. Drugi posłaniec potwierdził toż samo, dodając, iż powtórnie rotmistrz, u proboszcza Kromowicza konie wziął siłą i też do Borszczówki pośpieszył.

Zdawało się Wojskiemu i Piotrowi, iż się tam może ukryć, postanowił, że go tam jeszcze osaczają i wezmą. Pośpiesznie więc siedli na konie, jak najprostszą drogą puszczając się do rezydencyi Szwalbińskiego. Wojskiemu był on znajomy dobrze, ale szlachta z nim w ogóle nazbyt się nie bratała, a wstręt budził obcemi obyczajami, które ze dworu saskiego przejął. Cierpiano je w królu i jego otoczeniu, w innych znieść było trudno, prędzej francuzką manierę i obyczaj pobłażliwie przyjmowano. niżeli niemieckie te, które też przekręceniem tylko były i popsuciem francuzczyzny z czasów Ludwika XIV-go.

Śmiano się ze starego Szwalby, jak go zwano, a choć kto do niego zawitał, nie popasał długo, chyba kielichy lubił i na wino był głodny. Wiedzieli oba panowie, iż rotmistrz z czasów pobytu w Saksonii i u dworu miał z nim zażyłość i nie dziwiło, iż się postanowił skryć w Szwalbburgu, gdzie dosięgnąć go było trudno.

Z pomocą Wojskiego zebrani ludzie pewni, składali teraz dosyć liczny orszak, który do piętnastu głów dochodził. Wszyscy byli dobrze zbrojni, odważni i zręczni, każdym się posłużyć było można. Ponieważ cała okolica myśliwemu Wereszczace doskonale była znana, a wóz rzucili w Zdunce, mogli więc konno na prost się przez lasy przedzierać, wiele oszczędzając czasu.

Każdy wioził na wypadek w trokach potroszę owsa dla konia, więc się o gospodę nie bardzo potrzebowali troszczyć. W lesie koniom wytelnawszy i dawszy jeść, śpiesząc, jak tylko było można, przed wieczorem jeszcze dobili się do Borszczówki. Wioska stała na suchym łądzie, zameczek zaś na stawie naśladował Moritzburgski. Wiodła doń grobla długa, pośrodku której stał młyn. Ze Szwalbburga wyjechać inaczej, jak tą drogą nie było podobna. Część więc ludzi z bronią zostawiono przy młynku, a Piotr, Wojski, Kulesz i dwóch konnych, pojechali wprost do dworu.

Cisza i spokój panowały około niego, przed stajniami nie widać było powozów. Zsiadających wszakże w ganku powitał Cockius i na zapytanie odpowiedział, że pułkownik rad gości zawsze przyjmie. Gdy o nich oznajmiono, otworzyły się podwoje dolnych pokojów, a w drugim, na fotelu poduszkami wysłanym, z nogami poobwijanymi ukazał się gospodarz, blade, smutny i z bardzo posępną miną.

Pana Piotra nazwiska nie widziano wymieniać potrzeby.

Wojski przywitał się z sąsiadem, a przedstawiając mu przyjaciela, tak zakreślił językiem, iż gospodarz nie usłyszał, kto był, a pytać powtórnie nie śmiał.

— Kochany pułkownik, odezwał się Wereszczaka, coś mi blado wyglądasie.

— Co za dziw! westchnął stary, miałem okropny wypadek.

— Cóż się stało!

— Tragiczna historia, rzekł pułkownik, dawny mój znajomy, rotmistrz Zagłoba, zajechał do mnie z żoną. Żonę u mnie zostawił, a sam gdzieś wybiegł za interesem. Poszedłem jęjmości złożyć attencyę, w tém, rzecz niespodziana, prosi mnie o pomoc przeciwko opressyi własnego męża, odzywa się do rycerskiego mojego charakteru.

Piotr zerwał się aż słysząc to, Wojski i on spojrzeli po sobie.

— Rozumiecie panowie, dodał pułkownik, iż odmówić nieszczęśliwej kobiecie byłoby zbrodnią. Dałem straż, zapewniłem ją, iż się jęj przeciwko woli nie stanie; westchnął — chciała koniecznie wracać do ciotki. Najsurowsze wydałem rozkazy. Nadjechał mąż, przyjąłem go, jak należało, ale cóż? nieciota ten, korzystając z mojej choroby, bom miano zapadł na moją podagrę, zmówił się z niegodną kobietą, ochmistrzynią dworu, już dziś wypędzoną

ztał na wieki, żonę gwałtownie a zdradliwie pochwycił i uciekł.

Piotr ręce załamał i krzyknął z boleścią:

— Dokąd? dokąd?

— Któż może wiedzieć?! Nocą uszli, dodał Szwalbiński, gdy tu z rana wstawszy dowiedział się o tém, mało mnie nie ubiła apopleksya, małom ludzi ja nie ponijał. Nieszczęśliwa niewiasta, tak mi się wydała interesującą, tak nieszczęśliwą, tak biedną, a ten człek tak grnbiańskim tyranem. Otóż, dodał, dlaczego mnie panowie zastaliście jak z krzyża zdjętym. Wiecznie tę chwilę oplakiwać będę.

Westchnął i starowinie na wspomnienie biednej kobiety łza po policzku pociekła.

— Przyznam się pułkownikowi, odparł Wojski, iż my w interesie tej pani właśnie przez wojewodzinę jej ciotkę jesteśmy wysłani. Nie zdziwisz się więc pan, że wpadłszy na trop, co najrychlejsz w pogon się puścimy.

Szwalbiński w ręce klasnął.

— Patrzcież! patrzcie! zawołał, jak to się złożyło. Bogdajbyście potrafili moją winę naprawić, a odbić tę nieszczęśliwą ofiarę.

Wojski wstał.

— Musimy pożegnać pułkownika i pośpieszać, wpadłszy na trop, dzień i noc gonić będziemy.

Kłaniali się już, ale niespokojny stary za rękaw powstrzymał Wojskiego.

— A bój że się Boga! a toćbym ze wstydu

umarł! nie jadłszy i nie piwszy odemnie uciekać, na to nie pozwolę.

Począł dzwonić.

— Herr Cockins!

Słudzy nadbiegli, od kielicha wymówić się nie było podobna, lecz Wojski i Piotr, którym pilno było, wypiwszy na zdrowie gospodarza, nie słuchając już wymyślnych toastów dalszych, uciekli ze dworu, dosiedli koni i rozpytawszy się o drogę, jaką mógł wyjechać dalej rotmistrz, nie zważając na zbliżającą się noc, puścili się wskazanym gościńcem ku stolicy.

Pulkownik pozostał sam, a tém nieszczęśliwszy, iż gniewu ofiarą musiała paść Madame Siegfried, którą wypędził, ale mu jój starani wielce teraz brakło. Żałował poniekąd, iż się tak z surowym wymiarem sprawiedliwości pośpieszył, nie wiedząc, iż, pewna siebie kobieta, zeszła mu z oczów, lecz na ustroniu czekała pierwszego stęknienia, by wrócić nazad do chorego, co się jój już nie jeden raz udało. Szwałbiński nie pytał potém, zkąd wygnana się wzięła i puszczał winy w niepamięć.]

II. Na Saskim dworze.

Pogoń przez całą tę noc szła, można powiedzieć, szczęśliwie, gdyż wszędzie natrafiali na ślady niewątpliwe rotmistrza. Z kierunku drogi wnoszono, iż jechał do Warszawy, a choć znacznie ścigających wyprzedzał, nie szedząc koni, nadrabiając nocami, coraz bliżej się uchodzącego znajdowali. Wedle obliczeń Wojskiego, który w tej podróży okazał się na podziw przebiegłym i jakby do podobnych wypraw stworzonym, powinni byli przed stolicą jeszcze napędzić rotmistrza. Układano już zawczasu, jak postąpić należało, gdyby go mogli tu pochwycić tak, aby Maryi i dziecku przestraszu i niebezpieczeństwa oszczędzić. Stało na tém, by nie inaczej jak na nocelego gospodę ostąpiwszy, wpaść do niej i kobiety najprzód odbić, chociażby już Wit im umknął.

Nadzieja wszakże dogonienia zawiodła wkrótce, gdyż rotmistrz na swoje konie zmęczone się nie spuszczaając, rzucił je po drodze, a pocztowe wziął i świeżemi pośpieszwszy, znacznie ich znowu wy-

przedził. Spotkali cug, któremu kazano nazad wracać do Bożej Woli. Zastanawiano się nad tém, bo odesłanie koni zdawało się oznaczać, że chyba w Warszawie pozostać nie miał myśli, ani nawet czekać na nie, by je sprzedać. Inaczej trudno było przypuścić, ażeby uchodzący, któremu każdy grosz był drogi, z pięknego cugu nie korzystał, oddając go choćby za pomierną cenę. Okoliczność ta pomieszała szyki Wojskiemu i Piotrowi. Musieli i oni pędzić też i zmniejszając liczbę ludzi, którym wolniej jechać kazano pod dozorem Kulesza, świeżemi końmi gnać uciekającego.

Nie schwycili go jednak nigdzie przed stolicą i musieli smutni a znękani, zaledwie przybywszy tu, puścić się natychmiast na zwiady. Jakkolwiek miasto dosyć było obszerne, jeszcze naówczas znacznieszemu człowiekowi, z rodziną i dworem skryć się tu na długo nie było podobna.

Nie wiele miejsc dla podróżnych przeznaczonych było, większa część obywateli ze wsi, miała tu swe domy, dwory i pałace, do których zajeżdżała, inni jeżeli się wybierali, wcześniej musieli starać się o pomieszczenie, a kto jak rotmistrz przybywał nagle, nie mając ani zamówionego domu, ani przyjacielskiego, do którego by w gościnę zajechał, z trudnością mógł w dwóch czy trzech porządniejszych tylko gospodach znaleźć chwilowy przytułek. Wojski ledwie z mostu, popędził przodem, wiedział, gdzie szukać Wita, który tu dworu własnego nie miał. Na Tłó-

mackiem trafił jak w dym na świeży ślad. Rotmistrz tu wczoraj przybył, do pałacu saskiego chodził, po konie pocztowe posłał i rano wyruszył w drogę. Czy ta podróż była istotną, czy zmyśloną, dosyć że ślad ginał.

Na poczcie Niemcy nie mieli zapisywanych podróży, tegoż dnia i niemal o téj saméj godzinie wyjechało kilka pańskich karet i dworów do Drezna. Króla bowiem podówczas w Warszawie nie było, miasto puste, a że się go nie spodziewano rychło, z pilniejszymi sprawy podążał, kto mógł, do Saksonii. Z rozmaitych poszlaków wnosić się dawało, że i rotmistrz z żoną i dzieckiem tam udać się musiał.

Jak skoro w kraju go pochwycić już mało było nadziei, a na obcej ziemi szukać należało, sprawa znacznie się stawała trudniejszą, tam już ani go siłą myśleć było brać, ani otwarcie występować, musiano chytrą, przebiegłością, sztuką niemal przyjsć najprzód do odzyskania Maryi, a potem do pochwy - cenia złoczyńcy.

Konie zmęczone, potrzeba obmyślenia środków, narady, zmusiły choć dzień jeden tu pozostać. Wojski nie wiele miał stosunków, rotmistrz żadnych, co było ludzi czynniejszych i wpływowych, siedzieli po wiejskich rezydencyach lub w Saksonii, w Warszawie stosunkowo było ich mało. Wereszczaka tylko niezmordowanie się krzątając i zużytkowując najmniesze stosunki, o jakich mógł sobie przypomnieć, wydobył tę wiadomość o Wicie, iż w szczegól-

niejszych był łaskach, zarówno u skromnie naówczas na drugim planie stojącego hrabiego Brühl, jak u Sułkowskiego. Pierwszy z nich, jak wiadomo, karierę swą faworyta rozpoczął był jeszcze za Augusta Mocnego; drugi zdawał się zwiastować wschodzące słońce przy młodym saskiego tronu następcy, a prawdopodobnie i polskim nowym elekcie. W tym czasie August Mocny nie był tym sławionym ze wspańiałości, przepychu, miłostek, galanteryi i rycerskiego charakteru monarchą, w którym rywala Ludwika XIV czciły Niemcy; wiele klęsk doznanych, poniesionych strat, sam wiek wreszcie uśmierzył namiętności i poskromił bohatera. Zmiana ta wszakże widoczniejszą była dla otaczających króla zbliżka, niż dla tych, co nań z pewnej odległości patrzyli. Pozory życia zostały też same, potrzeba nienasyconych zabaw, roztargnienia, intryg, awantur. trwała jeszcze, choć już stała się formą i nałogiem podsycanym przez tych, co z niego korzystali. Königsmark i Cosel zastąpiła Orzelska, miłość rodzicielska, miłostki płochy zakulisowe, ale i to przywiązanie ojcowskie przybierało tak dziwne formy, iż dla oczu nieświadomych mogło jeszcze na intrygę nową wyglądać. Balety, maskarady, teatru. karuzele, koncerty, ucztę wspaniałe, polowania kosztowne, następowały jedno po drugich, chłonęły summy niezmiernie, ale już król się niemi nie bawił.

Znużony, wysilony, skosztowawszy wszystkiego na świecie, ostatni może odbłysek wesela czerpał

jeszcze w pełnym kielichu, ostatnie nasycenie w po-
chlebstwach bałwochwalców, padających na twarz
przed Herkulesem północy.

Formy pańskiego życia nie zmieniały się, treści
już w nich nie było. Wspaniała postać nie ugięła się
jeszcze ani pod lat ciężarem, ani pod rozrzutnością
sił i życia, lecz z twarzy jeszcze promienniej, wiało
już coś smutkiem trupiim, pokrytym, tajonym a wi-
docznym. Obok tego świetnego słońca zachodzącego
z przepychem i wrzawą, zjawiła się postać następcy,
na którym wielkie budowano nadzieje, przypisując
mu wszystkie cnoty, przeciwne wadom ojcowskiim.
W istocie ani tam błyszczących grzechów rodzica,
ani cnót skromnych nie było; sztywna nieudolność
tajemniczą nicosć pokrywała.

Około tych dwóch bohaterskich posągów w per-
nacki wił się świat intrygantów i kuglarzy.

Żaden dwór może nie był tak zjedzonym poką-
tnemi brudnemi robotami, które okrywały pozory
najwycywilizowańszej, najwykwintniejszej ludzkości
i szlachetności, jak ówczesny saski. Patrząc na dwo-
raków, można było ich wziąć za ideały cnoty i bez-
interesowności, w prywatném życiu rządziło niecne
kuglarstwo, zawiść i podstępne knowania. Szpiego-
wano się wzajem, nśmiejając i ściskając, usiłowano
obalić całując, przyjaźniono i kochano, aby tém pe-
wniej wywrócić i zdeptać. Dla przypodobania się
panu, nio było ofiary, którejby nie przynoszono chę-
tnie, inoralność wszelka ustępowała adulacyi i wzglę-

dności dla ukochanego Herkulesa, ministrowie oddawali małżonki, panowie ofiarowali córki, dowódcy armii przybierali obowiązki pośredników, poważne panie nosiły listy, gorszono się niezmiernie, gdy niewczesna cnota śmiała się odezwać z pedancką surowością.

A ponieważ trafiało się, że pastorowie z kazalnicy zbyt bezwzględnie karcili zepsucie, król sam wydał rozkaz, ażeby granicy przyzwoitości przekraczać nie śmieli.

Wszystko, co otaczało dwór, musiało się poddać jego obyczajowi i przyjętym formom, które z człowieka czyniły posłuszną zabawkę. Lecz dodać potrzeba, że tym, którzy się poświęcili na usługi pana, sówicie się one wypłacały. Cały kraj żył, pracował, cierpiał dlatego, aby rozrywkom dostarczyć grosza, marnotrawstwo dochodziło rozmiarów bajecznych, rozrzutność nie znała miary, fortuny ulubieńców wzrastały kolosalnie. Nigdzie i nigdy może nie przełało się tyle złota dla tak wietrznych i płochych celów, kosztem najuboższych klas ludności.

Ocalenia od łupieztwa i ssania trzeba było szukać na dworze tylko i przy tych rynnach, któremi płynęły miliony, wczoraj z trudem wydobyte, dziś po pijanemu rozsypane.

Ale żadna też ze stolic niemieckich w tym czasie tak błyszcząco, pięknie, wspaniale i pańsko nie wyglądała, jak Drezno; a pałace Flemingów, Hoymów, Vitztumów, rywalizowały z królewskimi rezyden-

cyami, nigdzie nie było tyle złota, a obok może takićj nędzy. Wszystko aż do mieszczaństwa stolicy wyglądać musiało paradnie, a obyczaje sług naśladowały pańskie. Obok szlachty saskićj, wielki natłok cudzoziemców, i znaczna liczba Polaków roiła się około dworu: Duńczyk Löwendahl, Meklenburezyk Wackerbart, Pomorzanin Manteufel, Piemontczyk Iagnasko, i Fleury, Lotaryńczyk Lutzelburg, zajmowali tu pierwsze naówczas najwyższe stanowiska, pani Denhoff i jój rodzina, mimo wspomnienia panny Osterhausen, pozostała ostatnią króla miłością, uwolniwszy go od uprzykrzonej tyranii pani Cosel.

Przez czas pobytu swojego w stolicy saskićj, rotmistrz miał zręczność zawiązać tu mnogie stosunki; gotów na wszystko, odważny, nie rachujący się z sumieniem, miły towarzysz, spędził tu jakiś czas na zabawach z pierwszymi dygnitarzami stolicy saskićj, znał wszystkich, a choć czasy się nieco zmieniły, pani Cosel nie było, Fleming zmarł, liczył na innych, do których się mógł udać po opiekę, a nawet na samego króla, jeśliby był zmuszony uciekać się aż do niego. Przy księciu następcy miał Sniłkowskiego, przy panującym młodego Brühla, najgrzeczniejszego i najuczynniejszego a razem najzręczniejszego z dworaków. Planu postępowania nie osnuł jeszcze stałego, czuł, że go zastosować musi do okoliczności, wahał się, obmyślał, ale mu nie zbywało na najzuchwalszych. Roiło mu się, że przynaj-

mniej do czasu osłonić się poufał, rozgłaszając zmartwychwstałego za samozwańca jakiegoś i awanturnika. Nie spodziewał się też nigdy, ażeby za nim aż do Saksonii goniono, chociaż i na ten wypadek chciał być przygotowanym.

— W takich troskach wyruszył z Warszawy, uwodząc z sobą Maryę i Urszulkę, w których widział zakładników, zarazem i bezpieczeństwo to, iż żona przynajmniej przeciwko niemu świadczyć nie mogła.

Wereszczaka i Piotr przez jeden dzień odpocząwszy w Warszawie, puścili się w ślad, jeśli nie z zupełną pewnością iż znajdą w Dreźnie zbiega, to z największym prawdopodobieństwem, że gdzieindziej ująć nie mógł. Postanowili wszakże jak najciszej i najmniej widocznie, nie zdradzając się, jechać do stolicy Saskiej, ażeby ptaka nie spłoszyć. Szczęście po drodze chociaż spotykali nieustannie dygnitarzy i możniejszą szlachtę dążącą na dwór królewski, nie trafili na znajomych. Nie potrzebował też pan Piotr się wydawać z nazwiskiem swoim, a Wereszczaki imię nie nie mówiło. Mnóstwo naówczas konkurujących o urzędy, starostwa i inne łaski pańskie, musiało tę drogę przebywać.

Gospód w Dreźnie było naówczas podostatkiem, a niektóre z nich przez Polaków i dla polskich obywateli utrzymywane, w pobliżu zamku i głównej ulicy, wygodnie panów i dwory pomieścić mogły. Czas był letni, a świetne otoczenie królewskie, zbiegało

z panem razem w lasy i zameczki wiejskie Drezno otaczające.

Miasto więc znaleźli dosyć pustém, co ułatwiło poszukiwanie, gdyż zaraz nazajutrz po zajęciu kwatery przy starym Rynku, trzeba się było puścić na zwiady. Piotr pozostał w domu, Wereszczaka wziął sobie pomocnika i ruszył na los szczęścia. Przygotowany był na to, iż nie łatwo mu przyjdzie na ślad trafić, gdyż nie mógł nawet wypowiedać się, kogo szuka, ażeby się nie zdradził. Chodził tylko po główniejszych zajazdach, dopytując rodzin polskich w ogóle.

Spotkania trafunkowego z Witem nie lękał się tak bardzo, nie spodziewając się, aby go posadził o stosunki z bratankiem. Na przypadek zaś zetknięcia z nim miał już osnutą bajkę jakąś i zabierał się odważnie z nim dawną odnowić znajomość. Cały dzień wszakże zszedł mu na próżnej wędrówce po mieście i na zupełnie obojętnych spotkaniach z ludźmi, których wcale nie potrzebował. Wita, ani wieści o nim nie było nigdzie. Odprawił więc przewodnika Niemca i szedł już do domu, a zaczynało zmierzchać, gdy w zamkowej ulicy mignęła mu się postać słusznego mężczyzny, przypominająca rotmistrza. Na wszelki wypadek pociągnął zdala za nią. Wkrótce mógł się przekonać, że go przeczucie nie omyliło, był to w istocie Wit, który się skierował ku stojącym w pobliżu zamku lektykom i jedną z nich najawwszy, nieść się kazał ku mostowi wiodącemu na Nowe

Miasto. Zaledwie go do niej zamknęło, Wereszczaka siadł do drugiej i dawszy do zrozumienia, że dobrze zapłaci, kazał się nieść w pewném oddaleniu za tamtą, tak jednak, aby jej nie dogonić i nie prześcignąć.

W owój epoce intryg miłosnych, ci drążnicy, jak wszyscy około dworu żyjący ludzie, nawykli byli do podobnych wycieczek. Zrozumiawszy więc łatwo rozkaz, poszli wesoło za pierwszą lektyką. Widać ją było niesioną przez most na tak zwane Miasto Nowe, które się naówczas wspaniale zabudowywało, znać pragnąc stare zagasić. Życia tam wszakże było o wiele mniej, a mieszkańcy w większej części pracowici rzemieślnicy lub spokojni mieszcianie, szczęśliwi byli, gdy im się czasu wielkich zjazdów do miasta na pół puste kamienice wynająć udało. Przeszedłszy most lektykarze, zwrócili się na wielką Meissnerowską ulicę i do jednego z porządniejszych jej domów się skryli. Dla niepoznaki kazał się, dobrze zanotowawszy sobie kamienicę, nieść dalej Wereszczaka i dopiero naprzeciw nowego pałacu, z placu pustego zawrócić kazał.

Jeden z niosących go ludzi, który w tym pochodzie przeczuwał jakąś bodaj awanturę miłosną, nastroczył się sam, iż dopytać może u współtowarzyszów, co tamtego pana nosili, czy go zostawili, wrócili z nim, lub czekać mieli nakazaniem. Lecz że się to badanie natychmiast odbyć nie mogło, Wereszczaka nieść się kazał do domu nazad i tam sobie dać wiedzieć, przyrzekłszy dobrą zapłatę.

Pierwszy raz w życiu wieśniak używał tego rodzaju przejażdżki na ludzkich barkach i dosyć mu się ona śmieszną wydała. Rad był, że nie darmo cały Boży dzień przespacerował. Franz lektykarz uśmiechający się i nader nadskakujący człeczek, dał słowo Wereszczace, iż przyjdzie z rapórtem, a — jeśli potrzeba — owego pana krok w krok niepostrzeżony śledzić będzie, i nikomu słowa o tém nie powie.

Do domu powróciwszy pan Wojski, nie zastał towarzysza, gdyż Piotr też znudzony siedzeniem i czekaniem o mroku z domu wyszedł, aby powietrzem odetchnąć i niepokój swój gwałtowniejszym ruchem uśmierzyć. Człowiek znękanym, niecierpliwym czuje pewną ulgę, gdy może się poruszać, gdy się ludzi, że jest czynnym. Niepodoobało się to Wereszczace, lękał się bowiem, aby Wit gdzie Piotra nie spostrzegł i nie poznał, ale ścierpiał to, czekając powrotu. Od drażnika wieści nie można się było prędzej spodziewać jak nazajutrz.

Około godziny dziesiątej wieczorem powrócił Piotr zmęczony, chory, smutny, lecz z przekonaniem, iż doszedł mieszkania Wita, którego widział zdala na ulicy Wilsdrufer, wchodzącego do zajezdnego domu. Śledzić go tam jednak sam nie śmiał.

Nazajutrz wczesnie zapukano do drzwi, Wereszczaka je otworzył i Franz wszedł z dosyć rozpromienioną twarzą. Nie stracił on czasu i doszedł, że ów Polak mieszkał w istocie w gospodzie, do której wchodzącym widział go Piotr, ale po kilka razy na

dzień udawał się na Nowe-Miasto na Meissnerowską ulicę, gdzie mieszkała jakaś pani z małą córeczką. Franz dowiedziawszy się o tém i przypuszczając, że owa pani była węzłem intrygi, udał się do kamienicy i starał wypytać o nią. Tu, nie bez trudu, jak powiadał, wydobył ze sług, iż ów pan sam ją umieścił u znanéj sobie rodziny niemieckiej, pod najściślejszym dozorem, z powodu, iż kobieta miała zmysły pomieszane. Nie pozwalano więc jéj wychodzić nigdzie, ani komukolwiek obcemu do niéj dostępować tak, że tam oprócz tego pana, nikt progu nie przestąpił.

Wynagrodziwszy dobrze Franza, Wereszczaka, odprawił go z poleceniem nowém, ażeby z wielką oględnością dowiadywał się jeszcze, co to była za rodzina, pod której dozorem pani ta umieszczoną była; a zaleciwszy Piotrowi cierpliwość i wyściskawszy go serdecznie, sam puścił się na miasto, polując znowu na jakieś niespodziane szczęście. Wczorajsze wieczorne dobrą go karmiło nadzieją.

I ta nie omyliła, ledwie bowiem wszedł w ulicę zamkową, gdy za sobą posłyszał wołanie.

— Jezu najśłodszy! czy mnie oczy nie mylą! Wojski Wereszczaka! a tyż tu co robisz?

— Odwrócił się żywo i w lektyce ujrzał, otyłą, rumianą, wesołą fizyognomię pana kasztelana Niemiry, który przez okno ręce obie dobywszy, drażników swych wstrzymać usiłował. Nim lektyka stanęła, wieko podjęto, drzwiczki otworzono, i dobyto z niéj

zapakowanego niecierpliwego kasztelana, o mało pudełka tego nie zburzył.

Wyskoczył z lektyki, pot z czoła otarł, odsapnął i obie ręce wyciągając ku Wereszczace, począł nie od powitania ale od narzekania.

— Powiedz-że ty mnie! powiedz, czego ci Niemcy nie wymyślą? żeby zdrowego człowieka sadzić w takie oto pudło, skrzynię, klatkę i nosić się z nim jak z nieżywym. Ale tu ani konia, ani powozu nie dostać, wszyscy się nosić każą. Jak że ty mi się masz, co ty tu robisz? jak żyjesz — bo ja to na ucieżwość umieram! Kazała mi tu żona jechać i przez księżnę Cieszyńską starać się o krzesółko, musiałem baby usłuchać, ale drugi raz mnie na Sasów nie odprowi! Co ja tu cierpię, kochanku! co ja tu cierpię!

I znowu spytał kasztelan:

— Cóż ty tu robisz? — a nie czekając odpowiedzi, narzekał dalej:

— Wystaw-że sobie, że ci ludzie bez pieprzu i soli żyją: wino powiadam ci lura, wszyscy po niemiecku szwargoczą, z ogonami przy głowie chodzą, a niech ich tam!

Machnął ręką i po raz trzeci zapytał:

— Cóż ty tu robisz?

Pytanie to trzykroć powtarzane, dało szczęściem Wereszczace czas namysłu do odpowiedzi.

— Przybyłem także starać się o starostwo?

— Masz kogo znajomego?

— Tak dobrze jak nikogo.

— A! to ci nie winszuję! rzekł kasztelan, cóż poczniesz? którądy myślisz się wcisnąć. Dawniej było łatwiej, przez Fleminga, przez Cosel, przez Bielińskich, przez Lubomirskich, ale teraz... Gdyby Orzelska panięć miała, ale to teraz strasznie w dumę urosło

Machnął znowu ręką.

— Cóż ty myślisz?

— Ja jeszcze dopiero wacham, odparł Wereszczaka, ani wiem, jak się dostanę do dworu, ale audyencyę sobie u króla wyrobić muszę, a potem będę sobie rady dawał, jak umiem.

— A znasz że ty choć młodego Brühla? spytał kasztelan.

— Nie znam.

— To źle! to źle! — ale dobrze żeśmy się z sobą spotkali, przecież to my starzy przyjaciele i nierazemśny polowywali. Pamiętasz ty tego wilka! ha! ha! Tu oni jeszcze jelenie mają!

Westchnął Niemira.

— Ale niech ich tam z ich jeleniami, dużo też rogów u nich i nie jelenich, jabym rad ztąd co najprzedzój do mojej baby powrócić, czy wyrobię sobie wyższe krzesło czy nie, już mi to wszystko jedno, bylebym do barszczu powrócił. Strasznie mi ciężko, ale, słuchaj Wojski, ja ci może pomogę, zapoznam z Brühlem, wyrobię posłuchanie. Używaj mnie, jako chcesz.

Wojski uściskał pocziwego kasztelana, przyszedł

mu myśl śniała, gdyby uzyskał posłuchanie, wprost sprawę całą poufnie wytoczyć przed króla. Zwierzać się z nią jednak kasztelanowi nie śmiał, bo Niemira żadnój w świecie tajemnicy dwóch by był godzin nie utrzymał.

— Puszczej że mnie teraz, pojadę dalej w tém pudle swoje i waszecine sprawy popierać, a jutro *summo mane*, zdam sprawę, przyjdź do mnie na saską kawkę, stoję przy zamku pod orłem, zdam sprawę, co zrobię. Pocałował go w czoło, a siadając do lektyki, dodał:

— Wojski kochany, co najrychlej zbędziemy się tego kołtuna i do domu, a! na barszczyk!

Drażnicy go unieśli, a Wojski poszedł dalej.

III. Więźniowie i Stróże.

Na Nowém Mieście w kamienicy nie starój téż, ale niepoczesnój, kilka pokojów od Elby zajmowała Marya z Urszulką. Rotmistrz oddał ją na ręce rodziny jakiejś, z którą się był poznał w czasie pierwszego swego w Saksonii pobytu. Sama jejmość, żona małego urzędnika od akeyzy, niegdyś piękna i dosyć trzpiotowata, w bliskich była stosunkach z panem rotmistrzem. Znał ją jako niezmiernie chciwą, bo rozrzutną i spragnioną zabawy. Z wiekiem i dziećmi zmieniła się teraz o tyle, iż jój dawna chciwość pozostała, a pragnienie rozrywek napadało tylko, gdy one nie kosztowały. Wit wiedział, że obietnicą nagrody wspaniałój potrafi ją skłonić do wszystkiego. Opowiedział jój, że nieszczęśliwy był bardzo, iż żona jego cierpiała na umyśle, że ponieszanie było wprawdzie łagodne, lecz niezmiernego wymagające dozoru i t. p. Dodał, iż przybył dla poradenia się przybocznych królewskich lekarzy, ale potrzebował czasu, ażeby chora się uspokoiła i oni dobrze stan jój zbadali.

Pani Lina Holzer zgodziła się skwapliwie na przyjęcie dozoru nad chorą, zaręczyła, że jój na chwilę z oka nie spuści, wyjść nie da na krok, nikomu do domu nie da przystępu i mieć będzie o nią i córce największe staranie. Umieszczenie to żony osobno, zdawało się rotmistrzowi najbezpieczniejszém, w razie gdyby go tu ścigano i uchodzić lub skrywać się potrzeba.

Przez kilka dni śledząc panią Holzer i przybywając niespodzianie na Nowe Miasto, przekonał się, iż Marya aż do zbytku i umęczenia była pilnie dozorowaną. Mieszkanie było istnieniem więzieniem, a w przedpokoju, nieodstępny stróż, siedziała z pończochą Lina Holzer. Wprawdzie z okien mieszkania, przez zielony ogródek, który się do Elby ciągnął, widać było rzekę, kościoły miasta, zamek, most i krajobraz ożywiony, a piękny, lecz serca uciśniętego nie rozbawiały oczy.

W drodze rotmistrz był ponury, niecierpliwy, milczący. Marya nie odezwała się słowem do niego. Jechali z sobą nie mówiąc do siebie, a tam gdzie opór był bezsilnym, nie chciała się zniżyć daremnie kobieta nieszczęśliwa do próżnej słów szermierki. Tuliła swe dziecko, szeptała doń po cichu, dała się prowadzić, zamykać, wieść, nie odzywając wcale. Czasem gdy boleść wzrosła, gdy zwątpienie opanowało serce, zaczynała płakać po cichu, przyciskała Urszulkę do serca i dziecko na widok jój łez płakało także, lecz łkały tak, aby rotmistrz nie słyszał, gdyż

widok łez do wściekłości gniew w nim rozbudzał. On nie był tak wstrzemięźliwym w słowach, wybuchał, łajał, milczenie też gniew jego zwiększało i nie rychło wpadłszy weni się uspokoił. Dnie tak przechodziły na męczarniach, których odmalować niepodobna, bo one miały tysiące niepochwyconych od-cieni.

Dopóki byli w kraju, Marya zachowywała jakąś nadzieję, z której sobie zdać nie mogła sprawy, gdy przyszło go opuścić, rozpacz prawie ogarniała ją. Zaczynała się lękać coraz bardziej o los swój i dziecięcia, bo wiedziała, że człowiek ten na największą zbrodnię się mógł ważyć. Każdą noc niemal spędzała bezsenna, czuwając nad Urszulką, na najmniejsze poruszenie zrywając się, z niedowierzaniem śledząc każdy krok Wita.

Tak przebyli drogę do stolicy Saksonii, a gdy nazajutrz wynalazłszy swą dawną znajomę, rotmistrz mnieścił Maryę z dzieckiem na Nowém Mieście, nieszyła się prawie z tego oddzielenia od niego. Lecz tu znowu, wśród ludzi nieznajomych, nie-miłych, niedowierzających, lękać się zaczęła jakiejś zasadzki, jakiej łatwo dającą się ukryć zbrodni. Zdawało się jej, że życiu dziecka coś zagraża. Do gospodyni, pani Holzer, sam język zbliżyć się nie dawał, przy tém powiernica rotmistrza nie obudzała zaufania. Pierwsze dni zbiegły na wzajemném niemém badaniu. Przestrzeżona, iż miała do czynienia z osobą obłąkaną, pani Holzer obchodziła

się z nią z pewną obawą i wstrętem; co chwila spodziewała się jakiegoś wybuchu, oznaki nieprzytomności, lecz gdy po dniach kilku nie się nie przytrafiło, nabrała otuchy, a nawet dziwne jój myśli przychodzić zaczęły.

Powzięła jakąś wątpliwość. Lecz jakże się tu było rozmówić, jednego nie umiejąc słowa w żadnym prócz niemieckiego języka? Zdaleka przez szpary drzwi Lina wpatrywała się w swojego więźnia, widziała ją z miłością zajmującą się dziecicciem, modlącą. wreszcie z Urszulką razem zamysloną, po całych dniach poglądającą na Elbę, płynącą pod oknami. Nigdy najmniejszej niecierpliwości oznaki, łązy tylko, łązy zawsze, a smutek nie rozpogadzający się na chwilę.

Najtwardszego serca kobieta, widząc drugą podobną sobie istotę cierpiącą, uczuje w końcu litość nad nią. Pani Holzer śledziła rotmistrza, gdy przybywał i sposób jego obchodzenia się z żoną, zdziwiło ją to, iż do siebie nie mówili, że przychodził jakby gniewny, że dziecko od niego uciekało, tuląc się do matki. Z tych wszystkich oznak czyniła wnioski, które jój ciekawość coraz żywiej rozbudzały; niegdyś płocha i roztrzępana. dozorczyni ta nie była tak złą, jak ją Wit może sądził, podjęła się dozoru, ale ten starała się uczynić łagodnym, po kilku dniach zaczęła próbować zbliżyć się nieco do matki i dziecka; znalazła u nich przyjęcie ludzkie i za najmniejszą usługę a ulgę wdzięczne. Gdy się jój rot-

mistrz rozpytywał o więźnia, starała się go zapewnić, iż pani była zupełnie spokojną, a razem próbowała go trochę wybadać, ale ją zbywał obietnicami nagrody i winawiał zawsze potrzebę surowego dozoru.

Po kilku znown dniach, pani Holzer powiedziała sobie w duchu, że w tém wszystkiém jest przecie jakaś niezbadana tajemnica. Kobieta jój ciekawość rozbudzoną była do najwyższego stopnia; na różne wpadała pomysły dla zaspokojenia jój, — ale na skuteczny trafić nie mogła. Miała starszą od Urszulki córeczkę, która już u jakiejś Francuzki przy dworze, niezbędnego naówczas języka francuzkiego uczyć się poczyniała, bo jój pani Holzer świetną rokowała przyszłość, znając historyc panny Duparc, a że Ursulkę matka sama nauczyła trochę tego języka, Lina Holzer obmyśliła sobie, że choć z pomocą dzieci coś by się przecie dowiedzieć mogła. Raz więc wieczorem, gdy się już przybycia rotmistrza nie spodziewała, ośmieliła się dawszy dobrą Lizie instrukcyę, wpuścić ją dla zabawy z Ursulką. Lizka, ukochane dziecię u matki, choć nie miała nad lat trzynaście, strojną już była jak panienka, nie żałowano jój na sukienki i fraszki, które wczesną załotność rozbudzić w nićj mogły, dziewczę było żywe, dosyć popsute, a bardzo roztropne. Cielna, bojaźliwa Urszulka zrazu zobaczywszy tę laleczkę, dygającą jój z uśmiechem i przynoszącą bukietek, ulękła się zjawiska i uciekła do kolan matki, wkrótce jednak ośmieliła się po troszę, gdy Lizka przybiegła do

niej, przyklęła i stosownie do rozkazów, ze swą francuszczyzną popisywać się zaczęła. Spytana przez Maryę, powiedziała, że była córką gospodyni, że jej kazano przyjść, aby znudzoną pewnie zabawić panienkę. Marya przyjęła wdzięcznie ten dowód czułości dla swojego dziecięcia, a że lubiła dzieci w ogóle, zwróciła się ku Lizce, i ta pierwsza rozmowa poszła bardzo szczęśliwie, bo była wstępem do dobrej znajomości. Urszulka rozbawiła się, rozśmiała, matka rozplakała z radości; a gdy potem Lizka wychodziła już, życząc dobrej nocy, Marya wdzięczna z ubogiego zasobu swego, wsunęła jej w ręce podarek, który i córkę i matkę wielce uszczęśliwił. Pani Holzer badała potem długo dziecko o te dwie nieznanne, o rozmowę ich, o szczegóły i nabrała tylko tego przekonania, że śladu obłąkania umysłu nie było. — Natomiast pewną już była jakiejś zawiłej i ciemnej intrygi, której domyśleć się nie było podobna. W owych czasach, nie nie było pospolitszego, nad wszelkiego rodzaju tajemnicze dzieje domowe, pani Cosel siedziała uwięziona, opłacając łzami swą popędliwość i groźby, a ileż innych pozamykano, wysyłano, zmuszano do klasztoru lub małżeństw niechętnych? Coś podobnego tu sobie wyobrażała pani Holzer i postanowiła bądź co bądź prawdy dobadać. Rotmistrz chuforny, gniewny, podejrzliwy, choć jej płacił, wydawał się teraz jakimś tyranem, do którego instynktową za plec swą czuła porzęła nienawiść. Guiewało też, że śmiał, sądząc ją ograniczoną, zbyć

kłamstwem ladajakiém, sądząc, iż ona wątku zaplątanego nie dojdzie.

Była dla niego grzeczną i uprzejmą, lecz w duszy pragnęła bardzo dokuczyć mu z kolei za nieszczęśliwą kobietę, której uciemiężenie widziała, a cierpień się domyślała. Ostrożna wszakże nie posunęła się do śmielszych kroków, oczekując na sposobność. Po pierwszej bytności Lizki, która rozbawiła Urszulkę, nastąpiła druga, a że dziewczę miało tu rozrywkę, ile razy chwilę znalazło swobodną, nauczyło się przybiegać na górę. W przypadku, gdyby rotmistrz nadszedł, matka obmyśliła jój nawet schowankę i ucieczkę; gdyż wyraźny miała rozkaz niedopuszczania nikogo. Wit chodząc około spraw swoich, nie zapominał się dowiadywać o żonę, zrazu nawet dosyć często, później, w miarę jak go poodnawiane znajomości odrywały, bywał rzadziej, a we dnie leżał się, aby jego wycieczki oczów nie zwróciły. Można więc było w pewnych dnia godzinach nawet Urszulce pozwolić wybiedz. Liza pierwsza dyskretnie myśl tę po cichu rzuciła, lecz Marya nie chciała się zgodzić na puszczenie dziecka od siebie i ani mówić o tém dozwalała. Urszulce, patrząc na drzewa, na miasto, na swobodny ruch ludzi, chciało się wyjść bardzo, ale się napraszać nie śmiała. Pierwszy raz, widząc, jak przytuliła z wielką obawą córkę do siebie, gdy przechadzkę chciała urządzić Lizka, pani Holzer domyśliła się więcej jeszcze czegoś, niż dotąd. Wysnuła sobie z tego strachu, z tego zanu-

knęcia całą historję romansową, zupełnie fałszywą, lecz obudzającą w niej jeszcze większe dla uciskanej współczucie.

Gdy się to działo wewnątrz domu, poczciwy Wereszczaka łamał sobie głowę, jakby się tu weisnąć, zawiązać stosunki i rozpocząć wielkie dzieło wydobycia z niewoli Maryi i dziecka. Potrzeba było postępować nader ostrożnie, gdyż w razie niepowodzenia na przyszłość podwoiłyby się jeszcze trudności. Piotr mało był czynny, gdyż nie mogąc się pokazywać, nie mógł téż wiele dopomóc.

Wereszczaka nazajutrz przybył na kawę do Niemiry i zastał go w gospodzie, ale najnieszcześliwszym. Życie na niemieckim chlebie stawało mu się nieznośniejszem codziennie.

— Wiesz mój drogi, rzekł wzdychając, już ja im ani porcelany, ani ich bogactw, ani piękności pałaców, ani żadnej rzeczy nie zazdroszczę, tak mi to życie z nimi obmierzło. Spać pod pierzyną, jeść wasserzupkę, mało co mięsa, słodko, tłusto i nudno, chodzić tak ubranym jak oni; to nie ludzka rzecz; al' gdybym się ztąd mógł wyrwać!

Załamnął ręce.

— Wczoraj znown sądziłem, że się do króla JMości na posłuchanie dobiję, ale gdzie tam, był jakiś książę Beck, co się ma żenić z Orzelską, były księżęta Dessanskie, było niemieckich różnych potentatów tyle, że się tam szlachciecowi ani było docisnąć. Tylko mi się strząśł, jadąc do Moritzburga na

wozie, spiekł czekając, aż z myśliwstwa powrócili, bab na koniach napatrzył, czego prócz w hecy nigdy nie oglądał; pokłoniłem się zdala Majestatowi, zobaczyłem spalony fajerwerek zdaleka, wyglodniałem jak pies, w konien do gospody na piwo i sér pójść zmuszony, i — tyle tego.

Ot, wiesz co, dodał kasztelan, rozmyśliwszy się, mnie się zdaje, że ja dawszy im ze stołkiem za wygranę, z próżnemi rękami do domu powrócę, bobym tu chyba zdechl.

Ja ci powiem. pod sekretem, mnie mojej kasztelanii dosyć, to żonie. Panie Boże odpusć. zachciało się wyższego krzesła. a już jak się jejmość czego naprze. nie ma sposobu, musi być. Pojechałem więc, a teraz, myślę sobie, po co ja tu siedzieć będę? zdam na waszeci moją sprawę, kiedy tu musisz atentować i drapnę.

— Zmiłuj się. panie kasztelanie. rzekł Wereszczaka, ja też nie wiele potrafię zrobić.

— Ad *impossibilia nemo obligatur*, zawołał Niemira, zrobisz. co będzie można; byle dla jejmości było czém się złożyć. Ja ci wszystko zdam. a sam ruszę, dalipan.

— Ale ja tu nikogo nie znam, zawołał Wereszczaka.

— Ja cię poznam z Brühlem, właśnie godzina moja przychodzi, ogarnę się, rzekł kasztelan, przedstawię cię na swoim miejscu i rób sobie, co chcesz,

byłem ja nazad do domu mógł wrócić, bo tu żółtaezki dostanę.

— A ja? spytał śmiejąc się Wereszczaka.

— E! ty jesteś młodszy i wytrwalszy, tyś się Niemców tak nie napatrzył jak ja, to ci staną za osobliwość, póki w gardle kęsieją nie siadą.

To mówiąc uściskał go.

— Moja ty duszko, Jezu najśłodszy, (wszak to twoje przysłowie?) jedź ze mną do Brühla.

Wojski pomyślał, że może upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu i począł się już mniej bronić, kasztelan był uszczęśliwiony.

— Ja! jutro, konie zaprzęgam, i do chaty śpieszę.

Dictum—factum, oblawszy się wodą zimną, wytarłszy, kasztelan wziął na siebie najparadniejsze ubranie, kazał dwie lektyki sprowadzić i zapakowawszy do jednej przyjaciela, w drugą sam wsiadłszy, kazał się nieść do mieszkania faworyta. Nieopodal ono było od zamku. Brühl jeszcze naówczas nie miał owych pałaców i ogrodów Semiramidy i dworu królewskiego i zdobytych później bogactw, rozpoczynał on szczęśliwy zawód robienia fortuny dosyć skromnie. Wszakże przepowiadano mu ją już, gdyby król stary położył, nie domyślając się, że potrafi przez Sułkowskiego głowę dostać się do następcy. Nie majątny z siebie, Brühl miał już z łaski Augusta i własnych zabiegów, tyle iż mógł pewien dom utrzymać. A że lubił wystawę i pańskość, choć skromne pierwsze piętro zajmował w domu należą-

cym do króla, utrządzone już miał pokoje, jak dla młodego wielkich nadziei dworaka przystało.

Tymczasem nie było więcej nad czterech lokajów w liberyi i nad grzecznego pana sekretarza, który przybywających oznajmił hrabiemu. Sala, w której na niego oczekiwali, przystrojona była w meble wytworne, w obrazy piękne i kosztowne fraszki z gustem porozstawiane. Nasi panowie więcej się dziwili wykwintowi, niż bogactwu, bo u nich dostatek zwykł się być inaczej objawiać: ciężkiem srebrem, klejnotami, mnogością ludzi, koni, służby i zapasów w skarbcu, tu złocenia, błyskotki i fantazyjne cacka zastępowały rzeczywistsze bogactwa. Za to na srebro, szaty, klejnoty spojrzawszy, można było mniej więcej ocenić mienie, a tu, między obrazem, który wart był tysiąc, a drugim nie kosztującym dziesięciu, niewprawne oczy profanów różnicy znaleźć nie mogły. Salon był biały ze złotem i złoceniami w ogóle tak wiele, iż Wereszczace było ich nadto, nie widział ich nigdy tyle, chyba po kościołach. Dla Pana Boga zdawało mu się właściwem szafować tak blaskiem, dla człowieka znajdował to śmieszne.

Po chwili sekretarz drzwi otworzył i w progu ukazał się człowiek młody, nader wytwornie ubrany, cały od aksamitów, atłasów i koronek jaśniejący, z kapelusikiem pod pachą, w pończoszках jedwabnych, świeży, rozkwitnięty, słodki, kłaniający się, uprzejmy a tak miły, jak gdyby obu panów, których przyjmował, na dnie serca nosił. Znał on kasztela-

na. nigdy w życiu nie widział Wereszczaki, lecz zarówno był szczęśliwy z widzenia Niemiry i z poznania Wojskiego, którego nazwiska wymówić nie mógł spróbować. Z kasztelanem zdawali się czule jak bracia rodzeni, śmieli się do siebie. ściskali za ręce, całowali, prawili sobie słodycze, przyskakiwali i odskakiwali, tak, że Wojski wniesć mógł z tego, iż Niemira miał tu ogromne wzięcie i nadzwyczajne protekcy.

Kasztelan oświadczył w krótkiej mowie, iż znaglony nadzwyczaj pilnemi w domu interesami, o których z rana właśnie pocztą odebrał doniesienie, ubolewa niezmiernie, iż Drezno zmuszony jest opuścić, lecz, że w swoim miejscu zostawi umocowanego krewnego swojego i poleca go łasce, względem, przyjaźni hrabiego.

Hrabia odpowiedział na to, iż nie dlań milszém być nie mogło, nad poznanie tak zacnego i miłego kawalera jak pan Wojski (choć z nim jeszcze trzech słów nie mówił). iż będzie najszczęśliwszym, jeżeli potrafi na dworze króla JMei być mu w czémkolwiek użytecznym, że się oddaje pod rozkazy czelegodnego kuzyna kasztelana, i błaga go, aby sobie służyć dozwolił i t. p.

Wereszczaka pocciwy zdumiony był, uszczęśliwiony, przejęty. Natychmiast zawołano sekretarza, który sobie dostojność, imię i nazwisko Wojskiego, przekręcając je jak najdziwaczniej, zapisał, i zaręczono mu, iż drzwi dlań zawsze będą otwarte.

Zgadało się coś o posłuchaniu u króla. tu Brühl wyznał, że w porze myśliwstwa nie jest ono łatwem, gdyż Majestat odetchnąć też czasem musi po trudach niezmiernych rządzenia dwoma krajami, jednakże doloży wszelkiego starania. aby audycencyę w najkrótszym jak można czasie otrzymać. Dodał, iż Wojski będzie mógł oczekując, zabawić się oglądaniem stolicy, ogrodów, pałaców, okolic, i że dlań nieomieszka zaproszenia na zabawy dworu.

Rzeczy tedy zdawały się stać tak świetnie. iż gdy przyszło do pożegnania. a grzeczny młodzian przeprowadził ich aż do progu, w progu zaś powtórzył zapewnienia szacunku, sympatyi, poważania, przyjaźni. gotowości do usług, Wereszczaka nie mógł powstrzymać na schodach oznak swój radości.

— Kochany kasztelanie, nie umiem wypowiedzieć, rzekł, jak wam jestem wdzięczem! Cóż to za miły i jak do was przywiązany, oddany wam kawaler! Nie wątpię teraz, iż dokonamy, co zechcemy, i wszystko powiedzie się jak najsześciwiej.

Kasztelan uściskał go, śmiejąc się.

— A! duszo ty moja niewinna! Jezu najśłodszy, zawołał, to ty pocziwcze bierzesz to za dobrą monetę? ale, mój łaskawco, on co dzień tą samą potrawką karmi pięćdziesięciu, on mnie mało co lepiej zna niż ciebie, nazwiska może nie panięta. ale kułgarz taki, iżbyś go rozkochanym w nas sądził. Toć to i bieda, że na ich te obietnice, łamane sztuki. ukłony i uściski nie rachować nie można. Postawi-

Łem ci mu na na stoliku tabakierkę złotą ze trzystu dukatami, którą widział i uśmiechnął się do niej trafnie, i na jej rekomendacyę więcej rachuję, niż na jego serce. Jezu najśłodszy, nie bierz tego na prawdę, zobaczysz, jak cię oni tu wodzić będą, aż cię wątroba zaboli. A teraz do domu! do domu! do domu, do penatów i barszczu i bywaj zdrów i niech ci Bóg szczęści.

IV. Jakaś Magda.

Przez plenipotentą swego Franza drażnika, który raz mu posłuszywszy do dalszego posilkowania wielką okazywał ochotę, otrzymał niebawem wiadomość pan Wojski o kobiecinie, która mu w potrzebie za tłumacza służyć mogła, gdyż od dawna mieszkając w Dreźnie, choć nie zapomniała po polsku, po niemiecku się nauczyła wcale znośnie. Franz domyślał się własną głową, iż żeński tłumacz i współpracownik nie byłby zapewne zbyt użytecznym. Wojski zaledwie pożegnawszy kasztelana, który do domu co najspieszniej wracał, ruszył na Rozmarynową uliczkę. Tu go wprowadzono na drugie piętro, i Franz zapukawszy, rozmówiwszy się we drzwiach, wskazał Wereszczacc wnijsić, a sam dostawszy talara usunął się dobrowolnie. Pokoiki, do których przyściennionego wnijsienia oczy się zrazu przyzwyczaić nie mogły, przeszedł pan Wojski omackiem za przewodniczącą mu kobieciną, małego wzrostu, lecz otyłą. Dopiero w trzecim

czy jaśniej istotnie było, czy już oczom bardziej swojsko, Wereszczaka siadając na podaném krzeselku, ujrzał przed sobą wyraźniej, kobietę nie młodą, z oczyma czarnemi, wlepionemi ciekawie w niego, z rękami założonemi na piersiach, stojącą w oczekiwaniu i milezeniu. Ubrana dosyć schludnie, ale znać tylko co od gospodarskiej pracy, przyglądała się ciekawie przyprowadzonemu jój jegomości.

— Mówisz jejmość po polsku? zapytał Wereszczaka.

— A jakżebym mówić nie miała, kiedy jestem z Warszawy rodem, odparła z dobitnym akcentem mazowieckim, tylkom poszła za Niemca. który przy dworze służy, i — ot...

— A znasz tu pani dużo ludzi? spytał Wojski.

— Cały świat! mój jegomościuniu odpowiedziała, opierając się na krzesło, niech pan wielmożny śmiało mówi, o co idzie. Ja swojego nie zdradzę, dodała. Mój mąż człek mały, pełni służbę przy pokojach, ale to nie, przez niego to też czasem więcej zrobić można było, niż przez nieboszczyka Fleminga. Choć Niemiec, panie, ale głowę ma.

— Dobrze i to wiedzieć, moja jejmość, rzekł Wereszczaka, ale mi nie idzie tyle o protekcję przy dworze, jak o jedną delikatną sprawę.

Kobieta ręką machnęła, uśmiechnęła się.

— Ej! ej! rzekła, to już pewnie jakaś spódniczka, a jegomość jeszcze może i żonaty! Panowie, pa-

nowie, co to teraz po bożym świecie chodzi! Sodomia i Gomora! jak Pana Boga kocham.

— Na ten raz moja jejmość mogę wam uczciwém słowem zaręczyć, iż zgorszenia nie ma, rzekł Wojski. Ufaam waćpani, to jój z gruba całą sprawę powiem. Zechcesz pomódz, będziemy się znali do wdzięczności, nie, toć musu nie masz.

— Niech no pan mówi, zobaczymy, szepnęła gosposia.

— Sprawa w tém, że człek niegodziwy cudzą sobie żonę przywłaszczył, że ją tu ukrył, że ją więzi i męczy, i że mu ją odedrać potrzeba.

— A no, to sprawa święta, jeśli pan szczerze mówi, pomożemy. Ja jestem prosta kobieta, dodała, ale tu około tego dworu ocierając się, wiele się rzeczy napatrzyło, nasłuchało, więc jak trzeba delikatnie postąpić, rady sobie damy.

— Jakże panią zowią? spytał Wojski.

— Mnie? tu mnie wszyscy znają, mąż przy dworze nazwisko ma Suzler, więc ja Suzlerowa, a imię mam Magdalena, a pókiin za mąż nie poszła zwałam się Szewczyńską, ojciec był przy ogrodzie koło sańskiego pałacu.

— Więc, pani Suzlerowa, odczwał się Wereszczaka. Ta osoba, o którą mi chodzi, oddana jest pod straż Niemce na Nowém-Mieście.

— A jak się ona zowie?

Wereszczaka popatrzył jój w oczy z wahaniem.

— A! panieź, mój panie! toć nie zdradzę, podchwyciła Magdusia, nie masz się czego bać! Przysięgam na Matkę Najświętszą, mówcie mi wszystko.

Wereszczaka dobył papieru. Kobieta zowie się Lina Holzer, mają swój dom na Meissnerowskiej ulicy.

— Znam ją, jak ruda mysz! machając ręką z pewnym lekceważeniem rzekła Magdusia, szalała dobrze za młodo, potem się ustatkowało... Córeczka jej chodzi do Francuzki na leky. Ja u niej rzadko goszczę, bo to baba złośliwa a skąpa, ale przecież dostąpić mogę,

— Więc gdyby tam pójść przyszło, dowiedzieć się, a choćby list mieszkającej tam pani oddać, tak by nikt nie widział, czybyć się jejmość podjęła?

Magdusia podumała.

— Zapewne, że się to da zrobić, ale nie tak prosto z mostu, trzeba pójść na zwiady, zobaczyć, co się tam dzieje, rozgadać ostrożnie. to się to da zrobić. Dowiem się, czy tam Liza do tej pani chodzi, bo bym i przez nią mogła coś uczynić. Ona z moją razem się uczy u Francuzki.

Ale słuchaj no pan, dodała jakoś poważnie, a od serca kobieta, ludzie nie święci to pewna, tylko bym ja już do ładajakiego frymarku nie chciała należeć. Jeśli to robota nieczysta, dajcie wy mnie pokój, ja na smutnin mieć nie chcę.

Wereszczaka podniósł się z krzesła uradowany.

— Moja jejmość, zawołał, na cóż ja wam mam poprzysiądz?

Spojrząwszy na twarz jego, potrząsa głową.

— Ja i słowu wierzę, szepnęła, już teraz dosyć, dosyć, jeśli pocziwa sprawa. czemu by ludzie nie pomogli? Nie dziwnij się pan, różnie tu bywa i bywało.

Machnęła ręką.

— Co to gadać! cały świat wie!

— A możesz być co niezwijszego, przerwał Wereszczaka, jak żonę i dziecko oddać mężowi i ojcu, a niegodziwca, który podstępem je pochwycił na karę zdać, bo... niedokończył Wojski.

— Ja, tylko się tu z domem uporządczę, rzekła Magda, pójdę do Holzerowój, zobaczę i rozmówię się.

— Ponieważ się bez kosztów nie obejdzie, a kobieta chciwa, dodał Wojski, masz pani na wydatki. Pieniędzy żałować nie trzeba. Tylko się waćpani strzeż, aby jój tam dozornjący pewnie ten, co tam kobietę umieścił, nie spostrzegł.

— A to! mnie już uczyć nie trzeba!

Magda odprowadziła aż do drzwi Wojskiego, kazała sobie powiedzieć, kędy stał, aby go we wszelkim wypadku znaleźć mogła, pożegnała i wróciła do mieszkania. W niespełna godzinę przebrana do niepoznania, odmłodzona, wyświeżona, szła już na Nowe-Miasto.

Na dole, w kamienicy Holzerowój, był piekarz, Magda zaszła najprzód niby za potrzebą do niego,

spytała, jakby nie wiedząc, czyj był dom, a dowiedziawszy się, wykrzyknęła:

— A to stara znajoma! toćbym ją widzieć rada.

— Teraz to trudno, szepnął piekarz, tajemniczo się uśmiechając.

— Dlaczego?

Niemiec głowę spuścił i nie odpowiedział nic.

— A! a! starój przyjaciółce musi być wolno ją odwiedzić, zawołała Magda i poszła na górę.

Drzwi została zamknięte, stuknęła długo, naostatek pokazała się twarz kwaśna Liny. Magda się rozśmiała.

— Przyszłam do piekarza, a tu mówią dom wasz! Miły Boże! chciałam was choć pozdrowić!

Skwapliwie jakoś otworzyły się drzwi, Lina wpuściła dawną znajomą i zaryglowała za nią, palce kładąc na ustach.

— Bardzom ci rada — rzekła śpiesznie, tak jak byś mi z nieba spadła.

— No, no, cóż to tam takiego?

— Mówię ci, że miłszego gościa nie może być. Siadaj, tylko... tylko — dodała Holzerowa, masz ty czas, i mogę ja... mogę ja... w bardzo pilnej sprawie poufnie mówić z wami.

— Słuchaj no Lina, odparła Magda, znasz mnie dawno, wiesz, że nie płocha. Czasu mam trochę, mów, co na sercu masz.

Niemka namyślając się, chodziła po pokoju,

— Ot — baba baby nie zdradzi, rzekła, co mam
taić, posłuchaj. Lat temu nie wiele, jak to się jeszcze
trzępotało po świecie, a znajomości miało więcej, niż
potrzeba, bywał tu Polaczek, łotrzyzna, który koło
mnie latał. No, znaleźliśmy się. Służył w naszym
wojsku. Potem go gdzieś лихо poniosło i długo nie
było. Naraz zjawia mi się, poznałam go wnet, choć
dużo postarzał. Mówi mi, żonaty jestem, ale nie-
szczęśliwy, żona moja niespełna rozumu, w głowie
jój się poplątało. Przybyliśmy do doktorów, nie ma
jój gdzie bezpiecznie i na ustroniu pomieścić. Czy-
byś się jejmość nie podjęła? zapłacę dobrze. — Cze-
muż nie, dom cichy, wygodny, dozór będzie pilny,
zgodziłam się i kazał żony strzedz, jak oka w głowie,
aby jój nikt nie widział, a ciągle mi płótł, że obłą-
kana. Zważ moja dobrodziejko, ja po polsku nie
umiem, a ona po niemiecku ni słowa. Strach mnie
zrazu brał, szalona! myślę sobie, jak zacznie mi hi-
storye wyprawiać. Gdzież tam! spokojniuteńka, tyl-
ko płacze a płacze, dziecko uczy i modli się, ale od
niej nic się dowiedzieć nie mogę, a posądzam, iż tu
jakaś musi być niekczemność, jakaś podłość i ucisk;
płaci dobrze, ale biednej kobiety łązy...

Holzerowa zakręciła się.

— Chciałabym wiedzieć czysto i jasno, co to jest,
że kłamanie, tom pewna! Po cóż tę kobietę zamyka?
Sprowadziłam Lizkę. żeby z dziecka co po francuzku
dobyła, a no, idzie nie sporo.

Magda słuchała, dziwiąc się, że jój tak szczęśliwie

się stręczyło właśnie to, po co przyszła, udała jednak zdumioną, zakłopotaną i niepewną, patrzyła w oczy Linie.

— No, to o cóż wam idzie? spytała.

— O co mnie idzie? ażebym mogła wiedzieć, co tój kobiecie jest i co się z nią dzieje? Człowiek mi ten teraz wygląda na zbója, chmurny, zły, kwaśny, a mnie się znowu nie chce kobiety mężczyć. Gdyby mnie tak straż powierzył nad mężczyzną, no! tobym się na nim za wszystkich mściła, bo lotry są, nie wyjmując żadnego, ale kobiecie kobietę mężczyć...

— To prawda, odparła Magda, a jakżeby tu ją wybadać.

— Wam? jak najłatwiej, szepnęła Holzerowa, ja was wpuszcze, nibyście jednak weszli bez mojej wiedzy. Powiedziecie, że dowiedziawszy się, iż ona z tego samego co wy kraju, chcieliście się rozgadać! no! wy tam znajdziecie co mówić, i jak począć. Ja stanę na straży, gdyby miał nadejść, chrząknę, umkniecie bocznemi drzwiami, ja go wstrzymam, a powiecie mi, co ona wam o sobie mówić będzie.

Magda choć bardzo rada, chciała się podrożyć wszakże.

— Jakto? rzekła, dziś? zaraz?

— A czegoż czekać? czy wy zechcecie znowu drugi raz iść na Nowe-Miasto, ona teraz sama, zrobię znajomość.

Składało się wszystko jak najlepiej. Holzerowa otworzyła małe drzwiczki boczne i Magdę mocno

zaciekawioną wpuściła do pokoju Maryi. Siedziała ona z dzieckiem w oknie i zdziwiła się, widząc kobietę obcą, stojącą w progu.

Dla ośmielenia, Magda pokłoniła się i pozdrowiła:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

Marya i Urszula zerwały się obie z radosnym twarzy wyrazem.

— Przepraszam, wielmożną panię, przystępując powoli, rzekła Suzlerowa, niech się to dobrodziejce nie przykrzy, że ja uboga kobieta, dowiedziawszy się o pani, aby swojego języka choć zasłyszć, ośmieliłam się tu wniknąć.

— Któż wy jesteście? co tu robicie? z ciekawością spytała Marya.

— Ja tu za mężem od wielu lat, mąż, z pozwoleniem, Niemiec, od dawna przy dworze. Tęskno mi bardzo wśród obcych, mówiła Magda, wzdychając. A paniż wielmożna co tu robi?

— Jam tu, chwilowo.

— I tak sama?

Marya spuściła oczy.

— Sama, szepnęła Marya. Zakreśliły się jej łzy w oczach, odwróciła się do okna. Magda zamilkła.

— Ledwie się u gospodyni doprosiła, żeby do pani wielmożnej wpuściła, bo powiada, że tu nikomu przystępu dawać nie kazano?

Marya milczała ciągle; kobieta zbliżyła się do niej i dłużej już udawać nie chcąc, szepnęła:

— Niech pani wielmożna dziecko trochę odeśle, ja mam coś powiedzieć.

Marya zarumienila się, wstrzęsła, nadzieja i otucha wstąpiły w jej serce, szepnęła Urszulce, by wyszła do drugiego pokoju.

Dziecię choć smutnie, usłuchało.

— Jakim ja tu przyszła i dostąpiła, rzekła Magda żywo, to już moja rzecz, tylko proszę pani mieć ufność we mnie. Nie przypadek mnie tu sprowadził. Jestem przysłaną. Jakiś pan rano dziś przyszedł do mnie i zaklął mnie.

— Jakież pan? kto? niespokojnie spytała Marya.

— Szczerze pani powiadam, że nie wiem, jak się zowieć, wyglądał na bardzo uczciwego. Mówił mi, że panią tu więżą i męczą, i że chcą ją wyrwać, ażebyin się postarała.

Maryi oczy błyszczały radością, lękała się wszakże jakiejs zdrady osnutęj, by służyła za powód do nowych prześladowań.

— Wierzę, żeś tu przyszła z dobrą myślą i sercem pocziwem, odezwala się, lecz możesz że, nie znając tego, kto cie posłał, osądzić, czy on w dobrym i pocziwym zamiarze użył was?

Magda zamyśliła się.

— Toć prawda, rzekła, ale na Matkę Najświętszą przysięgał.

— Opisz mi go? jak wygląda?

— Słuszny, rumiany, oczy niebieskie, twarz uśmiecchnięta.

— Wiesz gdzie mieszka?

— W Starym Ryнку.

Marya wiedziała, iż Wit stał gdzieindziej gospodą, przymtem opis twarzy wskazywał kogoś innego i przysięga owa wcale nie była w obyczajach rotmistrza.

— Czegoż on chciał od was?

— Bym się w jakikolwiek sposób dostała do tego domu i widziała z panią, przekonała naocznie o tém, co się tu dzieje. Mówił, że chcą panią przywłaszczyć cielowi odebrać.

— Jakże? przywłaszczyć cielowi? przerwała Marya, ten, co mnie więzi, jest mężem moim.

— A on mnie mówił inaczej, przebrała Magda.

Marya zamilkła, znowu obudziła się jakaś niewiara.

— Niestety, rzekła, jestem więzioną i nieśniętą, ale przez tego, który ma prawo nazywać się mężem moim.

— To już inna sprawa! kiwając głową rzekła Magdusia, proszę ci wierzyć przysięgom! kładł się przedemną, że ten człowiek panią porwał siłą.

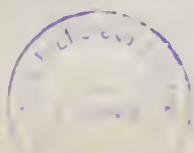
— Nie skłamał, zawołała Marya.

— A toż dziecko? czy jest jego?

— Nie, to córka z pierwszego małżeństwa mego.

— Cóż się z pierwszym mężem stało? pytała kobieta.

— Zabity! cicho wyrzekła Marya, zakrywając oczy.



Wszystko to dziwnie się jakoś plątało w głowie biednej kobiety, która powieści Wojskiego z opowiadaniem Maryi pogodzić nie mogła.

— Widzi pani łaskawa, dodała Suzlerowa, ja bym to do żadnej intrygi nieczystej posługiwać nie chciała.

— Żadnej też tu nie ma i być nie może, z powagą odezwuła się kobieta, ani bym ja przy całym nie-szczęściu mojem winieścić się chciała w podobną. Mam ciotkę jedną, która mnie ratować może i zechce, zresztą żadnych znajomych i przyjaciół, Boga tylko opiekuna w niebie.

Łzy Maryi i jej słowa rozezuliły kobietę, przypadła jej do kolan, ujęta i przekonana.

— Ja pani służyć będę, rzekła cicho, a o człowieku, który mnie posłał, potrafię się wprzód dobrze dowiedzieć. Może też on od tej ciotki przybywa. Bądź pani spokojną. Gospodyni nie jest złej woli, ale jej też we wszystkiem zaufać nie można. Ja tu znowu powrócę.

Gdy to mówiły, wbiegła przestraszona Urszulka z drugiego pokoju, chrząkanie słyszeć się dało za drzwiami. Magda przelekła ledwie czas miała njsię bocznemi drzwiami, a tuż wpadł rotmistrz, rozglądając się po kątach, nachmurzony, gniewny, podejrzliwy.

Począł od przebieżenia całego mieszkania, opatrzenia wszystkich drzwi i kątków, miał jakieś posą-

dzenie, zatrzymano go nieco u wnijscia, Lina była pomieszczana. Spojrzał na żonę, której twarz jeszcze świeżych łez ślady nosiła i oburzył się.

— Czegóż pani płaczesz! czego pani męczenniczkę udajesz, aby ludzi przeciwko mnie burzyć. aby mnie okrutnym czynić? Co się pani złego dzieje? przecież na wygodach nie zbywa? Wprawdzie klauzura ostra, alem się przekonał, że z panią inaczej postępować nie można.

Swoim zwyczajem, wzięwszy do kolan Urszulkę, Marya patrzyła przez okno i mileżała. Rotmistrz szukał oczyma jakiej poszlaki, czegoś, coby mu podejrzenia jego potwierdziło, domniemywał się już i tu zdrady, podstęp, intryg. Szczęściem nie znalazł nic.

— Pani się zapłaczesz, dodał szydersko, a ja tych łez utamować nie potrafię. Nie w mojej to mocy, nie zasłużyłem ani na sentyment lepszy, ani na obejście względniejsze.

— Boś pan nie starał się na to zasłużyć, odpowiedziała Marya.

— Anibym potrafił! szydersko dodał Wit. Myślisz pani, że mi to życie i to skucie kajdanami. nie ciąży także? Śliczne życie!

— Rozstańmy się więc, odezwała Marya, wróć mi pan wolność, oddam cały mój majątek.

Rotmistrz potrząsł głową.

— To być nie może — rzekł gniewnie. Kocha-

łem was, nienawidzę teraz całą miłością dawną i rozstać bym się nie mógł, mszczę się za złamane serce moje.

Marya odwróciła się do okna, jakby pragnęła ukończyć rozmowę. Rotmistrz chodził po pokoju poruszony.

— I nie dosyć wam było, dodał, nienawidzić mnie samój, nauczyliście dziecko, by w ojczyźnie widziało tyrana, nigdy uśmiechu, nigdy słowa, one już dziś tém uczuciem, co wy, dla mnie pała.

Urszulka utuliwszy twarz w dłonie matki, szlochała ze strachu, ten płacz kobiet zdawał się wzmacniać i zwiększać gniew jego jeszcze. Chwilami stawał z zaciśniętymi wargami, jak gdyby się chciał rzucić na swe oliary, to znów powstrzymywał i miarkował się przypomnieniem miejsca położenia. Domyślał się ciekawej gospodyni pode drzwiami, nie wiedział, że Magda z przyłożonem nchem do drugich każde jego słowo chwytala.

Urywana rozmowa zdawała się kończyć, nie mieli oboje nic do powiedzenia sobie, codziennie powtarzające się wymówki były wyczerpane. W istocie rotmistrz zbiegłszy z kraju, czując się ściganym, co chwila się spodziewał pogoni, rozgłosu, napaści może, a przedłużona cisza, dokuczala mu, wyczerpywała, go, odbierała siłę, jaką do walki zgutował. Posażdał już żonę, iż być mogła w stosunkach z Piotrem, jakkolwiek to było mało prawdopodobnem,

a badać jęj o to nie śmiał wszakże, aby się sam nie wydał.

Umęczywszy przytomnością swą Maryę, którą chciał natehnąć trwogą, bez pożegnania rzucił się ku drzwiom i wyszedł.

Opodal w przedpokoju stała z założonemi rękami Lina.

— Mojęj żonie jest gorzję, gorzję, rzekł, lekarza się doprosić nie mogę. Co ona robi, gdy mnie nie ma? czy...

— Płacze! płacze! rzekła Holzerowa, w istocie biedna kobieta cierpi!

Uderzyła się po czole.

— Proszę was, ażebyście jęj nie spuszcza!i z oka, bardzo proszę. Ona się zdaje łagodną, ale łndzi was, uśpić chce, aby nagle z jakimś wybrykiem wystąpić. Tak nie raz bywało, rzekł roznistrz. Trzeba się mieć na ostrożności.

— Ale ja na chwilę drzwi nie opuszczam.

— Nikt nie był? nie dowiadywał się? nie.

— Któż by mógł? ruszając ramionami odczewała się Lina, u mnie nikt przecieź nie bywa. Tu cały dzień cisza i pokój, jak na wsi.

Rotmistrz dobył trochę pieniędzy, obejrzał się pilno do koła i poszedł wreszcie. Na kilka kroków przed nim dreptała Magda, która wyszła nmyślnie przodem, ażeby się mu przypatrzeć: nieznacznie to go mijając, to pozostając i nie patrząc niby, nie wi-

dząc. Dobrze sobie zapisała w pamięci te rysy wyraziste dzikiego i surowego wyrazu. Rotmistrz zanurzony w sobie, nie dostrzegł wcale, że mu się przypatrywano i chinurny udał się wprost do zamku, gdzie właśnie tego dnia sam król JMoś się znajdował.

V. Hrabina Orzelska.

Wereszczaka musiał tymczasem całych sił, jakie mu przyjaźń dawała, używać, aby niecierpliwość Piotra poskromić. W człowieku tym, którego nie-szczęście zламаło, niewdzięczność i zdrada i wyrządzone krzywdy oburzyły, odzywała się dawna, stała miłość dla Maryi i dziecięcia z całą siłą, jakiej jej uczucia te dodawały. Dopóki dalej był od niej, znosił cierpliwie wyczekiwanie, hamował się sam i nie wrywał zbyt, ażeby się zbliżyć do niej, aby ją chociażby widzieć zdaleka. Już w Bożej Woli podkradłszy się pod okna, zobaczył po wielu latach smutną i zboląłą, a zmienioną twarz ukochanej. Teraz, gdy był o kilkadziesiąt tylko kroków od niej, a zmuszony był czekać i cierpieć, wiedząc, że i ona zarówno boleje bez nadziei, brakło mu chwilami siły, by dotrwać nie zdradziwszy się, nie oszalawszy, tylko ażeby ją zobaczyć.

Z tego usposobienia nie spowiadał się przed Wereszczaką, ale pocziwy przyjaciel czytał mu z zasę-

pionego oblicza, co cierpiał, i jak się hamować musiał. Przychodził do niego po kilka razy na dzień, aby mu uściśnąć ręce, spojrzeć w oczy i szepnąć po cichu:

— Cierpliwości, Piotrusiu! cierpliwości! ja chwili nie tracę, ale nam głupstwa dla pośpiechu popełnić nie wolno, bobyśmy popsuli wszystko. Rotmistrz lęka się cienia, najmniejsze podejrzenie mogłaby Marya i dziecko srodze przypłacić. Należy go osaczyć wprzód, opasać i jak dzika wziąć w łożysku, gdy się będzie sądził bezpiecznym.

Piotrowi łzy kręciły się w oczach, ale nie odpowiadał nic. Obawiał się go tak dalece Wereszczaka, że mu nawet nie chciał dokładnie wskazać domu, w którym Marya była osadzoną, kazał czekać i czekać.

— Wszystko idzie jak najlepiej, rzekł naostatek, jeszcze dni parę, a spodziewam się, że przygotuję tak wykradzenie twój żony, iż się ono bez najmniejszego niebezpieczeństwa dokona, ale tu w Saksonii należy być ostrożnym. Rotmistrz ma stosunki, dowodów nie mamy, on ma protekcyę, gdyby nas schwytano na jego instygacyę, a wpakowano do Königsteinu, moglibyśmy tam zgnieć, i nikt by nas z tamtąd dobyć nie potrafił. Trzeba więc z naszej strony pley sobie zapewnić, a to już poczęte, mamy już za sobą hr. Brühla.

Dziś zaś, dodał, jeszcze mi szczęśliwsza myśl przyszła, za którą Panu Bogu dziękuję. Mogę tu znaleźć

oredowniezkę silniejszą nad inne, o której mi się ani śniło. Posłuchaj.

Piotr nadzwyczaj zaciekawiony przystąpił do Wojskiego, który sobie czuprynę tarł i wyłamywał z radości.

— Same przypadki mnie spotykają w tém zaczarowaniem Dreznie, począł Wojski, takim cudem złapałem w ulicy kasztelana Niemirę, który mnie Brühlowi zaprezentował, a dziś, najśmieszniejsza w świecie, a najszczęśliwsza przygoda.

Wiesz, że ja teraz ze Zdunki, od mojego domku, skrzypek i myśliwstwa i od mojej drogiej matki rzadko wyjadę gdzie w świat. A po co mi szczęścia szukać, kiedy je mam w domu? ale przed niewielu laty grała we mnie niecierpliwsza krew i kręciłem się trochę, aby się pokręcić tylko pomiędzy ludźmi. Już ci się przyznam, choć to szlachcicowi wstyd, że trochę dla tych nieszczęsnych skrzypek się włóczył, bo mnie tam Włochy i Niemcy uczyli, a passyę miałem, żeby *arte* rzępolić. No, i doszło się do tego, że potrafię niezgorzej. Coraz więc do Warszawy się uciekło na kilka tygodni, a tu między muzykusiemi królewskiej kapelli i innymi, między naszą szlachtą wiodło się życie utrapione, włóczęc często, gdzie nie było nawet potrzeba. Nie śmieć się, nie w tém złego nie było, ale młodość ciekawa. Jednego dnia wpadłem między swoich, godzina obiadowa, idź z nami jeść. Myślałem, że który do siebie zaprosi, za-

den własnej kuchni nie miał. Pójdziemy jeść do Duvalowej! zawołali.

— Cóż to Duvalowa? — nie znasz Duvalowej? — w śniech ze mnie. — Cała przecież Warszawa zna ją i jej historję.

— Cóż za historia? — Nie odpowiedzieli mi nawet i poszliśmy do Duvalowej. Garkuchnia była niby, niby winiarnia na Krakowskiem, ale dosyć uboga. Stara kobieta o włosach siwych, krzątała się około gości. Siedliśmy do stołu, podali jedzenie, nie było wysmienite, ale znośne, wino też. Człłek głodny a spragniony, to mu wszystko smakuje. Weszło nas kilku razem, kilka też osób zastaliśmy już tam, usłużyć wszystkim było trudno. Stara Duvalowa, służąca, chłopiec, kręcili się jak oparzeni, nie mogąc nam wystarczyć. To ten, to ów, stuknął o stół. — Wina! mięsa! chleba! soli! Wśród tego zamętu, otwierają się drzwi i ze dwiema flaszkami pod pachą, wylatuje do nas... no! Hebe z Olinpu zstępująca nie mogłaby być cudniejszą. Dziewczynina lat może dwunastu, zręczna, szykowna, śliczna! ale co to śliczna! endowna. Aniołek, tylko mu przypiąć skrzydła. takie to było zgrabne, a twarzyczkę miała tak pańską, tak szlachetnych rysów, taką pełną rozumu nad wiek, i sprytu i dumy zarazem, żem osłupiał! — Wszystkie też oczy zwróciły się na nią, choć ona na nikogo spojrzeć nawet nie raczyła, postawiła flaszki na stoliku, podniosła główkę, strzepnęła długie w pukle zwite włosy i wyszła.

— Ależ to dzieciak śliczny! co to będzie, gdy do-
rośnie, — zawołałem zachwycony, chociaż nie łatwo
mnie jaka twarz zająć potrafi.

Mój towarzysz się uśmiechnął i szepce mi na
ucho:

— Co za dziw! królewska córka!

Opowiedział mi tedy na ucho, iż córka téj siwo-
włosój jejności, która się nie pokazywała nigdy, bo
była chorą, w czasie jednéj bytności króla w War-
szawie, pozyskała jego serce. Sierotka jego tak
piękna była królewską córą. Lecz kapryśne serce
Augusta II-go wprędce zapomniało o nieszczęśliwój
Henryecie Duval i dziecię chowało się na łasce babki,
opuszczone dosyć. Jużem później siedząc w War-
szawie, nie chodził gdzie indziej jeść, tylko do Duva-
lowej, aby to cudne dziecię zobaczyć. Kilka razy
próbowałem je zaczepić, zagadać, a było to dumne,
milczące jakieś, nieprzystępne, że się słowa z niego
dopytać było trudno. Przecież gdym starą Duvalo-
wą poznał lepiej, a rozgadał się z nią, uzyskał w do-
mu wstęp i gościnne przyjęcie, jakoś i ta mała się
udobruchała. Obchodziłem się też z dzieckiem bar-
dzo grzecznie i oględnie.

Osobliwość była przypatrzeć mu się bliżej, takie
w téj naturze zawczesne grały instynkta krwi. By-
wało, gdy ulicą idą regimenta gwardyi, kawalerya,
wojskowi jadą, muzyka gra, to się do okna rwie,
drży, rumieni, w rączki płaszcze, a nabiera postawy
jakby żołnierskiej. Te ciemne i brudne izdebki gar-

kuchni zdawały się w niej obudzać wstręt i pogardę. Ubrana ubogo, zawsze wyglądała wyświeczona i umiała się ubrać tak, że można ją było wziąć za paniątko. Admirowaliśmy ją wszyscy, a ona rumieniła się od aplauzów i przyjmowała je, jak gdyby jej były należne.

Jednego razu o porze niespodzianej przychodzę do winiarni, pusto było zupełnie, nawet staréj Duvalowéj nie znalazłem, nagle z trzaskiem otwierają się drzwi i wypada mój dzieciak, ale nie poznał! Lieho więc, z kąd jej przyszła ta fantazyja, przebrała się za chłopczyka, i było jej tak do twarzy, choć klękać przed nią.

Zawstydziła się strasznie, chciała drapnąć, ale nie pochwycił, naśmiewaliśmy się, bo była na mnie jakoś łaskawszą, wyrwała mi się potem, zaczęła maszerować jak grenadyer, pochwyciła moją laseczkę, robiąc nią jak broń, i swawolnie nadokazywawszy sztuk dosyć, furknęła i znikła. Jeszczem takiego dziecka i pięknego i z fantazyją osobliwszą nie widział, jakem żyw.

Wkrótce potem musiałem wyjechać z Warszawy, rok nie byłem cały. Wróciwszy na krótki czas, przypominałem sobie Duvalowę i poszedłem do niej. Przyznaję się, że niecierpliwy był zobaczyć jak mi też to dziecko wyrosło, czy nie zbrzydło, czy nie straciło tego uroku, jaki miało. Znalazłem wszystko jak było, i moją dziewczynkę dobrze wybiegłą w górę jak młoda topolka, a zawsze równie wdzięczną,

zwinną, dumną i wykrygowaną po żołniersku. Stary weteran, piechur, ulegając fantazyi pieszczoszki, wynuczył ją bronią robić, musztrować się, całą służbę pełnić, i umiała ją tak doskonale, że się téj osobliwości napatrzeć nie było można. Co tam za myśl tkwiła w téj młodej główce, Bóg raczy wiedzieć; babka nie mogła jój wyperswadować, ciągle się przebierała po mężku. Najlepiej lubiła chodzić w mundureczyku i nie zajmowała się niczém tylko musztrą.

Narzekała przedemną staruszka, że jój do żadnej robótki, do żadnego zajęcia kobiecego nakłonić nie było można. Ale sędzę, że babka jój téż wielkiego nie zadawała gwałtu, bo się w nią szalenie kochała. Przyjęła mnie po staréj znajomości, niby dobrego przyjaciela, a z dziecinną trzpiotowatością; opowiedziała mi, że wiele postąpiła w muzyce, i że już nad nią nikt nie potrafi lepić robić bronią; że chciałaby tylko teraz jeszcze nauczyć się jeździć kouno, bo jój to jeszcze bardzo jest potrzebne. Gdyin się śmiać zaczął z téj nowéj fantazyi, nachmurzyła się i uciekła.

Pogodziliśmy się wszakże nazajutrz, pozwoliła mi nawet zobaczyć swój klawiecymbalik, który jój babka sprawiła, i dowiedziawszy się, żein grał na skrzypcach, kazała mi skrzypce przynieść i przyjść jój zagrać. Dziecko było tak urocze, żein mimo śmieszności, na jaką się w mych oczach narażałem, przyszedł jój zagrać, z czego była bardzo rada. Trzeba ją

było widzieć w tém ubogiem mieszkanku, w tój ciasnocie i niedostatku, paradującą jak królowa, pewną siebie, swawolną, wesołą chwilami, momentami ehurną a dumną, rozkazującą babce, mnie, wszystkim, co ją otaczali, rozpieszczoną, popsutą, a przecież tak dziwnie, wspaniale piękną, że jēj człowiek wszystko przebaczył to, co by w drugiej wydało mu się nieznosnem.

Znowuśmy się tedy poprzyjaźnili, a gdyśmy wyjeżdżał, czując, że mi jest bardzo miłą, dała mi kokardę niebieską odpiętą z ramienia na pamiątkę, z taką pańską postawą, nagradzając moją nprzejmość dla siebie, iż się babka za boki trzymając śmiała. Boć to jeszcze dziecko, a już odgrywała rolę dorosłej panny, która więc, że ją wszyscy wielbić muszą. Wielce mi, przyznając się, żal było myśląc, że to śliczne stworzenie w tój Warszawie się marnie zwała i Bóg wie, jakiego może doznać losu z tą główką, rozpuszczoną na cztery wiatry.

Schowawszy ową kokardę niebieską na pamiątkę wziętą, jakem wówczas pojechał na wieś, nie było mnie w Warszawie lat kilka i Duvalowa i wnuczka jēj całkiem mi wyszły z pamięci. Nie mogę nawet zaręczyć, bo sobie nie przypominam tego dobrze, czym w stolicy nie był, nie widząc i nie dowiadując się tam wcale.

Dosyć, że w dobrych kilka lat przyszło znowu czasu sejmu jechać do Warszawy, ale już nie dla skrzypek, tylko dla sprawy jakiegós i adwokatów.

Byłem zakłopotany mocno i w głowie mi nie powstało do owój garkuchni pójść, a o starych znajomych się dowiedzieć. Jednego dnia, zasępiony idę ulicą koło Saskiego placu, wtém słyszę muzyka gra, tentent koni za mną, tłum mnie ciśnie, popycha, i choć ja tam tym widowiskom wcale nierad jestem, popełnili mnie tak, że mimowoli dostałem się w pierwszy rząd. Od Krakowskiej Bramy wołają: — Król! Król! Za królem wojsko i gwardyc. Stoję tedy choć z musu, bo już ruszyć się ani sposób. Przodem szła straż jakaś, muzyka, laufry, powozy, anim się nawet dobrze mógł przypatrzeć. Opodał nieco, patrzę, jedzie król konno. Wyglądał, jakby go nigdy pod Klisowem nie potłnkli, niby słońce na konin, głowa podniesiona do góry, włosy w puklach obfitych, oblicze królewskie prawdziwie, jasne, wesołe uśmiechnięte, ręka w bok, na piersi lekka zbroja złocista, koń pod nim w krygach cały, przybrany i kapiący od złota. Za królem, szepezą mi — pułkownik Rntowski, syn królewski.

Podniosłem oczy, chłopiec ładny, kształtny, dorodny i także znać w nim krew. Niedługom nań patrzył, osłupiałem. Obok niego na konin w amazonee niebieskiej, srebrem bramowanej, kapelusik z pióropuszem na lokach, rączka w bok, główka do góry, przysiągłbym, że moją wnuczka Duwałowej. Ale, chyba nie może być. Oczy wlepił, stoję jak wryty. I ta i nie ta, bo wypiękniała jeszcze, wyrosła kibić, jak trzeinka powiewna, a wdzięku, a dumy,

a parady, a blasku w oczach, a na ustach fantazy królewskiej. Czy ona, czy nie ona, dosyć, że podobniuteńka, dwie krople wody. W głowie mi się to zrazu pomieścić nie mogło, co ona robi tuż za królem, prawie przy królu. W téj chwili, gdym się zagapił na nią nieznmiernie, ta mnie postrzegła, uśmiechnęła się, konia zacięła różeczką, aż poskoczył i osadził się, i ręką mi się od ust kłania, jakby mówiła:— A co? albowi nie bogini?

W istocie, była cudownie piękną, oczów od niej oderwać nie mogłem; oglądała się długo ku mnie, główką mi dając znaki, jaż stał, stał, patrzył, aż cały orszak mi z oczów zniknął. Poszedłem do domu jak pijany. Nad wieczorem poleciałem do Duwalowój, garkuchnię zastałem jeszcze brudniejszą, niż kiedykolwiek była, ale o Duwalowój ani słychem. Inni ludzie, gospodarstwo nowe. Gdym zaczął pytać, śmiać się za mnie zaczęli, ramionami ruszać, ażem zgniewawszy się, poszedł precz. Dopiero wieczorem dopytałem się końca téj zagadki. Królewską córkę jakimś przypadkiem poznał hr. Rutowski, syn L'atimy, podobiała mu się siostra, postanowił i ją z téj biedy i upadku podźwignąć. Z samej twarzy, w której delikatniejsze rysy króla się przypominały, poznać w niej było dziecię wielkiego rodu, piękność téż nadwyzczajna uderzała. Rutowski, ubraną po mężku, w mundurku, przedstawił ją królowi, który w niej uznał córkę i wynagradzając jej długie zapomnienie i opuszczenie, natychmiast zajął się jej losem. Była

już w téj chwili hrabiną Orzelską, i noc a dzień budowano dla niej pałac błękitny w Warszawie. Usłyszawszy o téj osobliwszój a szczęśliwój losu zmianie, anim się myślał zbliżyć i przypominać mojej dawnój znajomój z garkuchni od Duwałowój, tylkom sobie zachował ową niebieską kokardę na pamiątkę. W kilka dni potém przyszło wyjechać z Warszawy, anom się później już dowiedział, że mnie tam szukano od pułkownika Rutowskiego i ze dworu. Pomyślałem sobie, to i dobrze, że mnie nie znaleźli.

Wystaw że sobie, dziś ulicą zamkową idę zasępiony, słyszę za sobą na bruku koński tentent, zrazum się i nie obrócił nawet, w tém śmieszek za mną, konie się wstrzymały, a tuż i głos po polsku mnie pozdrawia.

— Dzień dobry panu Wojskiemu, dzień dobry!

Srebrny dzwięczek mnie przeraził, przypomniały się dawne czasy.

Obejrzę się, na koniu siedzi znowu. tylko już nie w niebieskiój ale w czarnój ze złotem amazonce, moja stara znajoma; patrzy się i śmieje. Za nią panów kilku wyzłoconych, wystrojonych, a wszystko to na koniach paradnych, i świeci jak z pudełka wyjęte. Stałem, zdejmując czapkę. Podjechała do mnie, nśmiejając się białemi zębami.

— A co tu wy w Dreźnie robicie? zapytała, a gracie wy jeszcze tak ładnie na skrzypcach?

— Do Drezna mnie bieda przygnała, rzekłem, i rady tu sobie dać nie umiem, a o skrzypcach...

o skrzypeach mowy nie ma, kiedy człek z troską na ramieniu chodzi.

— Dobrze ci tak, panie Wojski, odezwała się śmiejąc, o! dobrze ci tak! Jakto, przybywasz do Drezna, masz kłopoty i nie przyjdiesz do stariej znajomiej, aby się z nią poradzić i spróbować, czy też ona się wam na co przydać nie może. Widzisz! pogroziła mi paluszką, Pan Bóg cię skarał.

— Za co?

— Za niewdzięczność! rozśmiała się, za brak pamięci.

— A przecież, rzekłem, niebieską kokardę do dziś dnia noszę.

Hrabina Orzelska na to w śmiech, odwróciła się do tych panów, którzy na nią jak w tęczę, a na mnie jak na raroga spoglądali, coś zaszwargotała do nich, a potem rzecze:

— Jutro, panie Wojski, przyjdź do mnie o dziesiątej, powiesz mi o swojej biedzie, a po stariej znajomości poradzimy.

Skłoniła mi się główką, nderzyła konia, ten skoczył, znikło wszystko, a jam został jak do bruku wrosły. Ale bo też piękność z niej rozkwitała, jakiej chyba drugiej na świecie nie ma.

— Izważcie tylko, dodał Wereszczaka, usniewającemu się Piotrowi, jak mnie w ulicy zobaczyli, tak ponfale sobie baraszkującego z ulubioną córką królewską, cała ta kalwukata klania mi się, żem czapką im wystarczyć nie mógł i jeszcze dziesięć kroków

nie odszedł, gdy już słyszę, goni ktoś za mną, submituje się.

Patrzę, Brühl! Z okna gdzieś najrzał całej sceny, bierze mnie pod rękę, wyrzucając srodze, że taki niegrzeczny, że o nim zapominam, że czeka na me rozkazy. Myślałem, że mnie zję, i oto, kochany Piotrze, jakim sposobem dziś interesa nasze stoją na najświetniejszych nadziei stopniu.

Piotr go uściskał.

— Między nadzieją a skutkiem wiele jeszcze zostaje do przebycia, rzekł eicho.

— Wszelako, zawołał Wereszczaka, lepiej już od nadziei iść, niż nie wiedząc drogi.

— I powiesz wszystko hrabinie Orzelskiej? spytał Piotr.

— Zobaczymy, zobaczymy, odparł Wereszczaka, to zależy jeszcze od tego, jak mnie ona przyjmie, i jak się tam rozmowa złoży, na każdy raz mam przez nią do króla wstęp, mam pomoc Brühla i już jestem na pół pewien, że nie długo wszystko się szczęśliwie skończy.

Na te słowa skrzypnęły drzwi, kobieca głowa ukazała się w nich, była to Magda z raportem.

VI. Niespodzianka.

Wspomnieliśmy na początku naszej powieści, iż dwaj bratankowie z twarzy do siebie wielce byli podobni. Rysy były te same, wzrost równy, ruchy jednakie. Wprawdzie, jak to zwykle na świecie bywa, gdy życie i charakter podziały różnie na ten jeden materiał wyszły z ręki Bożej, wyrobiły z niego dwie postacie odmienne, przecież zostało w nich jeszcze to podobieństwo, jakie ma nawet Lucyfer upadły do swych braci aniołów. To pokrewieństwo twarzy i teraz jeszcze było uderzające. Nieraz Marya wpatrując się zdala z obawą w swego męża teraźniejszego, zapłakać musiała nad tą losu igraszką, która jęj w znienawidzonym stawiała przed oczy przypomnienie ukochanego. Był on jakby szyderskiem widmem przeszłości, jakby pomstą za dni szczęścia i spokoju.

W chwili gdy pani Sulzerowa weszła tak niespodzianie do pokoju, stał jeszcze Piotr wsłuchany

w opowiadanie przyjaciela. Głowę mając nabita świeżo tak dobrze zapamiętaną twarzą Wita, Magda, która widziała go wchodzącego na zamek, ułękła się, postrzegłszy znowu przed sobą. Wejrzała do izby, przestraszyła się i nie wiedziała już, czy wchodzić, czy uciekać.

Wereszczaka ją poznał, a widząc to wahanie się, podbiegł ku niej zapraszając. Stała wszakże, oczyma mierząc Piotra i do słowa przyjść nie mogła.

— Ale proszę, proszę, rzekł Wereszczaka, to mój przyjaciel.

Magda wahała się jeszcze, skinęła na niego.

— Taż to ten sam przecie, co tę biedną kobietę tam trzyma!

— Co waćpani takiego? ehodź że i przypatrz mu się.

Magda weszła nie bez pewnej obawy, kłaniając się i przyglądając. Strój był inny, człek niby różny przecież podobieństwo uderzające.

— A widziała-żeś jéjmość tamtego? gdzie?

— W ulicy! odpowiedziała, podobni jak bracia rodzeni!

— Bracia, ale nie rodzeni! rzekł Wereszczaka. Tamten łotr z pod ciemnej gwiazdy, a ten najzaczniejszy z ludzi.

Uspokoila się tedy Sulzerowa, lecz nie mniej ciekawie wpatrywała się w pana Piotra, który w nadziei, że się coś o żonie dowie, odchodzić nie chciał. Wereszczaka przybliżył krzesło.

— Proszę siadać, rzekł, i powiedz nam pani, co przynosisz.

— Nie złego, nie złego, szepnęła Magda, niech pan wielmożny będzie spokojny. Tak mi się złożyło szczęśliwie, iżem za pierwszym razem zaraz do téj pani dostąpić mogła i z nią się rozmówić.

— Jakto? byłaś pani? mówiłaś z nią? przerwał Piotr.

— Dziwnie się trafiło, rzekła Magda. Lina Holzerowa, którą paliła ciekawość, a rozmówić się nie mogła, szukała tylko kogo, coby jój mógł służyć za tłumacza. Łatwo mi i nie prosząc było uzyskać pozwolenie wniknięcia. Mówiłam z nią. Biedna pani! bardzo biedna, płacze, modli się, a ten co ją tam osadził, udał przed ludźmi za obłąkaną.

Piotr wzdrygnął się.

— Do téj pory mówiła Magda, płacze swojego niebeszezyka pierwszego. W pierwszój rozmowie nie wiem się mogła z nią dogadać, bo tam też więcej niż słów było, a tuż mnie zaskoczył ów mąż, żem ledwie uciec mogła.

— Zastał waćpania! zawołał Wereszczaka.

— Ale nie, nie, przecież mówię, żem uszła. Słuchałam jeszcze pode drzwiami, jak się kłócił i dukał i groził i szydził z téj nieszczęśliwój.

Piotr bladł, drżał, włosy darł na głowie, napróżno go Wereszczaka znakami dawanemi starał się uspokoić, nie nie pomagało.

— Wrócisz więc waćpani tam znowu? dodał Wereszczaka.

— A! bezwątpienia odpowiedziała Sulzerowa.

— O jedném panią przestrzedz muszę, to, byś nie wspomniała wcale, ani opisywała, kto waćpanię posyła i kto jój w pomoc śpieszy.

— Jam o tém jój mówiła już, aleu nazwiska dać nie mogła, bom go sama nie wiedziała.

— I tak lepiej, dorzucił Wojski, nie mów jej pani nazwisk, nie opisuj osób. Są ważne przyczyny, dla których z tém wstrzymać się należy.

— Ona mi nie łatwo uwierzy pono, poczęła Magda, bo znać dobrze wylekła i wypróbowana od losu, to się jój zdradą wydawać będzie, lub podstępem. Trzeba czemś się złożyć.

— Bezwątpienia, zawołał Piotr, ale jój waćpani jedno tylko powiedzieć możesz, iż ci, co jój pomagać mają, przysłani są od ciotki wojewodzinój.

— No dobrze, ciotki i wojewodzinój, tego już będzie dosyć, dołożyła Sulzerowa, tak jój powiem. Ale co panowie poczynąć myślicie?

— Co? jak się waćpani zdaje? zawołał Wereszczaka, gdy kobietę gnębią i męczą i szaleństwem ją obrzucają, cóż czynić.

— Wyrwać ją ztamtąd! nie ma słowa! odezwała się Magda, ale zawsze jegomościu mój, kiedy to mąż?...

— To nie mąż! zawołał gniewnie Piotr.

— Jakże, mój dobry panie, kiedy ona mi sama to

mówiła, rzekła urażona Sulzerowa, na cóż to przedemną udawać i inaczój powiadać, jak jest?

Dwaj mężczyźni popatrzyli na siebie, Wereszczaka skinął na Piotra i rzekł stanowczo:

— Waćpani jesteś pocziwą i zacną kobietą, nie przed nią bym nie taił, ale moja jejmościuniu, dowiedziona to rzecz, że wam język za zębami utrzymać trudno.

Magda splunęła.

— Eł! zawołała, ludzkie potwarze! a przyznam się wielmożnemu panu, że tak omackiem coś robić, nie lubię i z sumieniem chcę być spokojną.

Piotr wziął ją za rękę.

— Powiem waćpani wszystko, rzekł, ale wiedz jedno, iż wygadawszy się, choćby bez złej woli, kobietę i dziecko zgubić możesz. Ja jestem mężem tej pani, ojcem tego dziecięcia. Ten człowiek podobny do mnie bratankiem moim. Chcąc mi żonę i majątek odebrać, napadł na mnie z ludźmi, i zbitego na placu zostawił. Byłem osiem lat w niewoli u pogan, wyrwałem się z niej i wracam, on wie o tem, żem żyw. Uciekł tu z nią, aby sprawiedliwości uszedł w Polsce.

Mówił jeszcze, a Sulzerowa wpatrzona, przestraszona, rozezulona słuchała drżąc, ręce łamiąc na przemiany, strachem i litością zdjeta.

— Mój panie wielmożny, rzekła, a toć wam pomódz chrześciański obowiązek, a toć wam służyć, sprawa święta. Ale, dodała, ja niewiele rozumiem,

możnaby pójść do króla, oskarżyć, kazać go ująć, a jemu ją odebrać.

— Któż zaręczy, że król uwierzy, gdy on tu na swoich, co mu pomagają, i kto zaręczy, że w pierwszej chwili przez zemstę nową się zbrodni nie dopuści na nią i dziecku? Trzeba więc iść ostrożnie.

— A dla czegoż jęć choć nie powiecie, żeście żywi? zapytała Sulzerowa, bo to się aż w głowie przewraca.

— Nie możnaż jęć tego nagle zwiastować, dodał Wereszczaka, boć i wielka radość niebezpieczną bywa, ale właśnie do tego idziemy.

— Przedewszystkiem wyrwę ją ztamtąd!

— Tam ci nikogo nie ma oprócz Liny Holzerowej, byle jejność iść chciała, a ludzi kilku, to ją weźmiecie łatwo.

Zamyśliła się wszakże Magda.

— A no, nie, odezwała się potrząsając głową, inaczej to zrobić należy. Musimy z gospodynią mówić; kobieta nie zła, tylko chciwa. Kupić ją trzeba.

— Zapłacimy, zawołał Piotr, zapłacimy, co zechce.

— Mam iść dzisiaj? spytała kobieta.

— Jak tylko waćpani uznasz, że można, dodał mąż, śpieszyć musimy, aby jej oszczędzić cierpienia.

— No dobrze, spuście się na mnie, szepnęła, ja obmyślę, co trzeba, panowie przygotujecie, co do was należy, nie stracimy chwili. Naprzód — nie ma co kłamać, rzekła po namyśle, trzeba ją przygotować

do tego, iż mąż niepewno, że zabity, że o nim coś od Turków słyszano. Już proszę mi to zostawić, ja sobie rady dam.

Skończyła się rozmowa roztrząsaniem drobnych szczegółów. Tego dnia blisko nadchodzący wieczór już nie przedsiębrać nie dawał. Wereszczaka poszedł się dowiadywać o pałac Orzelskiej i coś kupić w mieście, Piotr sam został.

Słońce miało się ku zachodowi, gdy zniecierpliwiony, roznamiętniony, pochwycił czapkę i wybiegł z mieszkania. W rozmowie z Magdą dowiedział się, że Wit Maryę umieścił na Nowém-Mieście, i że dom był Holzerowej. Powiedział sobie w duchu, iż się przecie dowiedzieć potrafi, gdzie ta kamienica leży i niepostrzeżony przynajmniej zdała koło niej się przejdzie. Trochę przysłoniwszy twarzy, o ile pora dozwalała, nie obudzając podejrzeń, puścił się uprzedzając powrót Wereszczaki, któryby mu pewnie wyniósł nie dał i w mgnieniu oka był już na moście. Franz drążnik, który go w mieszkaniu Wojskiego widział raz kilka, teraz przebiegającego około lektyk przy zamku zobaczywszy, gdy go pośpieszny chód uderzył, pomyślał, że się może zarobek nadarzy i puścił się za nim w pogoń. Nie rychło go postrzegł Piotr i poznał.

— Mybyśmy pana grafa prędej zanieśli w lektyce, zawołał.

— Chciałem się przejść pieszo, odparł Piotr, ale słuchaj, kiedyś już jest, znasz Nowe-Miasto?

— Każdy dom i uliczkę! Jam się tu przecie nad Elbą urodził i mam nadzieję, że mnie tu pochowają.

— Jest na Nowém Mieście jaki dom Holzerowój? Franz się uśmiechnął figlarnie.

— El! to się już grał, przepraszam, spóźnił, stara baba, dawniej była niezego.

Piotr się namarszczył, trzeba jednak znieść i wysłuchać było.

— Dom Holzerowój na Meisnerowskiej ulicy, poprowadzę pana i pokażę.

— Idź przodem, rzekł Zagłoba, nie oglądaj się na mnie, gdy przyjdiesz pod dom, stań, postój, obejrzyj się i wracaj natychmiast nazad.

Dał mu talara, Franz się puścił żwawo ani słowa nie mówiąc. Nie można było powiedzieć, żeby się oglądał, przecież czuł Piotr, iż się do jego chodu stosuje.

Wyprzedził go do domu, stanął, postął, poszedł do piekarza bułkę kupić i zabrawszy ją już wracał, gdy Zagłoba zwolna dopiero się do wrót zbliżał. Minęli się tak, nie mówiąc słowa. Piotr się też ani tu domowi mógł przypatrywać, ani miał nadzieję cokolwiek zobaczyć, wiedział już z opowiadania Magdy, iż mieszkanie Maryi wychodziło na ogrody ku Elbie. Szło mu o to, ażeby domostwo obejrzeć, i choćby okna z tamtej strony oglądać. Ówczesne ogrody nie były jeszcze tak poostawiane murami, tak obwarowane szczelnie, jak dzisiejsze. Uliczka po za hauptwachłą przy moście spuszczała się ku Elbie, do-

zwałała wyniść aż na brzeg rzeki za ogrody i złamać próbować czy by się wewnątrz dostać nie można.

Piotr niewola swą, wędrownkami pieszemi, nawykły był do osławiania się łatwego z miejscowością, instynktowo znalazł przejście, spuścił się aż do rzeki, a że woda była mała, suchą, szeroką znalazł dróżynę na wybrzeżu. Ztąd już dom znaczny zdala Holzerowej widzieć było i okna jego ujrzawszy, pan Piotr zadrżał z radości.

W blasku zachodzącego słońca, w jednym z nich spostrzegł właśnie ukrytą za gałęzmi wierzb, znaną mu, wyrytą w jego pamięci twarz Maryi zbladłą, wychudłą, ale nie zmienioną. Obok niej złotowłosa główka dziecięcia oczkami w niebo podniesionemi goniła chmurki po niebie. Piotr stanął, oczy mu zasły łzami, musiał pochwycić za pień drzewa, ażeby nie paść od wzruszenia. Wzroku od tego okna oderwać nie mógł, patrzył nienasycony, spragniony, prawie szczęśliwy. Dopiero po dłuższej chwili przyszło mu na myśl, że gdyby go tam kto spostrzegł tak utkwionego nieruchomie, mógłby dziwne powziąć podejrzenia, ale trudno mu się było oderwać od widoku dwóch istot najdroższych, z których jedną znalazł złąkaną, drugą rozkwitłą i wyrosłą. Dwie te ukochane główki pochylone ku sobie, spojone uściskiem, poglądały na świat jakby strudzone i znudzone nim i dniem za długim i za długim życiem. Dwa razy przychyliwszy się do dziecięcia, matka mu coś szeptała na ucho. Urszulka uśmiechnięta podniosła

ku mój oczki, ręką przyciągnęła ją do siebie. Biednemu Piotrowi, który w pierwszej chwili był ze swojego miejsca szczęśliwy, teraz za dalekim się ono wydało, szukał środka czyby się zbliżyć nie można niepostrzeżonemu. Postąpił kilka kroków. Drewniany płot od Elby dosyć niedbale sklecony, około którego gdzieniegdzie wierzby rosły, miał furtkę ku rzece. Drżącą ręką popróbował jęj przechodząc, nie była zamknięta; pokusa, pragnienie zbyt wielkie, któremu oprzeć się nie mógł, wciągnęło go do wnętrza. Ogród był zarosły krzewami dosyć wysokimi, które prawie wchodzącego zakrywały. Z po za nich widać było ganek domu i wyjście do ogrodu, a w górze owo okno otwarte, jak raju brama. Cicho, powolnie, ostrożnie skradając się Zagłoba sunął się coraz bliżej, serce mu biło strasznie. Cień drzew zakrywał go i dostrzedz z okien nie dawał. Szedł, póki krzewów i drzew stawało, i tu wreszcie zatrzymać się musiał. Z miejsca swego nie tylko widział Maryę i Urszulkę, ale szczebiotanie dziewczeczki doszło uszów jego. Jak się było ztąd oderwać, jak odejść! W téj chwili z po nad głowy dziecka jakby rażonego trwożą, wyjrzała nagle głowa rotmistrza, który się pochylił, oczy topiąc w zielonych głębiach ogrodu, jak gdyby w nich szukał czegoś. Przeląkł się Piotr, sądząc, że go postrzedz, jeśli nie poznać może, i przycisnął do pnia lipy. Marya i Urszulka znikły z rami okna. Rotmistrz stał długo, długo z niedowierzaniem rozglądając się w ogrodzie; potem zwolnił okna

zamknął, zaryglował i zniknął. Szary mrok padać zaczynał. Korzystając z niego, cały jeszcze rozmazany Piotr wysnął się powoli z ogródka, wybiegł nad brzeg, nad rzekę i zdało mu się, że weale dostrzeżonym być nie mógł. Brzegiem rzeki szli ludzie od czółen z wiosłami na plecach, szli rybaacy Serbowie, których mowa staro-słowiańska uderzyła ucho Piotra, wniósł się między nich i nieznacznie powrócił w ulicę ku mostowi, który prowadził do miasta. Pomimo dosyć szczęśliwego składu okoliczności i nadziei odzyskania prędkiego istot ukochanych, Piotr był smutny, coś jakby niewytłómaczone przeczenie złego miotало jego sercem, napróżno chciał się otrząsnąć z wrażenia, gniotło go i uciskało. Zwolna powlókł się do mieszkania mijając oświecony zamek, przy którym mnoga służba i konie oznajmowały o jakimś tłumném zgromadzeniu, lub zabawie. Z góry słyhać było nawet przygrywającą muzykę i jakby hałaśliwie wznoszone toasty. Buchnęły one kilka razy i po nich nastała cisza, w rynku za to było pusto. Piotr doszedł do kamienicy i w samym jej progu spotkał Wereszczakę, który powracał także z jakimś węzełkiem pod pachą.

— Gdzieżeś to bywał? zapytał.

— Chodziłem się przejść, w tamtą stronę ku zamkowi.

— Nieostrożność wielka, a nóż by cię gdzie Wit zwietrzył, mógłby nam zamknąć jak nie. Mójże Pio-

trusiu cierpliwość, przynajmniej dopóki ja się z Orzełską nie zobaczę.

— Nikt mnie nie widział, i niespotkałem się z nikim, odparł Piotr. Chodźmy na górę.

Poszli więc. Ledwie próg przestąpili, przyszedł się im pokłonić gospodarz, Niemczyk w czarnej czapce na łysinie, bardzo grzeczny, ale dziwnie nieprzyjemny. Przepraszał on polskich panów grałów, że się im był zmuszony naprzykrzać, lecz okoliczności pewne, potrzeba pilna wymagała. by ich prosił o zapłacenie komornego i rachunku.

Uderzyło to Wojskiego, który kazał sobie podać na piśmie ile należało, ale zarazem dosyć dumnie oświadczył, iż nazajutrz się wynoszą. Niemiec na to uśmiechnął się nieznacznie, pokłonił, nie odpowiedział nic, ale ani się uniewinniał, ani nadal zapraszał. Wereszczaka zapłacił złotem milczący i gospodarza pożegnał, który odszedł z pokłonami nie mówiąc nic.

— To nie jest bez kozery! zawołał Wojski po wyjściu Niemca, nie mogę zrozumieć, plotka jakaś czy intryga, wszakżem pewny, Jezu najśłodszy, że taki niemaszek nie pozbywa się chętnie z domu tych, którzy mu dobrze płacą.

— Może sobie znalazł takich, co mu lepiej jeszcze płacić przyobiecali, rzekł Piotr.

— Byłoby to prawdopodobnem gdyby połowa mieszkań, równie porządných jak nasze, nie stała pust-

kami, dodał Wereszczaka, ale kat go bierz, mniejsza o to.

Pogadawszy jeszcze chwilę, pokładli się spać. Pod owe czasy, mimo, że w zamku przeciągała się często zabawa bardzo długo, miasto uciszało się i usypiało około dziesiątej godziny. Domy zamykano w wielu miejscach o dziewiątej nawet, światła gasły i ruch wszelki w mieście ustawał. Właśnie na zegarze w kościele Świętego Krzyża wybijała dziesiąta, gdy w pośród tej nocnej ciszy, dały się słyszeć turkot powozu i tentent ciężkich koni. Co dziwniejsza, zbliżył się on do kamienicy i zdawał zatrzymywać u bramy. Wereszczaka, który jeszcze nie spał, wyjrzał przez okno, noc była dosyć jasna. Przed wrotami stał jakiś czarny wóz kryty i przy nim kilku konnych ludzi, a tuż nderzono do bramy dosyć gwałtownie.

— Co też to może być? pomyślał sobie Wojski. czyby to byli jacy podróżni?

Na dole dał się słyszeć brzęk klęczów, szwargotanie, potem gadanie głośnie, potem stąpanie po schodach, aż nareszcie zaczęło stukać mocno do drzwi mieszkania. Przez nie bardzo szczelne deski, wpadało światło.

Wereszczaka, który pierwszy się zerwał i przyskooczył, posłyszał głos gospodarza domagającego się aby mu otworzono. Inne jakieś głosy dosyć szumnie popierały to żądanie. Nie mogąc ani zrozumieć, ani się domyslić cohy to być mogło, Wojski odryglował.

Natychmiast wszedł w wysokie butach palonych z ostrogami, w kapeluszu stosowanym, w mundurze wojsk saskich, przy szabli wojskowy jakiś, trzymając w rękę papier, a za nim gospodarz i trzech żołnierzy, z których jeden pozostał u wnijscia, a reszta za zdumionym postępując Wereszczaką wtargnęła we-wnątrz mieszkania. Oficer spytał go po niemiecku, czy on był... a nie mogąc wymówić nazwiska, pokazał mu papier, na którym stało coś podobnego do Wereszczaki. Zatem nie rozprawiając dłużej, domagał się towarzysza jeszcze. Jeden żołnierz został przy Wojskim, któremu się kazano ubierać niezwłocznie, drugi z oficerem i gospodarzem szedł dalej, w widocznym zamiarze wyszukania Piotra, który już stał na pół odziany w prog, rozbudzony tą wrzawą. Oficer aresztował natychmiast Zagłobę i jemu też odziewać się polecił, na wszystkie pytania odpowiadając tylko ruszeniem ramion i uderzeniem ręką po papierze. Co kilka minut naglił, ażeby wyjeżdżać? Spytano go: Dokąd? — ruszył ramionami tylko, nie dał odpowiedzi. Gospodarz nie mógł lub nie chciał ich objaśnić, widoczném tylko było, że wiedział zawczasu o losie swych gości, gdy z nich należność ściągnął. Wereszczaka spytał, czy mogli zabrać rzeczy, na co otrzymał odpowiedź potwierdzającą. Piotr chmurny nie odrzekł ani słowa.

Co to miało znaczyć — nierozumieli dobrze; domyślali się wszakże jakiś zdrady i zapewne wypędzenia z Saksonii aż do granicy polskiej. Próżno było

żale rozwodzić i szukać winowajcy! Zaledwie dano czas rzeczy zebrać; gdy już oficer dał znak do wyjścia, żołnierzy dwóch puszczał przedem, następnie rozkazawszy iść aresztowanym, a zamykając pochód sam z drugim żołnierzem. Tak zeszedli ze schodów i zbliżyli się do bramy. Tu stał człowiek z pochodnią przyświecając do wozu, który bardzoniępocześnie wyglądał. Czarno malowany, z małym okienkiem kra-
ciastym, zamknięty był w dodatku na żelazną kłódkę. Piotr i Wereszczaka we środku znaleźli jeszcze jednego żołnierza z bronią i wązkie drewniane, nie wygodne ławeczki. Oficer dosiadł konia.... Drzwiczki za nimi zamknęły się zaraz, pochodnia zgasła i powóz ruszył z wolna po bruku.

— Nie ma wątpliwości, że nas do granicy odstawia! szepnął Wereszczaka. Lecz w tejże chwili żołnierz siedzący nakazał:

— *Still!* i musieli zamilknąć.

VII. Na Koenigsteinie.

Dopóki powóz toczył się po bruku miejskim, przez małe okienko mogli kiedy niekiedy miano noc, to światło zobaczyć, to ludzki głos posłyszeć, to jakiś znak życia pochwycić; wkrótce jednak z kamieni zjechali na zwyczajną drogę i Wereszczak zdało się, że ani mostu, ani nowego miasta nie przebywali. Noc i cisza ich otaczała, wiatr tylko słychać było. chwilami sinagający ściany powozu tego osobliwszego i tentent koni otaczających i szepty żołnierzy.

Powóz posuwał się dosyć powolnie, po drodze nie zbyt równiej, migały nad nią wysadzane znać drzewa. Gdzie byli rozpatrzyć się, odgadnąć nie umiał Wojski, a Piotr tak był przybity wypadkiem, że padłszy na ławę, prawie bezprzytomny z bólu, pozostał nieruchomy i nie myśląc nawet śledzić, co się z nimi działo.

Wereszczak pomyślał tylko: — No, zdziwi się moja hrabina Orzelska, gdy się ję jutro nie stawię. Zapyta może Brühl, co się ze mną stało? Nie po-

dobna, ażeby to bez wiedzy wyższych władz uczyniono... więc się wprzód dowiedzieć muszą i — spodziewam się, że nas uwolnią. Jużciż w Saksonii jakaś sprawiedliwość i porządek istnieje, więc choćby omyłka się stała, to ją wprzód naprawią.

Pomyślał potem Wojski, iż w tém być może także intryga Wita, który mógł doszpierać przybycia Piotra, zobaczyć go gdzie i — może postarał się, aby go wywieziono. Dokąd? — naturalnie, nie gdzie indziej, tylko za granicę. Zdało się nieco dziwném Wereszczace, że jadąc w tę stronę, mostu nie przebywali. Ale w tym popłochu mógł téż nie uważać, kiedy go minęli. Nie lękał się tak bardzo o siebie, pewien, że wprzód rzeczy wyjaśnić się muszą. Żał mu było Piotra, którego rozpacz przeznawał, choć twarzy dojrzeć nie mógł.

Zdawało się potem panu Wojskiemu, jakby z lewej strony przez okno dojrzał wody błyszczące, która się ciągle im ukazywała z jednego boku. Miałażby to być Elba... i eaby ona tu robiła?

Nie spuszczał oka, licząc prawie drzewa nad drogą i owe jasne błyski wody. Ale szczupłe zakratowane okienko nie wiele mu widzieć dozwalało, a noc ciemna trwała ciągle...

Powóz stanął znać dla przemiany koni, słychać było rozanowę żołnierzy, fukanie i nawoływanie, potem ruszył się znowu i jechali dalej. Drzwi nawet nie otworzono i nie spytano ich, czyby czego nie potrzebowali. Postanowili téż nie żądać nic, dopóki

się położenie ich nie wyjaśniło. Pomimo utrapienia, niepokoju i niewygodnego siedzenia, Wojski począł ze znużenia drzémac. Piotr z oczyma w żołnierza wlepionemi, siedział oślepiały. Jechali tak całą noc.

Niekiedy czuć było po rozlegającym się kół lukn, iż przebywali mosty, potem wlekli się jakby po piasku, koła uderzały o kamienie, wóz przechylał się czasem niebezpiecznie. Dnić nareszcie i szarzyć co raz zaczynało wyraźniej; Wojski się przebudził, migały ciągle drzewa, a gdy się nieco podniósł w lewo, zobaczył wodę znowu, po nad którą ciągle jak się zdaje jechali. Drugi jej brzeg wysoki był, zarosły lasem, a gdzieśniedzie z pośrodku drzew słupiate skały szare wystawały.

— Kat ich wie, dokąd oni nas tak wiozą? mrucał Wojski, ale to pewna, że na drodze do Wrocławia, nie podobnego nie widziałem.

Piotr nie patrzył nawet.

Dzień jasny był zupełnie i okolica coraz wyraźniej dawała się rozpoznawać przez małe okienko. W prawo były góry zielone, obrosłe gąszczami, na lewo stromy brzeg i rzeka.

Mignęły mnrowane domki jakieś, niby dworki i wioski, nie zatrzymywano się nigdzie.

— Ciekawa rzecz, póki to tego będzie? mówił w duchu Wojski, boć przecie gdzieś jeść dać muszą, i zatrzymać tę utrapioną jazdę na ławce, od której kości bolą.

Weszło słońce blade... żołnierz dodany im do towarzystwa spał. Piotr dumał. Wereszczaka przyglądał się; jechali a jechali... ale teraz jakoś bardzo wolno i pod górę. Zdawało się Wojskiemu, że żołnierze pobiegli przodem, oficer coś zakomenderował. Góra była stroma i konie ledwie się wlokły. Trwało to dobry kwadrans, gdy nagle jakieś wrota skrzypnęły, konie uderzyły o bruk, zrobiło się ciemno, wjechali w bramę sklepioną. Wóz stanął. Przez okna widać tylko było kręcących się żołnierzy, biegających ludzi, pośpiesznie zwołanych jakichś kluczników. Piotr ruszył się z siedzenia, aby obejrzeć.

W tę kłódkę zamykającą drzwiczki otwarto, odemknęto powóz i mężczyzna w szarój opończy dał znak siedzącym wewnątrz, ażeby wysiadali. Domyślili się, że ich do jakiegoś zamku i więzienia przywieziono. Wóz dokoła otaczali żołnierze; wrota, któremi wjechali już były zaparte. Przez drugi otwór ich przeglądał obszerny dziedziniec, otoczony mury wysokimi, do których przyparte były zabudowania posępnie wyglądające. W jednym rogu baszta ogromna z wązkiemi okienkami, nie tynkowana, górowała po nad mury.

Gdy pan Piotr wysiadł, otoczono go natychmiast i oddzielono od Wereszczaki, który ledwie miał czas uścisnąć mu rękę. Poprowadzono go przodem pod strażą w podwórze i znikł Wojskiemu z oczów. Po chwili kazano wysiąść i jemu, obstąpili go żołnierze,

klucznik poszedł przedem, wiedziono go widocznie do więzienia.

Wereszczace nie tak było straszném zamknięcie, jak gwałtowne oddzielenie go od Piotra, dla którego samotności się obawiał. Nie było wszakże sposobu, bo na domaganie się o rozmowę ze starszym, odpowiadano mu tylko groźbą, fukiem i popehnięciem na ścieżkę, którą miał iść. Żołnierz niósł za nim węzełek. Weszli w podwórzec obszerny, staremi drzewy zarosły, i tak opasany ogromnemi korytnami, iż świata za niemi widać nie było. Kilka baszt i wysokich gmachów, studnia, trochę żółtkłej trawy, nie więcej nie zobaczył Wojski. Prowadzono go po nradzie właśnie do jednéj z owych baszt niepocześnie wyglądających i po wązkich schodkach nie wygodnych na drugie piętro. Tu drzwi dębowe otworzył klucznik, wskazał oczyma więźniowi wewnątrz. Wojski wszedł, wrzucono jego tłómczek i wrota zaparły się szybko za nim. Pozostał sam...

Pierwszém staraniem jego było daną mu tak uprzejmie kwaterę obejrzyć. Składała się ona z cinki przy wnijściu wązkiej i właściwego mieszkania, z jedném oknem małém, wysoko umieszczoném, do którego przecie w grubości muru wyciosane wiodły schodki. Okno żelazne, opatrzone kratą, gdy spojrział przez nie, wskazało Wojskiemu, że się znajdował w zamku, na ogromnój jakiejś górze wzniesionym. Widok ztąd rozciągał się na odległy krajobraz górzysty, który wstęga szerokiej rzeki przecinała.

W dali, na drugim jój brzegu, widać było skalistą stożkowatą górę lasem okrytą, a po za nią falowate wzgórza, osady, lasy. Mógł ztąd przynajmniej więzien popatrzeć na szeroki świat Boży, ale nieznany jakiś, cudzy i dziwnie mu wyglądający... Zszedłszy ztąd, znalazł Wereszczaka łóżeczko skromne z sieni-
nikiem, stolicek, słomą wyplatane krzesło, dzbanek bez wody i otłuszczoną miskę... więcej nie.

Mieszkanie wygodném nie było, ale Wojski westchnawszy. pożalował tylko, że z sobą skrzypców nie wziął. Mając tyle wolnego czasu, byłby sobie wygrywał po dniach całych...

Co się z Piotrem stało? — nie wiedział, zdało mu się wszakże, iż go przedtem do tój samej baszty prowadzono, gdzie zaś osadzono? odgadnąć nie umiał. Pocieszało to Wojskiego, że miał na sobie podróżny kaftan łośiowy, cały wypikowany dukatami i trzosik dobrze zachowany pod nim. Za pieniądze mówił sobie, koniec końcem zawsze się coś kupić daje, trochę wygody, trochę swobody... zresztą, któż wie?

Przeszedł się po izbie raz i drugi, kąty obejrzał, ściany rozpatrzył... i stanął zdziwiony bardzo. Na wydrapanym tynku, doczytał się napisów łacińskich i polskich. Stały lata szeregiem notowane jedną ręką... długie! długie! Zły to był znak dla Wojskiego, — ale od czegoż? myślał, — hrabina Orzelska.

Ranek już był późny, a bodaj bliżej południa, gdy zabręczało, zastukało i stary klucznik nadszedł. Rece włożywszy w kieszenie opończy, stanął naj-

przód, ażeby się dobrze więźniowi przypatrzeć, widocznie chciał rozpoznać z jakim człowiekiem i naturą będzie miał do czynienia, popędliwą czy spokojną, chytrą, czy lekkomyślną. Wojski prawie równie spokojny, przyglądał się także klucznikowi, mając pobudki nie mniejsze do odgadnięcia co był zacz. Ale z żółtej, pargaminowej twarzy człowieka zubożniałego nie się nie czytało. Była zamazana jak karta, na której by studenci długo piór próbowali.

Zaczął tedy klucznik od niemieckiej przemowy, pytając więźnia czy co rozumie. Wojski umiał trochę z żydowska po niemiecku, a główne wyrazy pierwszej potrzeby nie były mu obce, choć więc nie zbyt klasycznym stylem, porozumieć się mogli, z czego stary zdawał się dosyć zadowolony. Chciał też może wiedzieć jedno jeszcze, czy więzień będzie miał czem płacić i obznajmił mu dosadnie dosyć, że jadło więzienne było bardzo liché, chléb bardzo czarny, piwo kwaśne, ale, że wszystkiego czego dusza mogła zapragnąć, za pieniądze w Königsteinie dostanie.

Posłyszawszy to złowrogie imię twierdzy, w której już naówczas nie jeden z ziomków jego spędził długie lata, Wojski widocznie pobladł i zmięszał się. przypomniał sobie wszakże Orzelskę, Brühla i wstąpiła weń otucha.

Zapowiedział staremu, że za jedzenie płacić będzie, choćby nawet i za towarzysza, którego z nim

razem przywieziono, a zarazem spytał, czy z więzienia do króla i ministrów pisać wolno.

Kłecznik się rozśmiał tak, jakby go spytano, czy wolno wyjeżdżać konno na spacer.

— Ani odrobiny papieru, ani kropli atramentu, ani żdźbła pióra mieć paan nie wolno, a pisać, rzekł, chyba paznogiemi po ścianie. Tęgo ja dla pociechy nie bronię.

Wojskiemu zrobiło się smutno.

Nastąpił szczegółowy cennik różnych wiknałów i napojów, za których dobór tém smutniejsz mógł ręczyć stary Wulf, iż jego własna żona dostarczeniem dla więźniów tych wygódek się zajmowała.

Napróżno usiłował Wereszczaka rozmowę skierować ku rzeczom ogólniejszym, coś się dowiedzieć, czegoś pocieszającego zaczerpnąć. Kłecznik nie rozumiał nic nad to, że mu oddano człowieka do pilnowania, za którego odpowiadał i powinien był sobie z niego korzystać, dopóki miał trochę zapasu. Doświadczenie nauczyło go, że każdy taki więzień zrazu się spodziewał bardzo rychłego uwolnienia i szafował tém co miał do osłodzenia chwil pierwszych, a potem... Nie dając się zatrzymać dłużej Wojskiemu, który miał wielką do rozmowy ochotę, kłecznik machnął ręką i wyszedł.

Za drugim przyjściem zapytał go Wojski, gdzie posadzono jego towarzysza, na co się rozśmiał tylko stary i mówić nie już nie chciał więcej. Pod wie-

czór przyniesiono kaganek i zamieniono go po usilnych prośbach na świecę.

Wereszczaka położył się wcześniej, a choć mimo letniej i gorącej pory, w murach było chłodno i wilgotno, usnął z wielkiego znużenia.

Następny dzień upłynął zupełnie do poprzedzającego podobnie. Zapłacił Wereszczaka za jadło, za napój, dał dość znaczny podarek klucznikowi dla ujęcia go sobie, chociaż stary przyjął to dość obojętnie, patrzył długo przez okno na okolicę, potem zateśknął, pomyślał o domu, zakręciła mu się łza i sam się rozśmiał z siebie, iż mógł tak brać do serca omyłkę. Był bowiem pewny, że Orzelska dowie się o jego losie i postara o uwolnienie. A tenże serdeczny Brühl taki miły i wylany dla Niemiry i dla niego! Oczewiście, tylko tak prędko się to jeszcze dokonać nie mogło.

Trzeciego dnia wieczorem, Wereszczaka zmiarkował, że to się może przeciągnąć i że dla porządku należało na ścianie dnie sobie znaczyć, aby się nie pogubić z niemi. Zapisał więc daty starannie i chwilę czasu spędził na rozpatrywaniu po murach, które ciekawą były kroniką. Stały tam napisy różne, sentencje łacińskie, daty, nawet rysunki, godła i herby. W ogóle mimo pięknego widoku, dosyć było nudno, Wojski bardzo żałował, że skrzypców z sobą nie miał. A na tak krótki czas starać się o nie i kupować lada co nie było warto.

Po tygodniu, z klucznikiem już dosyć dobra przy-

jaźń została zawartą. Widząc, że Wereszczaka obrzydliwie się nudzi, Wulf przyniósł mu starą Biblię niemiecką bez początku i końca, wyczytaną mocno, ale w środku jeszcze nie zbyt poszarpaną. Wojski popatrzał na nią, pokiwał głową, słowo Boże w języku którego nie lubił, zdawało mu się sprofanowaniem, odsunął księgę i podziękował. Zobaczył też sam gdzieś nazwisko Lutra, które go oparzyło.

Innego dnia Wulf mu przyniósł wiązanek kwiatków i położył na stole. Tę Wereszczaka pochwycił cichowie bardzo, uśmiechnął się do niej, zapłacił za nią, bo mu jego lasy, pola, ogród i swobodę wiejską przypominały, niektóre z nich nawet były dobre, stara znajome. Zapach płynął od nich uroczy, śmiały się biednemu myśliwcowi, gdy je do ust przyciskał. Dnie za dniami płynęły jednostajnie, cicho, głucho, a szereg wypisanych na ścianie przedłużał się, przeciągał, a od zbawczyni owój, ani słowa. Wereszczaka posmutniał! On, jak on! ale starszka matka! ale biedny Piotr, i ta Marya, nieszczęśliwa ofiara? co się tam z nimi wszystkimi działo? — myśleć nie mógł. Czasem zapłakał, choć się też wstydził. Klucznik był człek dobry, nieubłagany tylko gdy szło o to, co przepisani więzieniemu dozwolone nie było, naówczas milkł i uchodził. Postrzegł wszakże Wereszczaka, iż na nim złoto czyniło wrażenie wielkie, prawie nie przeparte. Drugiego tygodnia, wypruł siedząc w oknie, kilka dukatów błyszczących, które w łosiowej skórze chodząc, na-

brały pięknego połysku, rozłożył je na stole i czekał. Stary przyszedł z jadłem, popatrzał na zwodników, odsunął je zwolna i ostrożnie, miskę i talerz postawił, sam z założonemi w tył rękami, jak gdyby się pokusie chciał obronić, nie odszedł zaraz, ale oczyma je po trosze zjadał. Z Wojskim mogli się jako tako rozmówić.

— To dla waszeci, odezwał się śmiało Wereszczaka, ale, ale, nie darmo. Posłuchaj mnie tylko, nie ma żadnego niebezpieczeństwa, rzeczy wielkiej nie wymagam. Posadzono tu kędyć mojego towarzysza, gdybyś mnie z nim na kwandraus tylko sprowadził na rozmowę, jego tu, czy mnie tam, wszystko jedno, weźmiesz sobie to złoto.

Klucznik ruszył ramionami, poburczał pod nosem, drzwiami rzucił i wyszedł.

Wereszczaka wszakże na widoku pieniądze zostały, ale wieczorem nie powiedział mu już słowa, na-
zajutrz też. Ile razy Wulf przyszedł, a pieniądze spostrzegł, gniewnie na Wojskiego wejrzał i wychodził w najgorszym usposobieniu. Dukaty sobie leżały. Czwartego dnia Wulf oparł się o stół.

— Schowaj-że to pan, z tego nie być nie może?

— Dlaczego? w nocy wszyscy śpią, nikt nie sły-
szy, nie widzi, poprowadzisz mnie z sobą, wrócę z wami. Bramy przecież zamknięte, a ja uciekać nie myślę.

— Nie może to być, nie może, zamruczał klucznik. Darmo kusisz człowieka.

Piątego dnia Wnif spytał.

— A długo chcesz z nim mówić?

— Pół godziny.

— Nie może być!

— Kwandrans.

Potrząśł głową.

— Dziesięć minut.

Wyszedł bez odpowiedzi, ale Wojski otuchy nabrał. Spać się nie położył wcześniej, bo go już i sen nie brał, o północy jeszcze chodził po izdebce patrząc na świecący nad okolicą księżyc, gdy zaskrzyphiało coś w zamku. Zerwał się ku drzwiom, ale zamiast klucznika wsunęła się nieznana postać. Kobieta chuda, wysoka, kościeista, straszna, z siwemi na głowie najeżonemi włosami, osłonięta chustą spadającą długo, czysto wiedźma nocnica. Skinęła na Wojskiego, który się dorozumiał po latarce w jej ręku, że go chce gdzieś prowadzić i wyszedł. Po cichu się spuścili schodami w dół baszty, zakręcili w korytarz ciemny, długi, gdzieś może w okólnym murze wykuty, zeszli jeszcze raz po schodach, stara odryglowała drzwi, popehnęła Wojskiego dając mu latarkę, a sama została na progu. Z bijącym sercem wbiegł do niskiej izby sklepionej Wereszczaka i przy blasku skąpém latarki, ujrzał Piotra, który znać niepoznaawszy go zrazu, z oczyma otwartemi, leżał na tapczanie słomą narzuconym.

Milcząc, padli sobie w objęcia.

— Jakes się tu dostał?

— Nie pytaj! czasu nie ma, mów, jak ci tu jest? spytał Wereszczaka.

— Źle, — okrutnie źle, — szepnął, głos zniżając Piotr, my tu umrzemy. Ja! to przeznaczenie moje! ale ty...

— Ani ja, ani ty, zawołał Wojski, czując, że się to rozjaśni, odkryje, i że wkrótce będziemy wolni. Mam wiarę jak najmocniejszą.

Piotr westchnął. Mieniając szybko słowa, dopytał Wojski położenia izby więziennój przyjaciela. która leżała, jak się zdawało, w tej samej baszcie, ale o dwa piętra głębiej. Z okna jęj nie było widać nie oprócz wału okrytego trawą i rozsianemi po niej kamieniami. Podzieliwszy się z Piotrem pieniędzmi, których lękał się, ażeby mu nie zabrakło, Wojski wywoływany natrętném baby chrząkaniem i pukaniem, uściskawszy po kilkakroć przyjaciela, wysnął się, ocierając łzę z powieki. Nadzieja w sercu jego osłabła była już nieco, teraz odżyła znowu chwilowo. Bóg sprawiedliwy, rzekł w duchu, źli trymfują czasem, ale zwycięstwo ich trwa krótko. — Wszystko się wyjaśnić musi, a ktoś się przecie o nich upomni.

Gdy nazajutrz przyszedł klucznik, jakby o niczem nie wiedząc, że śniadaniem dla Wojskiego, ten mu wetknął dukaty leżące na stole, a z kieski dobył jeden jeszcze i mileząc go dołożył, nie powiedział do siebie ani słowa. I znowu kilka dni upłynęło,

a w losie więźnia niezmieniło się nic. Dostał tylko na wagę złota szarego papieru kawałek, trochę białego atramentu i rozszczepione pióro suche. Materiały te posłużyły mu do spisania na czysto kalendarza, który utrzymywał na ścianie.

VIII. Na Saskim bruku.

Pani Magda Suzlerowa niezmiernie była losem nieszczęśliwej kobiety zajęta. Nazajutrz nie wypadało jój iść znowu do Liny Holzer, aby nie obudzić podejrzenia, powstrzymała się więc do trzeciego dnia, ale rano pobiegła.

Zapukała na pierwsze piętro, raz i drugi i trzeci. nie odpowiedział jój nikt. Z drugiego po schodach zbiegała właśnie z książkami pod ręką Liza.

— A gdzie matka? — zapytała Suzlerowa.

— Mieszka na drugiem piętrze.

— Ale siadywała na pierwszym?

— Tak, tylko teraz tu nie ma nikogo, rzekła wzdychając dziewczynka.

— Jakto? a ta pani?

— Nicch no jójmość pójdzie do matki, to tam się wszystkiego dowié, jój tu już u nas nie ma.

— Nie ma! — ze wzruszeniem łamiąc ręce, odezwała się kobieta, — a cóż się stało?

Dziewczę nie słuchając, już biegło w dół schoda-

mi, a Magda pośpieszyła na górę. We drzwiach zadzwoniwszy, zetknęły się z Liną.

— Cóż to? nie ma już jój u was? — pośpiesznie rzuciła Magda.

Holzerowa załamała ręce, potem podniosła zaciśniętą pięść.

— O! tego łajdaka, łotra, tobym powiesiła, krzyknęła w złości. Coś mu się tu przywidziało, jeszcze mu było złe, zazdrościł jój, że na Elbę i na zielone drzewa patrzała, porwał! wywiózł!

— Dokąd-że? dokąd?

— A któż go wie? kto go wie! to rozbójnik, jak się on z tą kobietą obchodzi, mówiła Lina. No! i myślicie, że mi choć po ludzku za mój dozór zapłacił? Gdzie tam! Obiecywał złote góry, gdy przyszło do porachunku, pourywał, ponkręcał. Ale ja mu nie daruję.

— A gdzież się podzieli?

— E! on jest! on się nie ruszył, tylko tę niebożczkę znów gdzieś замуrował, żeby już i słońca Bózego nie widziała.

Magdzie aż łzy w oczach stanęły.

— Niepoczeiwy człek, szepnęła, niepoczeiwy, a! żeby my jój też pomścić nie potrafiły.

— Jak?

— Jak? toż to prosta rzecz, odparła Magda. Jój-mość wiesz, gdzie on mieszka. On nie wytrzyma, żeby żony nie szpiegował, trzeba tylko jego śledzić, aby odkryć, gdzie ją schował.

Holzerowa w ręce piasnęła.

— Masz ty słuszność, ale kto to uczyni.

— No, już się nie kłopoteczcie, musimy tego doka-
zać! gdzie on mieszka?

Lina wskazała znaną gospodę i dwie przyjaciółki
pożegnały się. Magda śpieszyła. nie ścigać rotmi-
strza, tylko dać znać Wereszczace i Piotrowi. We-
szła do domu w starym rynku, zapukała na piérw-
szém piętrze, cicho i głucho. Po chwili wyszedł
pachołek, naciągając odzienie rozespany.

— A do kogo jejności potrzeba? — spytał.

— Do tych dwóch polskich panów, co tu miesz-
kają.

Chłopiec oczy wytrzeszczył i głowę dziwnie trząść
zaczął, a ust jakby nie śmiał otworzyć.

— Czy to tak rano wyszli?

Milezał pacholek, a głowę kręcił.

— Są w domu?

Ruszył ramionami.

— Cóżś to niemy, czy co? — powtórzyła Magda.

Chłopiec się obejrzał do koła, przystąpił do ucha
samego i przykładając rękę do ust, szepnął:

— Wczoraj ich obu zawieźli... do Koenigsteinn.

Magda strwożona załamała ręce. Za owych cza-
sów, gdy kogo ten los spotkał, mówić nawet o tém
nie było wolno, ani pytać, ani się dowiadywać.

Nie próbując więc już nawet dobyć co z chłopaka,
wcisnęła mu w rękę pięć srebrników i wysunęła się
z domu zafrasowana, nieszcześliwa, płacząca. Zro-

zauważyła dobrze, iż zniknięcie kobiety i wywiezienie tych panów były w związku z sobą, że prześladowca nieszczęśliwej znalazł sposób uprzątnienia tych, co przeciwko niemu świadczyć mogli. Oburzyła się w niej pocziwa dusza; lecz wszystko to musiało się oczewiście dzieć z pomocą tak potężnych sprężyn i wpływów, iż nadziei nawet mieć nie było podobna, coś przeciwko nim począć. Powlokła się do domu, czując chorą i przybitą.

Mąż zastał ją, przybywszy na obiad z zanku, z czerwonymi od łez oczyma. Suzler, jak wiadomo, był kamerlokajem we dworze, wyglądał téż w galonowanej srebrni liberyi, przy swym wzroście olbrzymim, jak dragon, a był inężczyzna przystojny bardzo, choć nie młody, poważny, bo go służba nauczyła uroczysty wyraz twarzy nadawać, nieco powolny, w gruncie dobry i uczciwy. Zobaczywszy Magdę zapłakaną, a sądząc, że jój co dzieci spletały, strasznie się obruszył, zdziwiło go mocniej jeszcze, gdy na usilne pytania, badania, zakłęcia, przyczyny łez tych nie chciała mu objawić. Flegmatyczny zwykle Niemiec, jak każdy flegmatyk, gdy się w nim nareszcie żółć porusza, stał się strasznym, taki go gniew opanował.

Bił pięścią o stół i zacząwszy od tego, że się ulitował nad żoną, skończył na tém, iż się poczynił oburzać i srożyć na nią, za to, że mu nie powiedziéć nie chciała. Magda znała to usposobienie męża, którym w powszednie dni władała jak chciała, ale czasu

podobnego wybuchu musiała mu ulegać. Ułagodziwszy go więc nieco, z pewnemi ostrożnościami, poczęła wreszcie, pod największym sekretem, opowiadać mu historję całą, tak, jak ją od p. Wereszczaki i Piotra słyszała. Suzler słuchał z niezmiernym natężeniem i uwagą, a że miał jeszcze resztę niezużytkowanego gniewu, z którą nie miał co zrobić, obrócił ją całą na tego zbója i łotra, który niewinną kobietę dręczył, dziecku groził, a blizkiego krewnego i dobroczyńcę prześladował.

Wszyscy, którym nie obcą jest ta epoka i historia dworu Augusta Mocnego i jego następcy, wiedząc to, iż naówczas częstokroć wpływy i stosunki najmniejszych ludzi, najwięcej mogły. Tam gdzie się ministrowie rozbijali o skały, kamerdyner Brühla, faworyt Sulkowskiego, przechodził cało i zwycięsko. Wszystko robiło się pokątnie, po garderobach, w korytarzach, przez małych ludzi, przez ciemne drogi, środkami, do których przyznać się było trudno. Łaska królewskiego kamerdynera, który miał przystęp do Majestatu, o jaki się miesiącami starać musieli napróżno ministrowie zagraniczni, a w ostatku otrzymywali audencyę przy świadkach, na której nie powiedzieć nie było podobna, łaska takiego nieznanego człowieka często skuteczniejszą była, niż wpływy najwyżej stojących, a rywalizujących z sobą dygnitarzów. Magda, która o wielu podobnych historyach słyszała, pomyślała mimowoli, że może téż ten flegmatyczny jój Niemiec, mógłby raz w ży-

cin stanąć w obronie niewinności. Nie śniała by go była namawiać do tego, ale Suzler san jakoś wpadł na tę myśl, iżby się przydał może. Szło o szczegóły, szło i o kogoś, coby sprawę popierał. Nie więc tymczasowo zrobić się nie dało nad to, że Magda przez Linę Holzerową o dokładniejsze wiadomości postarać się miała. Suzler stanowczo oświadczył, że przez osoby wyseko na dworze położone, postara się zrobić, co tylko będzie można. Tymczasem i hr. Orzelska, której pamięć dziecinnych lat była drogą, która lubiła tego pocziwego Wereszczakę, pamiętając, jak jój na skrzypcach wygrywał i z jaką wdzięcznością położył sobie na sercu jój niebieską kokardę, oczekiwała Wojskiego o naznaczonój godzinie. Nawykła teraz, by każde jój skinienie było rozkazem, nie mogła się wydziwić, że ten mudiarz Wereszczaka nie przyszedł, ani w kwadrans, ani w półgodziny, ani nawet w półtoręj. Zrazn miała ochotę, jako nauczkę grzeczności, darować mu zegareczek złoty, który nosiła u pasa, potem pochmurniała, pogniewała się, pojechała na spacer i cały dzień była w najgorszym w świecie humorze. Taką ją znalazł ojciec król, przed którym jednak przyczyny smutku wypowiedzieć nie chciała. Trwał on nawet przez cały wieczór. A gdy ani gościa, ani wiadomości, ani wymówki żadnój od niego nie otrzymała, pomyślała wreszcie, że może zachorował. To ją nieco uspokoiło, wołałaby chorobę, niż lekcwazenie, lub obojętność.

Nazajutrz rano, przez sekretarza pałacu posłała nazwisko Wereszczaki do zawiadującego policją stolicy, aby się jój dowiedział, co się z nim stało. Czekala do wieczora na odpowiedź, która nie nadeszła. I drugiego rana ponowiła żądanie, niecierpliwie wyrażając się, że chce mieć odpowiedź natychmiast. Było to tak właśnie jakby król sam rozkazał. Zjawił się w pół godziny, niezmiernie nisko kłaniający się, w peruce, przy szpadzie, żółto-pomarańczowy jegomość, niezgrabnie dosyć chcący odgrywać rolę salonowego człowieka, który z zająkaniem, wahaniem, cedzeniem i frazesami, smażonemi po cichuteńku, oświadczył hrabinie, iż Polak tego nazwiska, z drugim szalbierzem wspólnie, który cudze zapożyczał i jakąś zbrodnię wielką miał popełnić, z rozkazu pierwszego ministra, zawieszony został do twierdzy Koenigsteinu, że tam zapewne, gdy papiery nadejdą, wytoczony im będzie proces... i...

Tu znowu począł się kłaniać, uśmiechać, uniewinniać, rękę położył na piersiach, i gdy hrabina nie mogła się zdobyć na odpowiedź, korzystając z chwili zdumienia, wyslizgnął się i wyszedł. Orzelskiej łzy zakręciły się w oczach, mało znała pocziwego Wereszczakę, ale się jój zdało, że człowiek tak serdecznie dobry, zbrodni się żadnej nie mógł dopuścić. Cały ten dzień chodziła tak ponura, tak zasepiona, iż król August po dwakroć się znowu od ulubionój córki domagał, aby mu przyczynę tego smutku wyjawiała. Po długich wahaniach, Orzelska opowie-

działa mu, ze swego dawnego życia sceny owe, których pamięć jej była drogą; opisała Wereszczakę, spotkanie z nim i los, jakiemu uległ. Król August, mając na głowie interesa dwóch krajów i nieszczęśliwą dosyć politykę europejską, i całą sieć intryg, którą ona była osnutą, nie lubił spraw drobnych sam rozstrzygać, ani się do nich mieszać. Całując córkę w czoło, prosił jej, aby była cierpliwą, że się kaze dowiedzieć, a zarazem radził jej, by w podobne niezrozumiałe processa i instancye za kryminalistami nie wdawała się nigdy. — Znam dobrze tę szlachtę, rzekł, nieznmierna duma i samowola ją cechuje, zdaje się im, że wszystko wolno. Któż może wiedzieć, co się tam stało? Przecież, jeśli ich aresztowano i zawieziono do twierdzy, bez powodu słusznego być to nie mogło?

Orzelskiej zrobiło się smutno, poszarpała końce chusteczki, łza zakręciła się jej w oku, nie odpowiedziała nic, lecz pomyślała sobie, iż na to inaczej radzić musi. Później jeszcze jej było smutno, ale nastąpiły uroczystości u dworu, na których świeciła. Król chciał ją mieć przy sobie ciągle, admirując w niej wizerunek własny, znacznie tylko napięszony i poprawiony. Piękna Orzelska uchodziła za nadzwyczaj do Augusta podobną; chóry pochwał, unoszące się nad nią, jak najprzedziwniejsze kadzidło, łechtały królewskie powonienie.

Polowanie, bal, fajerwerk, muzyka, taniec, znajomości nowe, zatarły powoli w pamięci przyszłej

księżny Holstein-Beck pamięć biednego Wereszczaki. Nie wiedziała już zresztą jak chodzić około tego.

Małenki człowieczek (choć olbrzymiego wzrostu), Sulzer tymczasem gorąco się interesem zajmował, ale na swój sposób, zwolna, ostrożnie, z namysłem i rozważą...

Magda wysłana na zwiady, razem z Holzerową, doszły różnemi drogami do niezupełnie poprawnie, ale jako tako spisanych nazwisk. Zdobyć ta, niełatwa, z talentem prawdziwie niewieściu do zręcznego szpiegowania, uzyskana została. Sulzer dobrawszy sobie jurystę za sekretarza, zredagował notę o całej sprawie, niezupełnie dokładną, ale na prawdziwych danych opartą. Winowajca, rotmistrz Wit, pozostał w miejscu, ośmielony tém, że mu się swoich prześladowców do Königsteinu zasadzić udało, żonę zaś odebrawszy od Holzerowej, pod troskliwszym jeszcze dozorem w okolicach Drezna umieścił, tak, że miejsca pobytu niepodobna się było dowiedzieć...

Sulzer szedł sobie powoli, obiecując, że gdy wszystkiego podochodzi, naówczas choćby do króla samego się uda...

Niespodzianie wcale znalazł w tej sprawie pomocnika, choć nie rychło...

Kasztelan Niemira wrócił był z nieczém do domu, zdawszy swój interes na Wereszczakę, ale przybywszy na barszcz i bigos do żony, bardzo był źle i su-

rowo przyjęty. We cztery oczy nazwała go niezdara, powiedziała mu, że ją chyba Pan Bóg takim mężem pokarał, który woli za piecem siedzieć, niż dbać o honor domu i rodziny. Gdy się kwaśne to przyjęcie w późniejszym czasie nie ułagodziło, kasztelan pisał przez rozstawione kresy do Wereszczaki i do Brühla listy nagłące. Brühl mu odpowiedział najprzód, iż nie miał przyjemności widzieć pana Wojskiego, pan Wojski zaś z Königsteinu wcale nie odpisywał. Milczenie to, w końcu stało się tak znaczącem, że kasztelan się o przyjaciela zatrwożył. Nalegając na Brühla, dowiedział się wreszcie z przypisku jednego jego listu, zapełnionego ogólnikami, iż Wojski, z powodu jakiegoś kryminalnego processu, został w Königsteinie osadzony.

Wiadomość ta, do szali, na której ciężył coraz wzmagający się zły humor żony dorzuczona, przeważała tak dalece postanowienie siedzenia w domu, iż kasztelan rad nie rad, więcej dla Wereszczaki, niż dla siebie, wyruszył z domu do Drezna. A że mu bardzo szło o to, by jak najprędzej powrócić, pośpieszył na rozsadzonych keniach (tak zwano wówczas rozstawne), do stolicy saskiej. Zmęczony się w niesłychany sposób, i pół dnia najprzód odleżać musiał, Wstawszy nareszcie, poszedł do Brühla, który mu z niesłychanem ubolewaniem oświadczył, że Wereszczaka był w brudną jakąś sprawę zamieszany i kto wie jak długo posiedzi w Königsteinie.

— Panie hrabie! zawołał poruszony Niemira, ja

tego człowieka znam od dzieciństwa, nie mógł i nie może być wplątany w nie takiego, co by się brudnym nazwało. Przypuścić należy, iż brudni chyba ludzie zasadzkę niegodziwą nań uczynili i dobrej wiary ministra nadużyć musieli.

Brühl już naówczas mimo oświadczeń przyjaźni, któremi szafował wszystkim, rad był bardzo wszelkiej zręczności, pozwalającej mu cudze omyłki, błędy i nadużycia wyświecać; poszedł na zwiady.

Dowiedział się, że rotmistrz Wit Zagłoba przez Sułkowskiego u ministra wyrobił ów rozkaz aresztu i wsadzenia do Königsteinn. Ministrowi starano się dowieść, że tam też coś tkwiło polityce króla i dynastyi wielce nieprzyjaznego.

Trafiło się dziwnym wypadkiem, iż czasu ostatniej o tém rozmowy, nadszedł kamerdyner królewski z biletem tyjącym się kadryla kostiumowego wieczornego na pokojach, w którym Brühl miał także figurować. Mówiono głośno, a że przed kamerdynerem nie było najmniejszego powodu czynienia sekretu ze sprawy dlań obojętniej, Sulzer w progu wysłuchał całego opowiadania i przekonał się, że w kasztelanie mógł mieć dzielnego pomocnika.

Brühl prosił o czas, aby się dokładniej dowiedzieć o sprawę Wereszczaki, poczem kasztelan go pożegnał i wyszedł. Kamerdynerowi kazano poczekać, ale ten niepostrzeżenie wysnął się za Niemirą do przedpokoju i bardzo polamaną polszczyzną rzekł mu na ucho:

— W tego sprawie, ja mogę, pomogę, ja będzie przyjsć do kasztelanowi.

Zdziwiony Niemira szepnął mu nazwisko i mieszkanie.

W dnie zabaw i assamblów na dworze, obowiązki kamerdynerów wielce były uciążliwe, jednakże Sulzer czując, że na pośpiechu zależało wiele, wzięwszy się za żołądek, wyrobił sobie urlop u marszałka dworu, tém powolniejszego dlań, że nigdy prawie podobnej folgi nie żądał. Uwolniony, natychmiast udał się do kasztelana Niemiry i najprzód bardzo go grzecznie zaprosił, aby z nim raczył nawiedzić żonę, któraby im w téj ważnej sprawie, wielce rozinowę mogła ułatwić. Niemira sercem całém bolejąc nad losem przyjaciela, czuł się już tak przytém zaciekawionym, że choć mu chodzenie i drapanie się po schodach niemieckich bardzo było ciężkiem, natychmiast na Rozinarynową pośpieszył uliczkę. Magda już była całkiem przygotowaną. Uszczęśliwiła Niemirę, przemówiwszy doń jego językiem; co więcćj, dowiedział się od niej wypadkiem, wprzód jeszcze nim o losie Wereszczaki, o tém, iż barszcz doskonale robiła. Barszcz w Dreźnie rozpromienił Niemirę; ale po tym epizodzie obchodzącym żołądek, nastąpiła historia serca. Gdy Magda dosyć nielogicznie opowiadać ją zaczęła, kasztelan sądził zrazu, iż jakaś zaszła omyłka. Długo musiał słuchać, pytać, konfrontować, dochodzić, nim doszedł wątku.

Historia ta domu Zagłobów w głównych zarysach

nie była mu obcą, powoli więc dopełnił ją sobie, zrozumiał, i doszedł do tego, iż należało na Wita uderzyć wprost, aby tamtych odbić.

Sulzer gorąco sprawę popierał, Magda łzami. Ofiarowano sprowadzić na świadki Linę Holzerową, powtarzano po stokroć najdrobniejsze szczegóły, a gdy kasztelan wyszedł od nich, tak mu w głowie od tego wszystkiego szumiało, tak mu się powikłały myśli, tak potrzebował rozważyć co miał dalej poczynąć, iż się kazał w lektyce, to jest w tak zwaném przezeń pudełku godzinę nosić, nim zupełnie ochłonął.

Rotmistrza Wita widywał i spotykał był po świecie, lecz go instynktownie nie lubił. Teraz musiał stanąć wprost przeciw niemu, a znając po troszę stosunki jego na dworze, nie taił przed sobą, że zadanie było dosyć trudne, zawikłane i nadzwyczajnej przebiegłości wymagające. Czasem jednak w rozpaczonéj godzinie przychodzi niespodziany posiłek i nieoczekiwany sprzymierzeniec.

IX. Niemra i Zagłoba.

Na zamku tego wieczora był bal wielki, zabawa, której program sam August Mocny zakreślił. Kilku książąt przyjmowano dnia tego, a dwór saski ilekroć miał zręczność popisać się zo wspaniałością i smakiem wytwornym, z którego słynął, usiłował zaćnić nie tylko skromny naówczas dwór berliński, który się z nikim nie nbiegał o sławę przepychu, ale cesarskie w Wiedniu okazałości. Nie żałowano nic, a rozkaz pana był wszechmogącym, nie szło o to, jakich środków używano do spełnienia go, było zostać wykonany.

Niepodobieństwo nie istniało téż naówczas w słowniku ministrów i faworytów. Każda z takich uroczystości musiała się czémś nadzwyczajném odznaczyć. W czasie wesela następcy, raz dzień cały dwór przedstawiał najdokładniej w tureckich strojach, namiotach, usługach, sprzętach, jakby obraz z nad brzegów Bosforu wykrojony.

Innym razem ubiory musiały być hiszpańskie, maurytańskie, średniowieczne. Na maskaradach przedstawiano się w najbogatszych, a razem najdziwniejszych przebraniach. Przyszła księżna Cieszyńska z siostrą chodziły raz cały wieczór w postaci strasznych nietoperzów. Cały urok takich zabaw zależał na tajemnicy, na niespodziance. Sam tylko August wiedział co miało wywołać okrzyk podziwu, goście szli nie domyślając się co ich czekało. Wszystko co żyło, posługiwało naówczas do uświetnienia wieczora; mnoga rodzina królewska, jego ulubieńcy, wojsko, służba, stawało na zawołanie. Przepych istotnie był zdumiewający, brylanty i koronki przedstawiały summy bajeczne, stroje były sprowadzane z Paryża, a gdy czego zabrakło w Saksonii, leciał pocztą królewski dworzanin i przywoził z nad Sekwany na oznaczoną godzinę.

Tego dnia szczególniej szło królowi o pokazanie wspaniałości; oprócz księżnej Dessauskiej, kilku pań z dworu pruskiego, był książę Holstein-Beck, którego już po cichu wymieniano jako prawdopodobnego małżonka pięknej Orzelskiej. Był więc bal zarazem, poteni maskarada, w dziedzińcu wspaniały fajerwerk przygotowany, wieczerza wykwintna.

Brühl polecił kasztelanowi Niemirze, ażeby się koniecznie w zamku znajdował, posłał mu zaproszenie. Ciekawość i interes zmusiły dosyć nie lubiącego tłumnych takich zabaw Niemirę, przystroić się w co miał najwspanialszego i kazał się zanieść do zamku.

Gdy wszedł, pokoje oświecone rześisto już były pełne; król August przechadzał się promieniejący wśród pań i panów postrojonych w atlasy, w koronki, w aksamity, w złotogłowy i pióra. Elegancya ta francuzko-niemiecka wprawdzie nie bardzo była do smaku kasztelanowi, któremu kuse owe suknie i prawie niewieście na męczyznach błyskotki dziwacznie się wydawały; nie mógł jednak zaprzeczyć w duchu, iż to wszystko świetnie nader, cudacko, ale imponująco się wydawało. Mężczyźni w krygach, kobiety wywdzięczone, wybielone, wyróżzowane, starcy kręcący się jak młodzież, niedorostki, udający powagę dojrzałych kawalerów, babunie w muszkach, z wachlarzami, ściągnięte, wysznurowane, drepczące na korkach, pobudzały go do śmiechu, ale mu tak na sercu było smutno, że się śmiać odechciało.

Stał więc w kątku, znalazłszy kilku krajowców, więcej jak widz niż uczestnik, gdy nagle koło niego tuż zjawił się młodzieniec, osobliwszej urody, w niebieskim mundurze, w peruce upukłowanej a spadającej na ramiona, tak, że raczej do naturalnych, niż pożyczanych włosów była podobną.

Smukły, wiotki, bieluchny był, a tak dziwną jaśniejący pięknoscią, iż mimowolnie przypominał twarz mitologiczne, idealne postacie. Młodzieniec ten nieznany panu kasztelanowi, był przez wszystkich w sali przytomnych przyjmowany z nadzwyczajnemi nawiązaniami oznakami. Król go ścisnął, inni kłaniali się do ziemi, kobiety posyłały mu jawne całusy,

mężczyzni mało nie klękali. To cudne zjawisko trzpiotowatój, ślicznój laleczki, mocno zaintrygowało kasztelana. Nie mógł ani posądzić nawet, żeby ten Antinous język polski rozumiał. Nie kryjąc się więc z podziwieniem, jakie w nim wzbudził, kasztelan w sposób bardzo naiwny, odezwał się głośno do sąsiada:

— Ależ mości dobrodzieju, bestya piękna! na kobietę się urodził, wygląda jak anieli w kościele, tylko, że mu szatan z oczu patrzy.

Na te słowa biała a różowa twarzyczka pięknego owego chłopca, zwróciła się nagle ku kasztelanowi, poczęła nań patrzeć, patrzeć, przypatrywać mu się, uśmiechać, a w ostatku parsknęła śmiechem szalonym, niepohamowanym, dzwięcznym, dziecinnym, który kasztelana przeraził. Był to bowiem głos, weale nie męzki, ton jego raczój się kazał domyślać dziewczęcia.

Niemira zmieszany wzrokiem natrętnym, chciał się już nsunąć, gdy chłopak zbliżył się doń i podając rękę, zawołał wesoło:

— Al! pozwól pan byśmy się poznali.

Kasztelan klaniać się począł, ale zupełnie zbity z tropu. Lękał się, czy na którego z książąt nie trafił, mówiących, jak słyszał, językiem nadziei przyszłego tronu.

— Muszę się z panem poznać! — dodał młodzieniec, bo widzi pan, pochlebstwa mi zbrzydły, a takie szczere z serca słowo, bardzo miłe, bardzo miłe.

Kasztelan się kłaniał, ale na odpowiedź zebrać nie mógł.

Zakłopotany był już najprzód tytułem, jaki dać wypadało temu panu.

— Dawno pan tu przybyłeś? — zapytał młodzieniec nieznany.

— Parę dni, świeżo, dopiero, mruczał kasztelan, który czekał napróżno, czy mu kto przez litość nie podpowie, nie szepnie, z kim miał honor rozmawiać.

— Dla przyjemności, czy... z interesem.

— A! — zawołał trochę już ośmielający się kasztelan, którego to bałamuciło, że widział mężczyznę, a słyszał głos kobiety, — a! mościa dobrodziejko... Poprawił się śpiesznie. — Panie dobrodzieju, ktoby to z domu teraz, gdy żniwa się kończą, a siejba zaczyna, dla satysfakcyi wyruszył! Mam kłopot.

— No, mów że mi pan, co to takiego, ja króla znam, łaskaw jest na mnie, może téż co poradzimy.

— Trudno, odparł cicho kasztelan, ja już bratniego Brühla o to obligowałem, a powiada, że rzecz nie łatwa.

— Przecież, co by to było? — nalegał młodzieniec.

— Sprawa nie moja, wdychając dodał kasztelan, przyjaciela mojego, pana Wojskiego Wereszczaki.

Posłyszawszy to nazwisko, młodzieniec, który dotąd roztargniony był jakoś, zbliżył się żywo do mówiącego.

— Wojskiego! a to mój przyjaciel! to mój dobry.

stary znajomy, zawołał, przyjdź pan do mnie, jutro, koniecznie, jutro rano, musimy go ratować.

Kasztelan jak do modlitwy złożył ręce, twarz mu rozpromieniała, uśmiech wykwitł na ustach.

— O panie mój! — zawołał, wiekuiłą miałbym dla was wdzięczność.

W téj chwili muzyka zagrała kadryla, niebieski młodzienciek skinał głowę kasztelanowi i skoczył trzpiot, lekko, w powietrzu prawie się niosąc, ku damom. Szmer uwielbienia za nim poleciał.

— Jak mi Bóg miły! — zawołał kasztelan, — cóż to to jest, czy anioł, czy szatan?

Wtém stojący obok podskarbi, trącił go łokciem i rzucił mu w ucho:

— Toć hrabina Orzelska.

Kasztelan aż poskoczył.

— Ale, co mi tam pan łaskawy takie rzeczy prawiś, na moje domatorstwo i łatwowierność rachując. Jakaż hrabina, kiedy mężczyzna?

Sąsiedzi śmiać się zaczęli.

— Przecież publicznie w męzkim stroju, szepnął Niemira, to chyba być nie może.

— Ale mości kasztelanie, ozwał się podskarbi, toś właśnie waszmość domatorstwa dał dowód, iż temu nie wierzysz. Słyszałem, że pannę kazała przyjść do siebie rano, przekonasz się naocznie, iż ten młodziak czarujący, pokaże się jutro najpiękniejszą z dziewic.

Kasztelan zamilkł, głowę spuścił.

— Sodoma i Gomora! — rzekł po cichu, ale co mi tam, byleby Wereszczakę wyratowała.

— W czasie całej tój sceny, ode drzwi, stojący w nich w paradnej liberyi cytrynowej ze złotem kamerdynier, nie spuszczał oka z kasztelana. Ogromny drab uśmiechał się milucho, patrząc jak na dziecko, na tego jegomościa, którego twarz świadczyła, iż z nim odegrano komedję.

Ciekawość zmusiła Niemirę pozostać, dla widzenia kadryla dzikich Indyan, potem Meksykańów, potem diabłów.

Diabłami się zgorszył bardzo, ale tańcowali nader zręcznie, choć wyglądali w maskach wstrętliwie. Kasztelan wniósł się w tłum i niepostrzeżony przyglądał się jeszcze fajerwerkowi, w którym, jak mu wytłómaczono, była cyfra hr. Orzelskiej, zaprowadził go potem podskarbi do stołu, nakarmił, napoił, a gdy dobrze po północy wysunął się z głową rozgorzałą Niemira i do lektyki swój kroczył, niespodzianie u schodów zaszedł mu drogę wygalonowany lokaj.

Poznał w nim swego znajomego.

— Pan kasztelan, szepnął mu, wszystko powiedzić hrabinie, ona teraz wszystko może i... się zrobi... się zrobi...

Niemira po tych wrażeniach doznanych, wczorzy i winie, dojechawszy szczęśliwie do domu, usnął snem sprawiedliwego, ale kazał się obudzić rano,

aby miał czas stawić się na naznaczoną godzinę do hrabiny Orzelskiej.

Serce mu biło, bo do języka i obyczajów dwornie bardzo był nawykły, a ta cudacka dziewczyna, która wczoraj była chłopcem, przestraszyła go swoją śmiałością, tonem i zagadkową twarzą.

Pałac wyglądał jak cacko, służba nie różniła się ani liczbą, ani wspaniałością od królewskiej, audiencyonalna sala, wybita aksamitem cała, rzucanym w bukiety kwiatów, podobną była do owych pudełek, w których się drogie składają klejnoty. W ogromnych naczyniach porcelanowych, stały wiązki kwiatów woniących. Na szafkach, na gierdonach pełno było śmiejących się lalek i złocistych cacek.

Ledwie wszedł kasztelan i zdumiony rozpatrywać się zaczynał, gdy po za nim zaszeleściła suknia jedwabna—obejrzał się—we drzwiach stała, nie wczorajszy kawaler, ale urocza, jak kwiatek świeżo rozwity dziewczynka. Poznać było trudno w niej trzpiotą tego, tak wyglądała poważnie, skromnie, dziewięczo, a obłoczek znużenia i tęsknoty na czole, jak mgła ją srebrna obwiewał. Była stokroć piękniejsza teraz, a choć z twarzy do tamtego zjawiska podobną, wszakże inną. Zarumieniała się spostrzegłszy kasztelana, przywitała go uprzejmie i prosiła, siadając sama, ażeby usiadł.

Nie rażno było kasztelanowi, tak królewskie miała oblicze. taką pańską w twarzy, taką powagę w obej-

ściu. Ośmielił się wszakże, gdy z wyrazem wielkiej dobroci rzekła do niego:

— Proszę was, mówcie śmiało, mówcie mi obszernie o całej sprawie, jaśn sama przeboleła wiele, nie byłam w dzieciństwie tak szczęśliwą, jak dziś jestem. Wojski był mi przyjacielem, dworzaninem, muzyką, i pierwszym mym wielbicielem naówczas, gdyin przyjaciół, dworzan, muzyki i wielbicieli nie miała.

Zawahał się nieco Niemira, lecz trzeba było korzystać ze zręczności. Wiedział już dokładnie o całej sprawie, mocno był przekonany, iż to, co mu powiedziano, prawdą być musiało, — począł więc najprzód historję Zagłobów. Nie dziwiąc się, iż od rzeczy na pozór obcej rozpoczął, Orzelska słuchała go z uwagą wielką, jakby jój bajkę ciekawą opowiadano. W istocie był to romans, który serce kobiety przejął politowaniem i współzuciem. Parę łez srebrzystych potoczyło się po twarzyczce i spadło w przejrzystą chusteczkę. Kasztelan mówił powoli, zgromadził szczegóły, rozgrzewał się powieścią własną i nie żałował barw ciemnych przeciwko rotmistrzowi Zagłobie.

— A! ja go znam, ja go widziałam, przerwała Orzelska, dziwnie wstrętliwym mi się wydał, gdyin go raz pierwszy na polowaniu spotkała. Coś dzikiego ma w wejrzeniu, kręci się przy następcy, wiem, że go tam popiera Śulkowski.

— Nie dziw, pani brabino, iż zręczny zbrodziein mógł nieopatrznego, a młodego Śulkowskiego obala-

mucić. Mówi to raczej przeciw niemu, niż przeciw protektorowi.

— Dobrze więc, dodała Orzelska, gdy kasztelan skończył opowiadanie, ja biorę wszystko na siebie. Postępujemy jednak ostrożnie, abyśmy na pewno działać mogli. Ta biedna, nieszczęśliwa kobieta ma ciotkę. Okazuje się, że cudownie zmartwychwstały pierwszy jej mąż był u niej, od niej wyjechał, goniąc za żoną, szlij pan sztafetę do wojewodzinęj,—jeśli ona poświadczy o prawdzie tego dziwnego wypadku, jeśli od niej nadejdzie list, pójdę i rzucę się do nóg królowi ojcu i leżąc będę, dopóki się sprawiedliwość nie spełni. Znam szlachetne serce jego.

— Dopełnię rozkazu natychmiast, zawołał kasztelan, jeśli się nam, przeczując niebezpieczeństwo, wyinknie i uciecze występny...

— O! nie! — przerwała Orzelska, od dziś dnia nie spuszcza go z oka, i każdy krok jego będzie śledzony. Natychmiast się o to postaram. Tajemnica i milezenie! — szepnęła, kładąc palec na ustach. — Dziś jeszcze niech wyjdzie sztafeta i bądź pan spokojny. Zbrodzeń nam nie ujdzie.

Podawała rękę do pocałowania, kasztelan z uszanowaniem dotknął jej ustami, nie powiem czy atłas czy rękę ucałował i przejęty się oddalił.

Zanieśli go lektykarze do domu, bo mu pilno było nader napisać do wojewodzinęj, a gdy list przychodziło wystylizować, nie szła mu ta praca łatwo.

Szlachećcie prawdziwy, stokroć wolał rąbać się, niż pi-
sać; a jeść, niż decyfrować cudze pismo, i co się na-
pocił nad raptularzami każdego utworu epistolarne-
go, trudno dać wiary. Napisawszy list, zazwyczaj
spoczywał potem kilka godzin i powiadał znajomym,
że w życiu dłań cięższej pracy nie było. Godzin
parę kosztowała i teraz redakcyja, przerywana wzdy-
chaniem, ocieraniem potu z czoła i chwilami wypó-
czynku. Kazał sobie wina przynieść, aby zeń na-
tehnienia zaczerpuąć, a i to nie wiele pomogło. Na-
ostatek list arkuszkowy był gotów, opieczętowany,
zaadresowany i pod wieczór wyprawiono go sztafetą.
A że podskarbi także wysyłał po coś od siebie do
Warszawy, szły do stolicy razem.

Wieczorem dopiero kasztelan odetchnął, miał za-
prośzenie do wielkiego ogrodu królewskiego, wśród
którego cienistych drzew, grano operę na murawie,
w amfiteatrze pod gołym niebem, illuminacyja miała
być zachwycającą; lecz na te ciekawości zabrakło mu
siły i ochoty, posiliwszy się, na sumieniu spokojniej-
szy, położył się do łóżka zawczasu. Nazajutrz spo-
tkali się z Brühlem, był uprzejmy jak zawsze, miłszy
może niż kiedykolwiek, z rozmowy okazało się, że
o bytności u Orzelskiej już był zawiadomiony, radził
kastelanowi cierpliwość i milczenie.

— Zajmij się pan własnym interesem, popieraj
swoją sprawę, o tém zaś, co ci na sercu leży, ani sło-
wa nikomu. Bądź pan ostrożny. Na dworze mił-
czeniem czyni się często więcej niż wymową. Gramy

tu w szachy, nigdy zdradzać się nie trzeba, gdzie się ma przyszedł krok posunąć.

W końcu uściśnął mu rękę i szepnął do ucha:

— *Bon espoir!* ale — cicho!

Kasztelan potrosze potrzebował tój przestrogi, gdyż w pocziwości swój wygadywał się łącno, a gdy mu co na sercu leżało, ust utrzymać nie umiał.

Czas mu się téż wydawał niepomierne długi, a Drezo, miuo świetnego dworu, nadném. Kazał się nosić w pudełku na przechadzkę do ogrodu za miasto, chodził pieszo, oglądał co tylko było do widzenia, ale sroga tęsknota, coraz mocniej mu serce uciskała. Liczył dnie, które jeszcze w ten nieznośny sposób przesiedzieć tu musiał. Parę razy zaszedł do Magdy na pogadankę i kazał sobie raz zrobić barszczu, który po drugiej łyżce wydał mu się szkaradnym.

Trzeciego czy czwartego dnia, zaczynał się już ubierać zrana, gdy do drzwi zapukano. Chłopak otworzył, a stojący z ręcznikiem pośrodku pokoju kasztelan z przerażeniem na progu ujrzał rotmistrza Wita, bladego, z błyszczeniem oczyma, z dzikim jakimś twarzą wyrazem, domagającego się wnijscia. Mało się znali z sobą.

— Bardzo przepraszam kasztelana, odczwał się stojący w progu, proszę mi darować, chciałem złożyć mu atencję moją.

Jakkolwiek gość to był obnierzły, nie można go było odprawić nie obudzając podejrzenia, kasztelan

krezygnować się musiał, coś niewyraźnego mruknąć jakby go bardzo prosił. Narzucił na siebie podany kitel płócienny.

Rotmistrz wszedł kłaniając się i widocznie usiłując nadrobić humorem.

— Dowiedziawszy się wypadkiem o bytności szanownego kasztelana, rzekł rotmistrz, nie mogłem się oprzeć chęci ofiarowania mu usług moich. Cóż go tu sprowadza?

Kasztelan wielce zafrasowany, grał rolę swoją weale nieźle.

— A! mój mości dobrodzieju, rzekł, gdybyś mi dopomógł do wyzwolenia z téj saskiej niewoli, bardzo bym ci był wdzięcznym. Babie mojej w głowie się przewróciło, zachciało się jój wyższego krzesła, które wakuje właśnie. Ubiegających się dosyć, a ja tu, jak Piłat w Credo włożywszy, zwijam się i pocę daremnie.

Rotmistrz nań popatrzał z uwagą wielką.

— A przecież, mówią, rzekł, że pan masz za sobą Brühla i hrabinę Orzelską.

— No, tak, łaskawi są niby na mnie, ale Brühl młody, a hrabina Orzelska bawi się, a ja tymczasem usycham tu w oczekiwaniu.

Rotmistrz zaczął się o sprawę bliżej rozpytywać.

— Zachciałeś asindziej, rzekł, trzeba być cierpliwym i przynajmniej choć stanowczéj odprawy doczekawszy się, co byłoby już łaską, wracać do domu na siejbę. Nie mam ja do tych rzeczy szczególności.

Rotmistrz zmilkł; Niemira zmiarkował, że wypadło dla niepoznaki zapytać go, co on tu i jak oddawna robił?

— Ja, rzekł Zagłoba, ja jestem w dosyć przykrém położeniu, ale wytłómaczyć się z niego trudno, bo nie do wiary rzeczy innie spotykają. Żona moja chora na umyśle, nie pełna rozumu, w dodatku słyszę, że się miał zjawić jakiś szalbierz, samozwaniec, który się za nieboszczyka Piotra jej męża, a mego bratanka udaje.

Kasztelan rzucił się z krzesła.

— Jam o tém nie słyszał? gdzież? jak? może li to być?

— Jest, jakem kasztelanowi mówił, a że u nas w kraju wszystko możliwe, więc i to. Mam dosyć nieprzyjaciół co posadzoną potwarz gorliwie podlewać będą, ażeby rosła. Szczęściem, szalbirza z jego pomocnikami pochwycono i domierzy się sprawiedliwość. To mówiąc rotmistrz, pochmurny przeszedł się po izbie.

— Pierwszy raz o tój sprawie słyszę, szepnął Niemira, aleć to zuchwałstwo bezprzykładne.

— Co pan chcesz? wszak ci jakiś łotrzyk, słyszę, Warneńczyka udawał, czemuż by nie Zagłobę!

Rozśmiał się dziko.

— Gdybym u dworu nie miał starych, dobrych przyjaciół, mógłbym być głową nałożyc. Żona nieprzytomna, nieprzyjaciół dosyć, a diabeł nie śpi.

— No, ależ to bajka z tysiąca nocy, dorzucił Niemira.

Rotmistrz ramionami ruszył.

— Dziwi mnie tylko, że ona do pana kasztelana wprzód nie doszła, bo w kraju o niej słyszę wiele rozbębniono, a wojewodzina ciotka mojej żony, nieprzyjaciółka moja wielka, pono się szalbierzowi nwieść dała. Nie pierwszy to przykład...

— Nie o tém w istocie nie słyszałem, rzekł żywo Niemira, siedzę w domu, mało kogo widuję, a tu ledwie miał czas interesu dopilnować.

Zagłoba znać chciał o tém dłużej i obszerniej mówić, a do kasztelana się zbliżyć poufałej, lecz doznawszy ziennego przyjęcia, musiał się pokłonić i ujść, bo rozmowa nie szła.

— Czemu pan u dworu nie bywasz? zapytał na wychodnym. Takiego dworu, takiej wspaniałości, takich zabaw, takiego towarzystwa drugiego na świecie nie znaleźć. Gdzie indziej można żyć, ale być szczęśliwym i czuć w pełni, że się żyje, tylko tu.

— O! iności rotmistrzu! rzekł kasztelan ręce składając, ja jestem domator, ja lubię ciszę i spokój i strzechę moją z jaskółczemi gniazdami, najszcześniejszym będę, gdy złąd uciec potrafię.

Wit rozśmiał się.

— Tak to jest, zawołał, że każda natura czego innego wymaga i potrzebuje.

Zatém się pożegnali.

X. Zwierz na polowaniu schwycony.

List od pani wojewodzinéj obszerny, pisany po francuzku, aby mógł być w oryginale przedstawionym królowi, zawierający najmocniejsze dowody i poparcie prawdziwości wypadków, z uczuciem gorącym i wymową jaką daje oburzenie przeciw niesprawiedliwości nadszedł wreszcie, a Niemira ani chwili nie stracił by z nim pobiedz do pałacu hrabiny Orzełskiej. Nie zastał jéj raz i drugi, była z dworem i królem w Lipsku, potem w Hubertsburgu i Pilnitz, a dopiero po trzech dniach wyczekiwania dobieć się do niéj potrafił Niemira. Ale roztargnione dziewczę, przed którój oczyma przesunęło się co chwila tylu coraz nowych ludzi, twarzy i wypadków, zajęte sobą, sercem swém, przyszłością, przyjęło Niemirę tak zrazu, iż widoczném było, że zapomniało nawet zupełnie o co chodziło, i kto on był.

Musiał Niemira w pomoc wezwać Wereszczakę, przypomnienie bału, opowiedzieć historię, odżywić

pamięć przyrzeczeń i dopiero nieco rozbudził Orzelską, która jednakże biorąc list wojewodzinęj i potakując Niemirze, zdawała się raczej chcieć być tylko grzeczną, a nie potrafiła być gorliwą. Sprawdziło się tu przysłowie, iż żelazo należy bić póki gorące, hrabina teraz zupełnie ostygła. Niemira, który szedł z największemi nadziejami, powrócił smutny ze zwątpieniem na duszy.

Poleciwszy wszakże przyjaciela łasce jej i protekcyi, dodawszy po cichu, iż w tej sprawie i hrabia Brühl pomocnym być może, wysunął się kasztelan i powlókł do domu, mruczając przysłowie, że łaska pańska na pstrym koniu jeździ.

Zmiarkował tylko, iż być może czekać na wyrok przyjdzie długo, a doczekać, nie dobrego. Orzelska była roztargniona, nie zbyt obiecująca, obojętna.

Drugiego dnia chciał się widzieć z Brüblem, nie znalazł go w domu, poszedł parę razy, nigdy nie było, a raczej nie wpuszczano go już jak dawniej, co było bardzo złym znakiem. Czwartego dopiero dnia odebrał od hrabiego mały bilecik, całą ręką jego nakręslony.

„Najjaśniejszy pan, pisał Brühl, polecił mi zaprosić was, jako myśliwego, na polowanie do Moritzburga, kilku współziomków znajdziesz pan tam i spodziewam się, że zabawisz się dobrze. Żadna wymówka nie służy, należy być *koniecznie* na godzinę dziesiątą rano.“

Koniecznie było podkreślone, zatem Niemira do-

myślał się, iż polowanie to mogło być w związku ze sprawą, a domysł poparty został tém, iż hrabina Orzelska przysłała od siebie pazia ze dworu, który zaproszenie do Moritzburga ustnie i najpilniej nalegając powtórzył.

Chociaż tego rodzaju myśliwstwa, jakie się tu zwykle w zwierzyńcu odbywało, pańskiego wprawdzie i wygodnego; ale wcale nie zabawnego, Niemira nie lubił, nie można się wymówić było. Strzelano tu do oswojonego niemal zwierza, nie mającego gdzie uciekać. ogrodzonego płotami, ale król i jego towarzysze celności strzałów dać mogli dowody. Aby do Moritzburga zdążyć, należało wstać dosyć rano, bo droga nie najlepsza była i kawał dobry, a na miejscu przebrać się należało jeszcze. Zrana deszczuk pokrapiał i pora była nie wesoła. Niemira ziewał, Pann Bogn ofiarował utrapienia swe, wzdychał do domu i myślał, rychło się też od téj kaźni uwolni. Wreszcie otłukłszy nieco boki, przerznawszy się przez lasy, ujrzał rząd domków i błyszczący staw, wśród którego wznosiły się wieże Moritzburga. Mieścina pełną była wozów dworskich, koni i ludzi. wszystkie gospody pozajmowano, o małą izdebkę do przebrania się trudno było. służba biegła zafrasowana, sześcieniem podskarbi, który miał zawczasu zamówiony pokój, kasztelana do siebie zaprosił, w chwili, gdy ten już pozasuwałszy firanki w powozie, chciał w nim przystąpić do zmiany ubioru.

Wypogodziło się wreszcie, jak to po chmurnych

porankach najczęściej się trafia, dzień się zrobił prześliczny i nasi panowie przekąsiliwszy coś w gospodzie, aby na królewskie speccyały nie czekać, ruszyli cieniutą aleją ku zamkowi. Tu już cały dwór myśliwski się zbierał, odzywały trąbki, biegali jezdni i coraz nowy powóz, lub nowa kalwakata nadbiegała ku pałacowi. Przybyło i kobiet kilka ze dworu, nadjechała konno hrabina Orzelska, w amazonce żółtej z czarnemi ozdoby, w toku z piórami czarnemi, różowa, wesola i jakby odmłodzona. Kasztelan znalazł ją znowu piękniejszą i miłszą, niż ostatnim razem. Mijając go, skłoniła mu się i uśmiechnęła jakoś tajemniczo, a wielce obiecująco. Musieli pośpieszać co żywo na dziedziniec zamkowy, gdyż, jak się okazało, polowanie odbyć się miało w lasach okolicznych, nie w zwierzyńcu. Powozy i konie królewskie czekały na zaproszonych. Gdy weszli w dziedziniec, trąby dawały już znak wyjazdu, król siedział na koniu, przy nim cały dwór młody, hrabina Orzelska, Rutowski, Vitzthumy, Lagnaseo, kilku cudzoziemców, para książątek niemieckich i świta liczna. Podskarbi z kasztelanem zabrali się, nie mając własnych koni, na myśliwski wóz króla, który prócz nich i jednego szlachcica z pod Altenburga, nikogo więcej nie zabierał.

Ustawiono się porządkiem i orszak pański wyruszył. Okazały był i piękny, chociaż na lwy nie przystrajano się zbyt świetnie. Zwykle po nich dopiero następujący obiad, lub wieczerza w wielkiej sali,

mythologicznemi obrazy przystrojonej, na który król i dwór nowe przywdziewali ubiory, z całą okazałością występować pozwolił. Pominąwszy ogród i ulice z dziwnie w piramidy strzyżonych drzew złożone, ruszył pochód w głąb lasów.

Na kasztelanie przykre dosyć uczyniło wrażenie, gdy mijając się na zawrocie z wielką częścią konnej drużyny, spostrzegł na dzielnym wierzchowcu doganiającego dworzan rotmistrza, Wita Zagłobę, który ze swym koniem sztuki wyprawiał i zdumieniem najlepszych kalwakatorów napełniał.

Dosyć było jego przytomności i twarzy, aby posuć wrażenie dnia tego. Spuścił głowę kasztelan i westchnął.

— Mieli mnie po co prosić, rzekł, żebym na jego dokazywania patrzył i na tryumfy łotra, który się swému szczęściem uczciwym ludziom urąga.

Po blisko godzinną jeździe niewygodną w lesie drogą, stanęli wszyscy, i jezdni z koni zsiadać, a jadący powozami wydobywać się z nich poczęli. Między obrzędów, których i na łowach nie brakło, ustawiali wszystkich bardzo troskliwie i każdemu wyznaczali miejsca. Około króla stało osób kilka, nieopodal też wyznaczono stanowiska kasztelanowi i podskarbiemu. Hr. Orzelska stała przy ojcu, oglądała się kilka razy, pozdrowiła Niemirę, uśmiechnęła mu się, spojrzała na Brühl'a... i zaczęła mówić z królem dosyć żywo. Skwasło znowu humor dosyć dobry kasztelanowi. gdy ujrzał, iż nieopodal posta-

wiono Wita, jakoś między królewskimi łowczemi, a przynajmniej niedaleko od nich. Król się kilka razy od niechcienia obejrzał w tę stronę, z dworu kilka osób także. Zdawa zaczęło być słychać obławę i psy, a wszystko uciszyło się i nagle zamilkło.

Miejsce, na którym stał dwór i król, na zielonój łączce, okolonój lasem, było puste i dzikie. Wysoki bór otaczał w koło nizinę, przez którą zaledwie dostrzeżony płynął strumyczek.

Już byli wszyscy zebrani, gdy drogą od Moritzburga ukazało się kilku jeźdźców, jakby opóźnionych. Kasztelan zdawa po strojach poznał ziomków, a po rzędach konie królewskie. Ciekawe oczy wlepił w tych tak nieprzyzwoicie przybywających na zaproszenie gości, gdy w miarę jak się zbliżać zaczęli..... w oczach mu się zamgliło. Przetań je raz, i drugi, ale im uwierzyć nie mógł. Przodem jechał ogorzały, słusznego wzrostu mężczyzna, ubrany bardzo skromnie, czarno, przypominający twarzą i Wita Zagłobę i nieboszczyka Piotra. Kasztelanowi przywidiło się, że z nim jechał ktoś podobnintęki do Wereszczaki.

Ale oczywiście to było tylko złudzenie. Sam się już z siebie miał śmiać kasztelan, gdy jeszcze kilka kroków, najwyraźniej poznał Wojskiego Wereszczakę, zmizerowanego bardzo, chudego, żółtego, ale żywintękiego. Omylić się nie było podobna. Kasztelan ręce podniósł do góry i o mało na głos nie krzyknął. Cicho było na stanowisku, przyjazd więc

ten zwrócił oczy wszystkich. Sam król nawet obejrzał się — stał odwrócony i jakby czekał na coś.

W chwili, gdy przybywający zsiadali już z koni, rotmistrz Wit dostrzegł ich. Oczy mn prawie z powiek zrazu wyskoczyć chciały, przerażenie odmalowało się straszliwe na twarzy zmienionej, drgnął, potem chciał się jakby rzucić w bok, aby tego widoku uniknąć, czy od widma uciekać, lecz na pierwsze jego drgnięcie, stojący tuż hajdncy, którym widać znak dano, pochwycili go z obu stron za ręce i choć się wyrwać usiłował jak oszalały, złamanego utrzymali.

Król oczyma całą tę scenę ścigał. Orzelska bladą i wzruszoną, patrzała z razu wylekła, później rozradowana. Niemira rozplakał się. Inni widzowie, dla których to było zagadką, spoglądali na rotmistrza, na przybyłych i na pana. ze zdziwieniem niewysłowioném.

Jedno przybycie uwolnionych z Koenigsteinn więźniów, rozstrzygało sprawę; dla tych co byli świadkami, jakie wrażenie wywarł widok zmartwychwstałego na zabójcy, innych dowodów występku nie było potrzeba...

Król ściągnął brwi i twarz jego majestatyczna, lecz spokojna i obojętna, nabrała wyrazu grozy i oburzenia, — szepnął coś do jednego z otaczających, głową skinął przybyłym i najwzwyż broń z rąk strzelca, postąpił parę kroków naprzód. Oblawa się zbliżała.

W téj chwili wszakże nikogo ona i polowanie to nie obchodziło; dramat tajemniczy, niezrozumiały, rozwiązywał się w ich oczach. Niemira ścisnął Piotra i Wereszczakę, a o trzy kroki rzucającego się rotmistrza pachółkowie wiązali sznurami i ciągnęli, aby co prędzej od oblicza króla oderwać. W pierwszej chwili kilka osób z otoczenia Augusta skoczyło, jakby chcąc stanąć w obronie Wita, lecz poszeptawszy z sobą, popatrzywszy na króla, cofnęli się zarumienieni.

Urowadzonego więźnia nie było już widać; znikł za drzewy wśród służby i wojskowych, którzy tam znać nasadzeni wprzód byli.

Król z kilku osobami, wysunął się przodem, znaczniejsza część dworu pozostała ciekawością do niejsza przykuta. Orzelska z uśmiechem poskoczyła ku Wereszczace i podając mu rękę do pocałowania, szepnęła:

— Teraz już musisz mi przyjść choć podziękować.

To powiedziawszy, uciekła.

Niemira z Piotrem i Wojskim, wysunęli się po za ciżbę, aby być sami. Na twarzach ich łzawa i rozczulona malowała się radość; chcieliby byli jednéj godziny, minuty, ujsć ztąd i szukać nieszczęśliwéj kobiety, która dotąd cierpiała, lecz należało wprzód podziękować królowi, a mistrz ceremonii zapowiedział, że Najjaśniejszy Pan wracając, do pocałowania ręki ichmościów dopuści.

Nikt z nich już na łowy nie zwracał uwagi. Napędzono rogacza ogromnego na króla, który go trafnym strzałem powalił i trąby zaraz odczywały się na znak zwycięstwa. Kilka innych strzałów padło dalej nad łąką. Polowanie było nader szczęśliwe i pomnożyło ten zbiór szacowny rogów olbrzymich, który zdołał pałac Moritzburgski.

Niemira ścisnął to dłoń Wojskiego, to Piotra, którego twarzy schorzałej przypatrywał się z rodzajem przerażenia i ciekawości nieopisanéj.

Szmer dał się słyszeć. Król wracał, wszyscy stanęli szeregiem. Piotr i Wojski i kasztelan razem. August zbliżył się do pierwszego z nich, stanął, wyciągnął doń rękę i rzekł po francuzku:

— Szczęśliwy to dzień, gdy się panującemu uda dopełnić sprawiedliwości, dzień Tytusowy,—zawdzięczam go panu.

A po chwili dodał:

— Wierz mi pan, iż nie łatwy jest wymiar tego, co każdemu słusznie należy, lecz gdy prawda dojdzie uszów naszych, posłuszni jesteśmy posłannictwu, zleconemu od Boga, z rozkoszą. Sprawiedliwość wymierzoną została i nie na świecie powstrzymać jej nie jest w stanie.

To mówiąc, z promienistą twarzą, król minął ich i poszedł dalej.

Trzej nasi panowie, czując się wolnemi, po oddaniu pokłonu i podzięków téj, która sama dzieła tego

dokonała, rzucili się co najspieszniej do miasteczka, aby do Drezna powracać.

Tyle mieli do mówienia z sobą. Kasztelan płakał, Wereszczaka żartował, Piotr stał posepny, milczący, ale uśmiechem usiłował wtórować ich weseliu.

W miasteczku zastali całą ludność wzburzoną, rozciekawioną, w ulicę wybiegłą i nie mogącą pojąć, co się na polowaniu stało. Opowiadano najczudniejsze wymysły o kryminale, popełnionym przez jakiegoś nieznajomego, którego oknatego, czarnym wozem pod strażą już wywieziono do Drezna. Widzieli ludzie jak się miotał, jak wyrwanym żołnierzowi orężem, chciał sobie życie odebrać. Dało to powód do domysłów, do plotek, do historyi, jakie rodzi każdy taki wypadek zagadkowy.

Co najprędzej z tego tłumu wzburzonego, wyrwali się nasi panowie, zabierając do najętego powozu kasztelana i pośpieszyli z powrotem. W drodze, na chwilę nie zamknęły im się usta. Piotr i Wereszczaka opowiadali o swém uwięzieniu w Koenigsteinie, kasztelan o staraniach około ich sprawy i endownych posiłkach Opatrzności, jakie mu w pomoc przychodziły.

— Cała wdzięczność należy się tobie, kasztelanie, zawołał Wereszczaka, gdyby nie wy, mogliśmy byli zgnieć w tych murach, czekając wytoczenia procesu.

— No, mnie jak mnie, ale mojej babie, to pewna, odparł wesoło Niemira, bo hym bez niej z domu nie ruszył, a potem wypadkowi, który kamerdynera po-

stawił w progu, gdym z Brühlem mówił, a wreszcie Orzelskiej, z którąbym się nie poznał, gdybym jej głupstwa nie powiedział.

O wszystkichém tém obszerną zdał relacyę Niemira, płacząc, śmiejąc się i ściskając obu.

— Bogu niech będą dzięki, odezwał się Piotr, największa część już dokonana, jam wszystko Wereszczace winien, lecz znając Wita, jeszcze się obawiać należy niespodziewanego, a daj Boże, by niedokonanego nieszczęścia. Co się dzieje z Maryą? co z dziećciom? gdzie oni są!

— Nie się im stać nie mogło, rzekł kasztelan, bo Wit nie spodziewał się takiego rozwiązania. To jednak pewna, że kędyś skrył ich, bo w mieście dopytać nie było można. Czy w jakiej ustronnej kamienicy, czy na wsi, dobadać się przecież z niego muszą, choćby go na męki brać przyszło, wszak i tak głową nałoży.

Całą noc po powrocie, spędzili na nieprzerwanéj rozmowie, bo Piotr na nowo całą swą historyę opowiadać musiał; całując się i płacząc, dosiedzieli do rana, a gdy sen ich na chwilę zmorzył, już się trzeba było przedziać i biedz, a szukać dróg, któremi by do Wita dostać się i z niego najważniejsze zeznanie, ce uczynił z Maryą i dziećciem, wydobyć można.

Nie poszło to z razn łatwo, bo tysiące drobnych formalności było do spełnienia, wszakże wola królowska, aby sprawiedliwość surowo i prędko domierzoną została, wiele przeszkód usunęła.

Wszystcy urzędnicy, od których to zależało, z chętną śpieszyli pomocą, a gdy Piotr wytłómaczył im, dla czego widzieć się musiał z uwięzionym, przyrzeczono mu, iż nazajutrz zaprowadzonym zostanie do więzienia, w którym był osadzony, nim go pod strażą do Warszawy odesłać miano.

Nazajutrz Piotr się stawiał do sędziego, który mu oświadczył, że już tegoż dnia próbowano wymódlz zeznanie na więźnin, ale ten na żadne pytania odpowiedzi dawać nie chciał. Nie wzbroniono przecież przy świadkach pójść Piotrowi samemu, aby mówił z obwinionym.

Nie bez wstrętu i obrzydzenia, pod wrażeniem dziwnego smutku i niepokoju, wszedł Piotr do sklepionej izby, w której Wita osadzono. Okuty był w kajdany, gdyż kilkakroć porwał się na broń straży i życie sobie usiłował odebrać. Musiano więc ręce z wiązać i strzedz go nieustannie.

Siedział na tapczanie przy oknie kraciastém, z twarzą rozwściekloną gniewem bezsilnym, prawie do szaleństwa. Wzrok, którym w progu spotkał Piotra, dreszczem go przejął.

Stanawszy w progu słowa zrazu z ust dobyć nie mógł przybyły, i tarł czoło, a łamał ręce, nim się na przemówienie zdobył.

— Późno, ale przyszła poimsty Bożej godzina, więcej Bóg niż ludzie ją sprowadzili. Wicie, nie gub swój duszy, jak zgubiłeś ciało; opamiętaj się, żałuj i pokutuj.

— Wczas! wczas! mrknął Wit, daj mi pokój! Uragać się przyszedłeś! nasycać! patrz, zdepcz swoją ofiarę.

— Ofiarę, rzekł Piotr, któż z nas ofiarę? Bóg z tobą! Gdzie jest Marya i Urszulka? więcej od ciebie nie chcę, powiedz mi gdzie są, powiedz czy żyją, a uczynię co mogę, aby twemu losowi ulżyć.

— Zapłacisz kąt aby mi od razu łeb zciał chyba, zaśniał się Wit, cóż ty mi dziś możesz uczynić? pójdź precz, przynajmniej cię na oczach mieć nie będę.

— Pójdę, ale mów gdzie są, mów!

— Nie powiem, ofuknął rotmistrz, niech mnie zabijają, nie powiem.

— Cóż ci z tego uporu.

Wit zmilczał; po chwili rzekł szydersko:

— Nie ma ich na świecie. Marya umarła. Urszula z tęsknoty za nią zachorowała i nie żyje.

Przyskoczył doń z krzykiem Piotr, ręce łamiąc.

— To nie może być! człowiecze! ty kłamiesz.

— No, to kłamie! obojętnie zawołał Wit, chciałeś przecie wiedzieć co się stało z niemi! Idź na cmentarz.

— Marya! Marya umarła! ja nie mam dziecka! Nie, ty się mścisz niegodziwie na mnie za swoją własną zbrodnię, nie...

— To idź i szukaj! mrknął niecierpliwie rwąc kajdany Wit, a idź mi z oczów! z oczów mi precz, widmo szkaradne.

Na chwilę zamilkł Piotr, łąy mu zamknęły mowę.

— Człowiecze, bez serca, bez litości, bez sumienia, ulituj się choć teraz nademną! Mów, ocale ci życie, jeśli mi je oddasz!

— Ty! mnie życie ocalisz! kłaniesz, to nie może być. Moje życie się skończyło, ja żyć nie chcę. Daj mi śmierć inną, nie z ręki kata, nie na placu, gdzie mnie tysiące oczów ścigać będzie, daj mi śmierć.

— Ja ci dam życie i czas do pokuty, wybłagam miłosierdzie, wypuszcze z więzienia, przekupię strażników, ale mów...

Wit mileżał długo z głową spuszczoną w dół, dumiał i zębami zgrzytał, zapominając się jakby, iż miał przed sobą Piotra, którego widoku unikał. Naostatok podniósł czoło pożałdowane.

— Daj mi śmierć! powtórzył, ja nie chcę żyć, ja niepotrafię pokutować. Chcesz bym hańbę rodzinie przyniósł? daj mnie na ręce kata. Chcesz ocalić cześć domu? daj mi truciznę. Przynieś mi truciznę, powiem ci gdzie są.

— Więc żyją! zawołał Piotr z wybuchem radości, przysknkując ku niemu, żyją!

— Żyją i mogą nie żyć, jeśli ja umrę. Ty możesz je ocalić lub zgubić, ja nie powiem. dopóki nie przyniesiesz mi trucizny.

W wielkiej walce z samym sobą, przybyły załamał ręce, nie wiedział co począć, nie czuł się spokojnym na sumieniu, kupując tą ceną żonę i córkę, o których przecież gdyby żywe były, zawsze się prędnój lub

później mógł dowiedzieć. Z drugiej strony, uniknąć hańby procesu i rusztowania, byłoby szczęściem. Wachał się Piotr, a winowajca znać z mileżenia domyślał się tej walki wewnętrznej, bo głosem chwilo-wo mniej namiętnym, suchym, szyderskim niemal, począł nalegać.

— Mam murzyć, wszystko ci jedno jak... dosta-łem się w ręce oprawców, zginąć muszę. Chcesz mi uczynić dobrze w godzinie ostatniej, chcesz bym ciebie i was nie przeklinał, przynieś mi truciznę.

Piotr ukląkł przed nim.

— Wicie, zawołał, jeżeli w twém sercu została uczucia iskierka, jedno słowo, czy one żyją?

Więzien potrząsnął tylko głową.

Napróżno ponawiał błaganie i pytanie Piotr, nie-odpowiedział już mu więcej, obrócił się twarzą do ściany i milezał.

Zeszło pół godziny, i stróż więzienia szepnął Piotrowi, by go sam na sam zostawił. Nie było już środka dobyć zeń słowa, tylko gdy usłyszał wychodzącego bratanka, zwrócił nań oczy i zawołał gwałtownie podniesionym głosem :

— Trucizny!

XI. Poszlaki.

Powrócił Piotr tak znękany po tém widzeniu się z bratankiem, iż niemal chorym się czując ze wzruszenia i niepewności o los żony i dziecka, ledz musiał w łóżko. Opanowała go gorączka, płakał, narzekał, zrywał się, kładł krzyżem i nad ranem dopiero usnął twardo. Nazajutrz wstał jednak, a nie można go było powstrzymać, by znowu do więzienia się nie wybrał i na nową nie naraził próbę.

Sędzia nie wzbraniał mu wnijsia raz jeszcze i sam się z nim udał do więzienia. Gdy przyszli pode drzwi już, wybiegli pachołkowie pomieszani, opowiadając coś szybko bardzo swojemu urzędnikowi, czego Piotr zrozumieć nie mógł. Postrzegł tylko wyraz przeżenienia na twarzy sędziego, który zmieszany powiedział mu, że przystęp do więzienia w téj chwili był niemożliwy.

Stało się w więzieniu coś, czego wszakże powiedzieć niechciano.

Piotr pozostał w korytarzu sam. wszyscy pobiegli do celi Wita, wzbroniono mu krok postąpić dalej. Myśl straszliwa, że Wit mógł przekupiwszy strażę ująć z więzienia, przebiegła mu przez głowę; przeraził się tém, że zbiegły, jeśli Marya była żywą, mógł mścić się prześladowania za zbrodnię, na niej i na dziecku.

Oparł się o mur, czując, że go siły wyczerpane opuszczają, ale w tejże chwili przeciwległe drzwi więzienia otwarły się szeroko i ujrzał na posadzce więziennój leżące ciało. Poskoczył ku wychodzącym.

— Umarł, rzekł mu sędzia, umarł, ale to nie może być by skończył naturalną śmiercią. Śledztwo najściślejsze wytoczone być musi. Ciało jest sine i nabrzmiałe, wszystkie ślady otrucia.

Niemy, stał Piotr słuchając i łamiąc ręce. Sędzia odciągnął go na bok, usiłując pocieszyć, uspokoić i sam siebie razem wytłómaczyć.

— Pan wieć zapewne, on tu miał wpływy i stosunki na dworze, rzekł, ja tę całą historję znam. Stróże nie mogli się znać oprzeć osobom wysoko stojącym, które go odwiedzały.

— Jakto? odwiedzał go kto?

Sędzia się znięszał.

— Nie wiem, domyślał się, posądzam, dodał, próbowano bowiem przezemnie uzyskać pozwolenie, ale ja odmówilem. Mogęż zaręczyć za stróżów?

Ruszył ramionami.

— Wielkim jest kusicielem pieniądz, rzekł z westchnieniem, wielkim strach. Ja nie nie wiem, ale ślady trucizny widoczne, a więzien nie żyje.

Piotr chciał naocznie się o tém przekonać, otworzył mu drzwi celi. Trup leżał jakby strącony z posłania, ze straszliwie zmienioną twarzą, tak, że w niej poznać już go było trudno, z wysadzonemi oczyma szklistomi, odęty i jakby spuchły. Czarne i sine plamy okrywały mu całe ciało.

Powolnym krokiem, od tego widoku strasznego odsunął się modląc i mimowolnie łzy lejąc Piotr. Nie wiedział już co począć z sobą, życie mu było obojętne, jeśli Maryi i dziecka na świecie nie było. Gdy powrócił do Wojskiego i kasztelana, poznali nim przemówił, że nowy go jakiś cios dotknął. Nie śmieli pytać nawet.

Po długiej chwili, Piotr głosem złamanym rzekł:

— Umarł.

Kasztelan przystąpił doń milezący.

— Otruto go, lub sam się otrnął w więzieniu.

— Nie powiedział nic?

— Nie.

Nastąpiło milezenie.

— Wczoraj, dodał Piotr, na pytanie moje rzekł, że Marya nie żyje, i dziecko z choroby i tęsknoty po niej umarło.

— Kiedy? gdzie?

— Mówić nie chciał.

— Kłamał! rzekł Wereszczaka,

— Chciał odemnie truciźny, mówił Piotr i za tę cenę niby mi przyrzekał znowu, że odkryje gdzie są i da środek ocalenia. Zrozumieć go nie było podobna.

— Nie! zawołał Wereszczaka, umrzeć w przeciągu tego czasu, i tak, by o tém nie było wieści ni słychu, nie mogły. On je skrył i przez złość wyjawieć nie chciał gdzie są, ale my je wyszukać musimy.

Niedowierzając Piotr głową potrząsał tylko.

— Tak, dodał po chwili Wereszczaka, ja mam w duszy tę pewność, że one żyją, że są nawet niedaleko nas może i że wynaleźć je, moja rzecz! Wam panie Piotrze, rzekł, nie można się do tego rwać, bo gdybyś niespodzianie zjawił się przed żoną, wiesz, że i radość zabija. Spuść się na mnie.

Rozśmiał się smutnie Wereszczaka, spoglądając w zwierciadełko weneckie wiszące w mieszkaniu.

— Nie najlepiej po kuchni Königsteinskiej pani Wulfowej wyglądam, ale mam taką naturę, że prędko chudnę i szybko do sił powracam.

— Ja, rzekł kasztelan wzdychając, służyłbym wam też z duszy i serca, ale dalipan na nie się nie przydam, boli mnie to, ale jakbym ja drugim radził, kiedy sobie nie mniem!

Zaledwie wypocząwszy, Wojski natychmiast ruszył w miasto, aby od pozostałych ludzi rotmistrza wiadomości zasięgnąć, czyliby o pani samėj od nieboszczyka co nie słyszeli. Zszedł się tn właśnie z urzędem, który opieczętowywał pozostałości, a służ-

bą nie wiedzącą co pocznie z sobą. Nie wielu ich zabranych z Bożej Woli, prosiło się już o pozwolenie powrotu choćby pieszo do domu, gdy Wojski szczęściem nadeiagnął. Zobaczywszy go, przyłgnęli jak do naturalnego opiekuna.

— Moje dzieci, — rzekł Wereszczaka. — najprzód pierwsza rzecz, o którą pytam najpilniej, gdzie wasza pani?

Najśmieszniejszy z nich wystąpił odpowiadając za wszystkich.

— Pani z nami tu przybyła, rzekł, i z początku w mieście osobno dla wygody podobno pan najmował gdzieś kwatere, ale nam o tém wiedzieć nie było wolno, i nas nieposyłano nigdy. Czy się nasza pani później wyprowadziła stąd i tego nie wiemy.

Wereszczaka się zamyślił mocno.

— Gdy pan wyjeżdżał czasem, czy bawił długo?

Wojski chciał w ten sposób dobadać w jakim oddaleniu prawdopodobnie szukać należało Maryi. Lecz słudzy dość sprzecznie odpowiadali, że pan bawił raz krócej, to dłużej, bo jeździł na polowania z królem i dworzanami, tak, że z tego nie też wnioskować nie było podobna.

Sąd dozwolił dla dobadaenia śladów pobytu Maryi, przejrzeć papiery po zmarłym, i Wereszczaka zajął się przetrząsaniem najdrobniejszych świstków i kwitków, co też do niczego nie doprowadziło, gdyż słudzy świadczyli, że rotmistrz niemal co dzień papiery jakieś starannie zbierał i palił.

Pozostał więc tylko traf i szczęście, na które rachować było potrzeba. Służący w końcu namyśliwszy się, uwiadomił o tém pana Wojskiego, iż parę razy wózkiem jednokonnym wiejskim przyjeżdżał jakiś Niemiec, który pieniądze odbierał i coś poszeptawszy z Witem, nazad powracał. Godziło się domyślać, że mógł to być gospodarz domu, w którym Marya umieszczoną została na wsi. Starszemu słudze przykazano pilnować i gdyby nadjechał a pytał o rotmistrza zwłóczyć, zatrzymując go, dopóki by Wojski nie przybył.

Z rozkazu króla téż, sąd i policya miały poleceniem, poszukiwanie po wsiach, czyliby gdzie obca osoba z dziccięciem nie zamieszkiwała.

Na takich przygotowaniach zbiegł dzień cały jeden i drugi. Piotr tylko, który zmarłemu w duszy po chrześcijańsku przebaczył, nie chciał dozwoić, aby zwłoki winowajcy wyrzucone zostały bez wieści; poszedł się starać o wydanie ciała Wita, i dozwole nie cichego pogrzebu, choć pod murami cmentarza. Zakupiono kawał gruntu, który miał być ogrodzony i obyczajem naszym zamiast pomnika, narzucić miano stos kamieni oznaczający mogiłę samobójcy.

Gdy ze zwłok zdjęto odzież zwalaną, aby je przebrać i owinąć przystojnie do trumny, Piotr zauważył z kieszeni kontusza wystający kawałeczek papieru, wyjął go więc, nie patrząc co tam stało i schował. On i Wojski poszli sami za prostą trumną, którą na Frydrychstacie za cmentarzem, złożono do

dołu; rzucił na nią garść ziemi Piotr z westchnieniem do Boga, ażeby się ulitował nad duszą, którą skrucha i żal może w chwili zgonu dopiero dotknęły. Wojski i on, przypomnieli sobie z goryczą te chwile młodości, gdy związani przyjaźnią, wspólnych używali rozrywek, dzieląc z sobą myśli i uczucia, nie mogli by byli nawet przypuścić, ażeby między nimi stał człowiek, który się miał w krwawego zbrojce przedzierzgnąć...

Gdy trumnę zasypano ziemią, a garbarze poczęli zsuwać nagotowany kamień, Wojski i Piotr pieszo poszli do miasta.

Sięgając ręką do kieszeni, Piotr trafił mimowolnie na ów świstek, wyjęty bez myśli z ubrania zmarłego, obejrzał go, spostrzegł niewyraźny charakter niemiecki i chciał go rzucić, gdy Wereszczaka go zapytał:

— Co to jest?

— Kawałek papieru, znalezionej w sukni tego nieszczęśliwego.

— Dajcie mi go, zobaczyć trzeba co to jest! — pochwycił Wojski.

Kartka była zbrukana, niewyraźna, niepozorna, pismem bladym wypełniona. Dała u góry dość świeża jednak, nie sięgała po za owo polowanie w Moritzburgu. Wojski, który z niemczyzną pisaną nie był zbyt oswojony, hieroglifów tych ani wyczytać, ani zrozumieć nie umiał, postanowił wszakże pójść z niemi do pani Magdy, aby je wytłómaczyła. Skrę-

cili oba, doszedłszy do Zamkowej ulicy na Rozmarynową. Pani Sulzerowa właśnie ciasto miesiła, gdy jej tę robotę przerwali.

Pismo i kaligrafia nie były jej obce, wszakże do wysokięj doskonałości nie posunęła nigdy sztuki pisanja i decyfrowania, ale miała chłopca w szkole, który bez mała już całkiem był Niemiec. On więc użyty został za tłumacza. List z kieszeni zmarłego brziniął jak następuje:

— „Donoszę waszëj hrabiowskiëj mości, że u nas nie nowego, ale coraz gorszy smutek i zawsze te lamenty i milezenie. Zdrowie jejmości nie dobre, ale klnę się, że nie z powodu stołu, bo jeść dajemy dobrze i tyle, ile zechce pani i dziecko. Piłnować trzeba nieustannie, tak, że i ja, i żona i chłopak, stać musimy ciągle na straży, bo mam podejrzenie, że do nieczki wielka jest skłonność. A z tego powodu my wszyscy nie robić i nie zarabiać nie możemy, co wasza hrabiowska mość zechce mieć na łaskawęj uwadze, gdyż zgodziliśmy się tanio, nie wiedząc, że to tak będzie. W noey raz na schodkach panią z dzieckiem spotkawszy, musieliśmy zawrócić.“

List był oddarty tak, że ani podpisu na nim, ani miejsca nie było, ale że się odnosił do Maryi, nie ulegało wątpliwości i Piotrowi rozjaśniło się lice, gdyż data kartki dowodziła, że w dnin, w którym Wit pochwycony został, Marya i Urszulka żyły jeszcze. Oba z Wereszczaką Panu Bogu za to podziękowali, a Wojski najlepszëj nabrał otuchy i powtarzał:

— Jezu najśłodszy, tylko ty mi się już nie frasnij, a spuść na mnie, zresztą wszystko będzie dobrze.

Piotrowi ciążyło najwięcej to, że bezczynnym być musiał, a oddalić się stąd nie mógł, dopóki by o losie żony nie miał pewniejszej wiadomości.

Tydzien! prawie ubiegł na nieznosném oczekiwaniu. Wereszczaka tylko wycieczki próżne w okolice przedsiębrał nadaremnie. Wtém ranka jednego nadbiegł któryś z ludzi, pozostałych na dawném mieszkaniu Wita z oznajmieniem, iż ów nieznajomy człek przybywający ze wsi nadjechał, czegoś niezmiernie pomieszany i zrozpaczony, domagając się co najprędzej rozmowy.

Wojski i Piotr pobiegli niezwłocznie do gospody. Chodził przed nią człek nie młody, w kapeluszu czarnym, w granatowym surducie z ogromnemi guzami, z biczyskiem w ręku. Gdy ujrzał idących ku sobie, znać pana Piotra wziął za rotmistrza i poskończył ku niemu, ale rychło się opatrzył i cofnął.

— Powiedziecie mu, że jestem bratem, że o wszystkim wiem, że tamten umarł, rzekł pośpiesznie Piotr do Wojskiego.

Wereszczaka spełnił to zlecenie, ale Niemiec posępnie miledzał, słowa nie mówiąc, dopiero po długich rozprawach, dał się do izby na pół wolą, pół siłą zaciągnąć. Posłano po urzędnika sądowego. Sas, który dla endzoziemców był dosyć zuchwały i oporny, na widok munduru znikł zu-

pełnie: a gdy przyszło do protokołu, stanął prawie drżący.

Oświadczył, iż się zowie Jan Fryderyk Busse, że ma swój dom własny piętrowy w Schandau, nad Elbą, że się do niego zgłosił graf polski, mający żonę chorą na myśle, aby ją na nieszkanie przyjął, gdyż lekarze nakazali jej wiejskie powietrze. Że owa pani płakiwała po całych dniach, siadywała w oknie, kilka razy próbowała uciekać, że ją musieli nieustannie pilnować i nie spuszczać z oka. Że później on, Jan Fryderyk Busse, był zmuszony na jarmark się oddalić do Pirny i zostawił syna i żonę na dozorze przy tej pani, a ona korzystając z ospalstwa ich, wymknąć się i zbiedz potrafiła. Dopiero trzeciego dnia Busse wróciwszy, o tém nieszczęściu się dowiedział i przybył co najspieszniej uwiadomić, dodając, iż mocne miał posądzenie na nieprzyjaznego sobie sąsiada, Christiana Eberharda Stolz, iż ten przez złość do ucieczki dopomógł, gdyż obca kobieta nigdyby się na nią sama i nieposiłkowana nie ważyła.

Raz rozgadanego Jana Fryderyka Busse, w zeznaniach już powstrzymać było trudno, choć protokolista nie naglił. Mówił więc jeszcze, iż powróciwszy z Pirny, z której był wycieczkę robił do Weinsteinu, dla kupna owsa, śledził natychmiast, kiedy i jak ujść mogła obłąkana niewiasta, ale innego śladu nie było, oprócz nad Elbą znalezionej chustki, z której ludzie wnosili, że w przystępie obłąkania, utopić się mogła.

Łatwo sobie wystawić, jakie wrażenie zeznanie to zrobiło na Piotrze, który drżąc, dostał ledwie do końca, co najprędzej chcąc udać się na miejsce i szukać śladów nieszczęśliwej Maryi.

Po dokonaniem badania, Jan Fryderyk Busse, uspokojony na sumieniu, podjął się na wózek swój zabrać pana Wojskiego i Piotra, a zawieść ich na miejsce, za co mu przyrzeczono wynagrodzenie, jakiego się domagał. Nie tracąc chwili, pożegnali kasztelaną, który się już znowu do domu, ale ze skryptem w kieszeni, krzesło mu zapewniającym, wybiegał — i siedli na wózek Bussego.

Wojski przynajął parę koni dla większego pośpiechu. Puścili się tym ślicznym Elby brzegiem, który w ich oczach teraz piękniejszym się wydawał, niż przez kraciaste okienko czarnego wozu, gdy im tylko drzewa i woda migały. Był piękny wieczór jesienny, gdy stanęli w małej mieścinie, słynnej dawno z uroczego położenia swojego. Tu, w głównej ulicy, stał okazały z pruskiego muru piętrowy domek, pana Jana Fryderyka Busse, z ogrodem, podwórcem i murowaną bramą. Spostrzegłszy z powrotem wózek gospodarza, cała jego rodzina wysypała się na próg: starszy syn, gapiątko wielkie, o czém jego powierzechowność sama przekonywała, wysoki nad miarę wzrost, ręce orangutana, a głowa śpiżasta. Oprócz niego matka, kobieta ogromnej też budowy i wielkiej rozlaniej twarzy, trzy córeczki różnej miary i najmniejszego chłopiec, chodzący jeszcze w koszuli tylko

i pantoflach wysłużonych. Wszystko to otoczyło ojca naprzód, potem gości, którzy milczący weszli na górę, jak się wchodzi do miejsca uświęconego wspomnieniami. Tu wszystko pozostało nietkniętém, jak Marya rzuciła, czarne jej suknie i kwefy, dzieciunny przyodziewek i proste, ubogie zabawki, tabliczka, na której Urszulka pisać się uczyła, kilka książek z domu zabranych. Krzesło stało jeszcze tak w oknie, jak zwykle gdy ona siadała na niem patrzeć na świecącą między dwoma urwiskami Elbę i przeciwległe jej brzegi, lasami okryte.

Piotr nie mógł się od łez powstrzymać, bo serce przerażało go przeczcuciem wielkiego nieszczęścia i te smutne izdebki wiały doni grobowo. Wojski szukał przeciwnie dowodów, iż Marya ztąd mogła ujsć, aby się ukryć, lub w jakikolwiek sposób dostać się do wojewodziniej.

Zostawiwszy więc Piotra z jego łzami w tych pokoiach, od których oderwać się nie mógł, zbierając po nich najmniejsze strzępki i gałganki, ręką rozsypane dziecięcą, sam wymknął się do sąsiedniego domu, Christiana Eberharda Stolza.

Pomiędzy panem Janem Fryderykiem Busse, a Christianem Eberhardem Stolzem, obu mieszcza-
nami, i obywatelami miasteczka Schandau są-
siedzka, od lat wielu trwała uparcie nienawiść.
Busse z powołania przekupień, od pokoleń wielu był
Schandawczykiem; Christian Eberhard Stolz, który
przy dworze królewskim dorobił się grosza niewia-

domym i podejrzanym wielce sposobem, kupił tu grunt tanio, a postawił dom wspaniały, masiv murywany, dla upokorzenia Bussego, którego kamieniczkę z pruskiego muru, kletką nazywał. Pani Stolzowa ubierała się jak Drezdenka i z góry patrzyła na inne damy z Schandau, dla tego, że miała stosunki u dworn. W Kirsze ławkę sobie wybudowali za ukniętą, słowem gonili widocznie za tén, aby dawniej prym wodzącego tu Bussego zaćmić, upokorzyć i zepchnąć z jego stanowiska, na co on nie mógł pozwolić, był bowiem prawie kupcem, gdy, jak się okazało, Stolz z professyi tylko tokarzem. Wojna między Bussem a Stolzem, zatruwała życie obu, podzieliła na obozy spokojną nieścinę, trzymała przyjaciół i sprzymierzeńców w nieustannym niepokoju, ale o zgodzie ani pomyśleć nie było można, gdyż Stolz coraz się bardziej panoszył.

Co żyło w tych dwóch domach, zajaśniało się, nawet psy podwórzowe dzieliły uczucia swych panów i spinając się na płoty, godzinami szczekały i wyły. Stolza więc nie bez przyczyny podejrzewał Busse, iż mógł, zazdroszcząc mu zarobku i chcąc spłatać figla, ułatwić ucieczkę Maryi. Innych przecież nad moralne przekonanie, dowodów na to nie było.

Gdy wózek Bussego zjawił się przed jego domem, Stolz sam w białym kitlu i szlafmicy wyszedł do swój bramy i bezwstydnie przybyłym się przyglądał szydersko nieco uśmiecchając. Znikli potem wszyscy z podwórza i nikogo tu już nie było widać, gdy pan

Wojski dla zasięgnięcia języka, wszedł do paradnego domu Sztolców. Pies, który czuł w nim człowieka, przybywającego z nieprzyjacielskiego obozu, szczekaniem urywaném, gniewném, ponurém, prowadził aż do progu.

XII. Bussowie i Stolzowie.

W progu powitał go pan Stolz podjęciem szlafmycy i zaprosił do pokoju, bardzo, jak na Schandau, wykwintnie przybranego, gdzie znaleźli jejmość w fiokach, świeżą jeszcze i ładną kobiecinę z dwiema ślicznemi córeczkami. Zagać rozinową nie było łatwo. Pozdrowiwszy i przeprosiwszy państwa Stolzów, iż im spokój przerywa. Wojski swą nieciekawą niemczyzną, oświadczył, iż w imieniu bardzo stroskanego przyjaciela przybywał.

Z pierwszych słów fertyczna jejmość odgadła, czy udała, że się domyśliła Polaka i z wielkim zdziwieniem Wereszczaki zaczęła do niego mówić popsutym wprawdzie lecz jego własnym językiem. Grzeczna była nad miarę, śmiejąca się, trzpiotowata i znać w niej było dwórkę

— Łatwiej mi więc będzie, odezwał się Wereszczaka, rozmówić się z panią niż z mężem. Wejdźcie w położenie nasze: przybywamy szukając znikłej kobiety i dziecięcia, z którymi nie wiemy co się sta-

ło. Myśleliśmy, że państwo jako tak blizcy sąsiedzi, zechcecie może dać nam pewne wskazówki i objaśnienia.

Słyszając to jejmość uczyniła minkę zasmuconą, brwi podniosła do góry, spuściła oczy na robotę, którą trzymała w ręku, westchnęła i z obojętnością szczególną, poczęła mówić spoglądając na męża:

— A cóż my, proszę pana, wiedzieć o tem możemy? Tu zwróciła się po niemiecku do męża.

— Eberhardzie, powiedz że szanownemu panu, iż przed nami taką utrzymywano tajemnicę. tak się kryto, iż nie, ale to nie, no, powiem panu ani twarzy nawet tej pani widzieć nie mogliśmy.

Stolz potwierdził to i dodał:

— Już to, niech mi pan za złe nie bierze co powiem, nie wiem kto tę panią tam umieścił, ale prawda wyznać każe, gorzej było niepodobna. Ja im to w oczy powiem, to nie są ludzie warei, ażeby dostojni cudzoziemcy utrzymywali z nimi stosunki.

Żona spojrzała na męża, jakby go powstrzymać chciała, lecz mówił dalej coraz się więcej rozogniając a ręką wskazując dramatycznie na kamieniczkę Bussego.

— Nie, moja Krystyno, nie, dostojnym cudzoziemcom należy bez ogródki mówić prawdę! Jakże można było na pobyt dla chorąg osoby wybrać strupieszalą ten chlewek, tę kłec, to pudełko zbitwałe, które oni domem nazywają? Wszak to palcem trącić rozwali się. Dalej co...

Żona mrugnęła, ale on z powagą mówił dalej:

— Tak! tak! dostojnym cudzoziemcom prawda się należy. Jakże chorą kobietę, delikatną, mieścić w domu i rodzinie grubianów takich, ludzi niewykształconych, chłopów nieokrzesanych? Cóż z tego dobrego być mogło?

— Już to prawda, przerwała śluzownie piękna Krystyna ciągle koląc się w palce, aby się zdawało, że coś robi, mój mąż chce surowy, ale mówi prawdę. Zawsze prawdę!

— Ludzie są bez wychowania żadnego, chciwi. Ruszyła ramionami. — My z memi przez płot żyjemy, a nie mamy spokoju, coś dopiero gdyby pod jednym dachem przyszło? Istotnie oszaleć można!

Była chwileczka milczenia, pani Krystyna Stolzowa dodała:

— Parę razy przez okno widziałam tę panią. Wyglądała bardzo mizernie biedaczka i obchodzili się z nią, to postrzedz było można i zdaleka, grubiańsko, nieczuśnie. Płakała nieraz w oknie siedząc, dziecku ani na próg, jej ani do ogródka. Ten idiota Michel ze swemi długimi rękami do kolan, włożył się jak cień za nią, jeśli nie on, to stary Busse, jeśli nie stary Busse, to ta baba straszna jak jędra, a dalej dzieci.

Nagle zamilkła; skorzystał z téj pauzy poważny Stolz i rzekł:

— My panie, nie nie wiemy! Dostojnym cudzoziemcom prawda się należy, ale myśmy obcy tej

sprawie. Tak! tak! słyszeliśmy, coś się stało, zabrakło téj pani i dziecka jednego dnia, więcéj nie wiemy nic.

— Jakże wyjść mogła, zapytał Wojski, jeśli, jak pani sama powiadasz, tak pilnie była strzeżoną!

— Ja nie wiem! szepnęła Krystyna, patrząc na robotę i zwracając się do męża, rzekła po niemiecku:

— Ty Eberhardzie nie wiesz nic także.

— Ja, nie wiem nic a nic. Nie lubię patrzeć w okna cudze i mieszać się w cudze sprawy. Proszę pana, niech pan spojrzeć raczy, posadziłem dwa kasztany sprowadzone od ogrodnika z Pillnitz, aby mi znienawidzony widok na ten chłód zakryły.

— Ale mi téż pozwoli pan spytać, wtrąciła Krystyna przelotnie spoglądając na Wojskiego, któremu się uśmiechnęła bardzo mile, dlaczego i z jakich powodów téj pani tak pilnowano? kto ją tu osadził? ona o ile mnie się zdaje, nie prawdaż mężu? (świadczyła się nim ciągle, a on potakiwał z powagą wielką) nieprawdaż mężu, wcale nie była obłąkana, tylko uciśniona i nieszczęśliwa.

Spojrzała na Wojskiego badawczo.

— Téj całej historyi nieszczęśliwej kobiety, gdybyś ją pani chciał nawet opowiedzieć, nie wiem czybyś mogła uwierzyć. Tyle tylko jéj powiem, iż ta pani nie była wcale obłąkana, ale, jak pani powiadasz, była przez niekczemnego człowieka prześladowaną okrutnie. Trzebaż takiego losu, ażeby w chwili

li, gdy niespodzianie zmieniły się okoliczności, gdy nadawnie została wyzwoloną od tego tyrana, który umarł, znikła dla tych co ją ratowali.

Wojski ręce załamał, Niemiec znać zaciekawiony spojrział na żonę, ażeby mu wytłómaczyła o co szło, Krystyna rzuciła kilka słów dla uspokojenia go, a co żywiej zwróciła się do Wojskiego.

— Jakto? więc... się coś zmieniło w jój losie? spytała.

— Wszystko! zawołał Wereszczaka, tamten, umarł!

Gospośia zdawała się pomieszana i jakby nie wiedziała co mówić na to, szybko coś a niewyraźnie przemówiła do męża; mąż głową trzęsąc, surowo zaprzeczył czemuś, rozinowa się urwała.

— Wić pani, dokończył Wojski, że wiele, wiele dalibyśmy, jój mąż i ja.

— Jakto? więc tamten..... ten..... nie był mężem, zawołała Krystyna.

— Mówiłem pani, że to historia do wytłómaczenia trudna, rzekł Wojski.

— Jakto? więc miała dwóch mężów?

— Tak jest, bo sądzono, że pierwszy został zabity, a on żył.

Robótka wypadła z rąk gospośi, która oczy wielkie zwracała to na męża, tłómacząc mu opowiadanie Wojskiego, to na Wereszczakę, z ciekawością rozbudzoną do najwyższego stopnia.

I znowu poszwargotali coś pan Stolz z panią Stolzową, a on rozpoczął poważnie :

— Ja panu rozpowiem jak to było, bo wiem co się dostojnym endzoziemcom należy, a ten grubianin nie wie i nigdy wiedzieć nie będzie, bo to jest drąg nieoskrobany.

Wskazał na dom Bussego.

— Busse, ja nie chcę mówić tego publicznie, ale to jest chrzczony żyd, ja to wiem z pewnością: handlarz, szachraj, niecnota.

Żona spojrzała, pohamował się.

— Busse, mówił łagodniiej nieco, skorceiało go, pojechał na jarmark do Pirny i na kogoś zdał dozór, na tę kobietę nieokrzesaną, która dawniej, bo ja to bardzo dobrze wiem, była prostą dziewczką w gospodzie, no, ale już tego nie chcę mówić. Zdał taką delikatną panią na ręce takich ludzi jak sama Bussowa i godny jej syn, idiota. Ja nic nie wiem, domyślam się tylko, bo zkadże ja bym to mógł wiedzieć? Zdaje mi się, że Bussowa poszła do swojej miłej sąsiadki, do tej przekupki Widerowej, a syn poszedł w krzaki i spał. Zdawało im się, że na górze zamknęli tę panią, tymczasem... patrzę ja...

Tu niezmiernie się zmięszał, żona zmarszczonemi brwiami dała mu znak, poprawił się zaraz :

— Tymczasem, musiała pani ta wyjść do ogrodu, a z ogrodu, wszak jest tylina furtka?

Żona nie odrywając oczów od roboty. potwierdziła skinieniem.

— Fartką mogła wyść w góry, a w górach...

ruszył ramionami.

Jéjmość dokończyła: — W górach, w górach, proszę pana, nie trudno o ludzi co i za granicę do Czech i na Szląsk. zawieść, czy zaprowadzić mogą. Oj! oj!

— Ale nas tu przestraszono, rzekł Wojski cierpliwym, chustką znaną na brzegu Elby: obawiamy się rozpacz, nieszczęścia.

Małżeństwo pobieżnie spojrzęło na siebie.

— O chustce to i ja słyszałam, odezwała się pilnie wracając do szycia pani Stolzowa, lecz, proszę pana, matka się z dzieckiem nie utopi, matka dla dziecięcia przeniesie wszystko, a życia mu nie odbierze, matka! a! chyba by była istotnie obłąkaną, a ja, nie sądząc, ażeby ta pani być mogła.

— Naturalnie my nie nie wiemy, dołożył Stolz, żądajmy co wiedzieć możemy? My ludzie spokojni, nie mieszamy się w sprawy cudze, nam się wszakże zdaje, iż utopić się nie mogła. Chustkę w pośpiechu mogła zgubić na drodze.

Zamilkli oboje państwo Stolzowie. Wojski nie śmiał już ich badać dłużej i powstał z krzesła.

— Wielka to szkoda, rzekł, iż mi państwo nie możecie dopomódz, dać jakiejś skazówki... Familia znaczną wyznaczyła nagrodę.

Stolzowa wytłómaczyła to zaraz mężowi, popatrzyli na siebie, on głowę potrząsł, ramionami ruszył....

poczęli Wojskiego odprowadzać ku drzwiom oboje mileżący.

Wróciwszy do Bussych domu zastał tu Piotra, siedzącego samotnie w pokoikach i płaczącego jak dziecię.... nie śmiał mu nie już mówić, a nie miał też wiele do powiedzenia. Postanowili noc spędzić w Schandan i nazajutrz pójść jeszcze na zwiady. Oprócz domu państwa Stolzów, wiele innych stało w okolicy, a ku brzegowi Elby chatki rybaków i kamieniarzy. Okolica była dosyć ożywiona, ludna, mógł ktoś chociaż przypadkiem widzieć, spotkać kobietę, którą strój, zresztą dziecię, jakie miała z sobą, łatwą do poznania czyniły.

Nazajutrz zostawując Piotra znowu w tém mieszkaniu, od którego się oderwać nie mógł, Wereszczaka poszedł ku brzegowi rzeki. Zabrał z sobą chłopaka z gospody roztropniejszego nieco niż Michel, który mu z miejscowymi ludźmi, szpetnym mówiącymi dyalektem, służył za tłumacza.... Chodzili wszakże parę godzin bez skutku. Wracając już zetknęli się z powracającym też od Elby i statków człowiekiem, którego wskazał tłumacz, jako blizkiego sąsiada. Był to wesoły robotnik, z oczyma lśnąciami, z usty nśmiechniętymi, rumiany, otyły, silny, siekierą i drągami zarabiający na życie. Chłopiec mu opowiedział o co szło, i znów nagrodę jakąś obiecać musiał, bo się bardzo dopytywał długo, rozmowę śmiechem przerywał, ramionami ruszał i kilka razy na kamieniec Stolzów wskazawszy—odszedł.

Wojski począł chłopca badać.

— Nie z niego dowiedzieć się nie można—odparł chłopak — ale oni tu wszyscy Stolzów posądzają, iż coś mogą o tém wiedzieć.

Zwrócił się więc niezmordowany Wereszczaka wdychając: „O Jezu najśłodszy“ — do domu Stolzów.

Znać go z okien wcześniej postrzeżono, bo spotkał jéjmość samą na progu, ale dziwnie milczącą i spoważniałą. Weszli do pokoju, nie prosiła go już nawet siedzieć. Na pierwsze pytania zaś poczęła żywo:

— Ja nie wiem prawdziwie, dla czego nas tu wszyscy posądzają, że o tém coś wiedzieć musimy. My ludzie jesteśmy spokojni i do niczego się nie mieszanymy wcale. To jakaś sprawa kryminalna. Człowiek do niej wplątany, zawsze musi odpokutować.... My ludzie spokojni. Proszę pana.... cóż tu badać! państwo się tu niedowiecie nic. Być może, iż w przystępie obłąkania utonęła.... albo z rozpacz....

Napróżno Wojski, mający pewne podejrzenia, z różnych stron zachodził; pani Stolzowa milczącą była i nieprzeniknioną....

Na tém skończyły w Schandau troskliwe dochodzenia Wojskiego; pan Piotr zebrał najdrobniejsze pamiątki dziecięcia swego i żony, pożegnał się z temi izdebkami, które musiał opuścić.... i powrócili milczący do Drezna. Uczyniono tylko tyle, że wszelkiemi możliwemi środkami ogłoszono w okolicy, iż

ktoby wiadomość pewną dał o znikłej pani, otrzyma znaczną nagrodę. Porozlepiano nawet po wsiach sądowe obwieszczenia.

Wojski, dotrwawszy aż do tego kresu, sam już nie wiedział co począć, chciało mu się bowiem powracać do domu, nie mógł Piotra samego porzucić, a ten znowu dopókiby pewniejszej wieści nie otrzymał, z Saksonii wyjeżdżać nie chciał. Wysłano tylko listy do Wojewodzinéj, Wojski do matki stęsknionej szeroko się rozpisał, i siedzieli w Dreźnie znękami.

Kilka dni znowu upłynęło bez wieści, gdy jednego wieczora służący doniósł Wereszczace, iż jakiś Niemiec się o niego dowiadywał i nazajutrz rano miał powrócić. Niechcąc próżnych w Piotrze obudzać nadziei, które łatwo zawiedzionemi być mogły, Wereszczaka nie mn o tém nie powie dział. Z rana tylko nie poszedł jak zwykle na mszę do kościoła i odprawiwszy go czekał. Przed południem zjawił się ów Niemiec, a był nim chłopak z gospody, który znać w nadziei wynagrodzenia zabrał się z kimś na furze do Drezna i przybył, jak mówił z wiadomością, na nieszczęście, bardzo smutną. Odkrył on, że nazajutrz po zniknięciu owéj pani, rybacy nie tylko chnsteczkę znaleźli na brzegu, lecz z wody wyciągnęli drugą jakąś i część ubioru dziecięcia.... Czarna ta nakrywka widziana była na Urszulce, poznali ją Bussowie, i odzyskany ślad ów, na którym widać było znaki, że w wodzie przebywał — przywiózł z sobą chłopak. Jak mógł najprędzej pozbył się go opła-

cając mu Wojski, ażeby się nadechodzący Piotr z nim nie spotkał.

Dla niego nie pozostawało już najnniejszój wątpliwości, iż biedna męczennica, zrozpaczywszy wreszcie, lub dostawszy w istocie obłąkania, o które ją pomawiano, rzuciła się do Elby, mnosząc z sobą dziecię, dla którego sroższego losu na świecie się obawiała.

Piotr poznał, wróciwszy, na zmienionój twarzy przyjaciela, wrażenie bólu nowego, lecz pytać go nie śniął o nic. Uścisnęli się w milezenin, rozmowę ostatnią odłożył Wojski do namysłu, i ochłonawszy dopiero z wrażenia, nazajutrz wywiódł towarzysza do wielkiego ogrodu za miasto, a tam pod lipami żółtkłemi alei, począł go namawiać na powrót do domu.

— Próżne to nadzieje, — rzekł. — my tu już nie dośledzimy nic, ani się nie doczekamy. Gdyby była najnniejsza poszlaka zła czy dobra, ludzie by ją dla zarobku, na który tak są łakomi, przynieśli... Jedźmy do domu i zdajmy się na Opatrzność... Może też Pan Bóg ulituje się nad twoją niedolą...

Piotr milezący słuchał.

— Dobry mój, jedyny przyjacielu, rzekł, wracaj ty, ja cię przez egoizm, dla siebie trzymać tu nie chcę, wracaj do matki. Mnie się chce zostać, ja zawsze mam nadzieję.

— Nadzieję, Piotrku mój, odparł Wojski. i ja bym miał, szczególnież w miłosierdziu Bożém, gdyby wy-

roki Opatrzności nie były dla nas nieprzeniknionemi tajemnicami. Skłonić trzeba czoło przed niemi. Nie chciałbym cię smucić, odbierając nadzieję, lecz mój Piotru, mnie ta nieszczęsna chmsteczka tkwi w pamięci i przeraża. Pobożna, cierpliwa, święta niewiasta, takim prześladowaniem, niewolą, cierpieniem bez nadziei, czyż nie mogła być istotnie przywiedzioną do rozpacz, do szaleń, do chwilowego obłąkania i czyż w takiej chwili nie mogła z dzieckiem rzucić się w rzekę?

— Mój drogi Wojski, rzekł po namyśle Piotr, nie przeczę, że ten nadmiar nieszczęścia jest możliwy, lecz powiem ci rzecz jedną. Marya od dzieciństwa miała dwie świętości, których się nigdy, na chwilę nawet nie pozbywała, które nosiła zawsze, a jednak na taką śmierć ponieść ich nie mogła. Była to książka od nabożeństwa jój matki i relikwiarz ojca. Tych dwojga nie znalazłem w jój mieszkaniu, a powiedz mi sam, czy kobieta idąca się topić z rozpacz, mogła by je zabrać z sobą?

— Ja tylko obłąkanie przypuszczam, a w takim stanie, Jezu najśłodszy, możliwe wszystko.

Piotr zmilczał.

— Nie, zawołał, ona żyje! ja czuję, że gdyby jój na świecie nie było już, umrzeć bym też musiał.

Ścisnęli się milczący.

— Jedź ze mną, powtórzył Wereszczaka, jedź. Jeśli Bóg da, że żyje, toć się nam tam zjawi prędzej

niż tu. Przypuszczasz, że uciec mogła? Dokąd-że jeśli nie do wojewodzinój? Pocóż my tu nadaremnie siedzieć będziemy. Wróćmy i czekajmy tam, gdzie się jej chyba najwłaściwiej spodziewać można.

— Lecz jakże by się do kraju dostać mogła? — zapytał Piotr. Wiem na pewno, iż pieniędzy Wit jej nie dawał, klejnotów z sobą nie wzięły, bo i te, pewno dawno sprzedane.

— Słuchaj Piotrku, Jezu najśłodszy, dodał Wereszczaka, a toż cudów dosyć dla ciebie Opatrzność już uczyniła, czemuż nie przypuszczasz, że się i na niej spełni?

Wereszczaka wiedział dobrze, iż taki cud nie był możliwym, lecz cieszył jak mógł Piotra, aby go ztąd wyciągnąć.

— Piotrku, dodał, ja cię już gwałtem zabiorę; jutro pojedziemy pożegnać dwór, Orzelską, Brühla i komu tam podzięka i uszanowanie należy, a potem, drogi przyjacielu, do Bożej Woli. Tam ci będzie lżej i słodziej cierpieć, tam świeże znajdziesz jej ślady.

— Tak, ciemurno dodał Piotr, i jego ślady i zbrodni plamy i ohydne przypomnienia. Przeszłość, którą ona przecierpiała, ocalając dziecię.

— No, to do mnie, do Rachowa, dokąd chcesz jedźmy, lecz opuśćmy już Saksonię. Zdaje mi się, że i dla ciebie z dobrą to będzie, jedźmy.

— Jeśli chcesz, jedźmy, rzekł nareszcie złamany

jakby Piotr, jedźmy, pojedę jeśli nie dla mnie, to dla ciebie.

— Dla kogo chcesz, Jezu najśłodszy, rzekł Wojski, ale trzeba ci jechać, tu cię strawi i zje ta rdza tęsknoty próżniaczęj. Człowiek póki żyw, musi żyć.

Tak skończyli rozmowę, zwolna wracając ku miastu. W drodze, na wielkiej lipowej alei, spotkał ich orszak królewski. Król, następca, jego młoda żona, hr. Orzelska, Rutowski, dwór cały konno, śpieszył na jakąś wynysloną fetę, która się miała odbyć około pałacyku ogrodowego. Twarze te uśmiechnięte, jakby ironią swego wesela, mignęły dwom smutnym wygnańcom. Skryli się w cień lip gęsty, aby ich niespostrzeżono. Ten świetny orszak, był jakby ostatniem stolicy niemieckiej pożegnaniem, wesołej powierzchownie, a smutnej w istocie, bo grożącej ruiną, jak grozi każdy ludzki zbytek i pycha. Wśród tej wytwornej rozrzutności, szeptało coś o upadku przyszłym, który miał zmieść w rozkoszach ludzi, wziąć bezbronnych. Bezmyślna ta zabawa dni i nocy, poświęconych używaniu, patrzyła już z pewnym instynktownym strachem, na surowe skąpstwo Berlińskie i militarną potęgę Prus. Jeszcze wielka przeszłość saskiego rodu, jakby urokiem czaru osłaniała to gniazdo, a już się uszczuplało dokoła, na czem ono rozłożonem było.

— Jedźmy! — powtórzył idąc Wojski, wspaniale tu, pięknie, modnie, bogato, a w naszych przecież

lasach czuję się zdrowszym i spokojniejszym i szczęśliwszym, a podziwiam ludzi, którzy w tych poduszkach atłasowych żyć mogą.

— Jedźmy więc! westchnął Piotr.

I nazajutrz ruszyli na Wrocław i Szląsk z powrotem do kraju.

XIII. W Rachowie.

Po wyjeździe Piotra z Rachowa, wojewodzina pokoji nie miała, troszcząc się o jego, Maryi i rodziny losy, o to wreszcie, jak się to wszystko rozwiąże. Znając Wita, teraz już lepiej niż kiedykolwiek, nie kryła przed sobą niebezpieczeństwa, na jakie Piotr i żona jego a dziecię narażeni byli. Gdziekolwiek mógł się zatrzymać, a list wysłać, Piotr nie omieszkiał zawiadamiać wojewodzinę o tém, co poczynił. Po listach ze Zdunki, nastąpiły z Warszawy i Drezna. Biedna staruszka w oczekiwaniu tych wiadomości, nieraz późno w noc, wyglądając posłańca na pocztę wyprawionego, zasnąć nie mogła. Panny, dwór, słudzy biegli naprzeciw, wyprzedzając się z oznajmieniem, że posłaniec powracał. Lecz po zauknieciu w więzieniu Piotra i Wereszczaki, długie nastąpiło milczenie, które przeraziło wojewodzinę, a im się przeciągało więcej, tém groźniejsze zdawało się przepowiadać następstwa. Odchorowała niemal te tygodnie milczenia,

Po uwolnieniu swém i śmierci Wita, Piotr długim listem oznajmił wojewodzinie o tém, jak dziwny traf wyrwał ich z więzienia, i dał im nad nieprzyjacielem zwycięstwo. Brakło tylko Maryi i dziecięcia, ale oba pisząc do wojewodzinéj, robili jéj nadzieję, którą sami jeszcze mieli, że potrafią wyszukać ukrytą gdzieś panią Piotrowę. Nawet, gdy się to nie ziściło, Piotr nie chciał donosić ciotce o swém zwątpieniu, i nie pisał nic, nie mogąc nic dobrego napisać. Wojewodzina więc pozostała teraz bez żadnych wieści o siostrzenicy, wszakże dosyć spokojna. Z ostatnich listów przekonana była, że żyła, a ufala w Opatrzność, iż rychło miejsce jéj pobytu odkryć dozwoli. Wszyscy na dworze wojewodzinéj, podzielali tę nadzieję. Listy wprawdzie nie nadechodziły, ale może téż nie stanowczego jeszcze nie zaszło, albo i poczta zawiodła.

Późna już jesień była, lecz w tym roku szczególnie piękna i ciepła. Noce tylko nieco mroźne się trafiały, lecz we dnie kwiatki, jeszcze nawet strzelając spóźnione, żartowały sobie z zapowiedzianej w kalendarzu rychłej zimy. Wojewodzina szukała roztargnienia i zapomnienia, zajmując się swym ogrodem, szpitalem, choremi, szkółką, wreszcie książkami nowemi, które jéj nadsyłano z zagranicy. Kazała układać bibliotekę, którą kapelan numerował i katalogował, sadzono w ogrodzie nowe rabaty, przebudowywano stare mury, a gorączkowe zajęcie tém wszystkiém, najlepiej dowodziło niepokoju woje-

wodzinéj, która nie przyznając się do niego, sama zwyciężyć go chciała pracą. Dwór téż dopomagał z całym przywiązaniem, jakie miał dla niéj; wysiłało się na wyszukanie rozrywek i zajęcia. Z każdym dniem wszakże, niepokój rosnął. Napisała do syna, znajdującego się w Warszawie, aby wieści zasięgnął z Drezna, otrzymała odpowiedź głuchą, nie zaspakajającą, zawierającą z resztą znane jéj już wypadki, mniéj dokładnie tylko opisane.

Nad losem téj biednéj kobiety, która się pod jéj wychowała okiem, płakała po cichu, wyrzucając sobie poniekąd, że jéj wyjść dozwoliła za Zagłobę, lecz możnaż było przewidzieć taką przyszłość, którój żadna ludzka moc odgadnąć nie była w stanie?! W modlitwie, w ulubionym świętym Franciszku Salezym, całą pociechę czerpała wojewodzina.

Długie przechadzki, które powoli, podpierając się na kijku, po ogrodzie i okolicy odbywała, najulubieńszą teraz stanowiły jéj rozrywkę. Zwykle chodziła sama jedna, a jeśli ktoś z troskliwych o nią ludzi, chciał towarzyszyć, szedł z daleka, niepostrzeżony, aby jéj myślenia, modlitwy, a czasem i łez nie przerywać. Jednego wieczora, wyszła tak wojewodzina za zamek, ulicą do niego wiodącą, ku figurze Zbawiciela przy słupie, którą sama wystawić kazała. Piękny, kamienny posąg, zdobiący tę kapliczkę, sprowadzony był z zagranicy i nderzał prostotą pomysłu i wykonania, rzadką w XVIII wieku. Naprzeciw kapliczki, stała kamienna ławka pomiędzy dwiema

lipami, tak, że usiadłszy tu staruszka modlić się mogła. W piątek zwykle zapalano lampę przed Zbawicielem, tak jak w sobotę w drugiej podobnej kapliczce przed Najświętszą Panną. W alei starój było kilka takich stacyj pobożnych. Wojewodzina zasiadała tu i przynosiła w kieszeniach, umyślnie na ten cel do sukni przyszytych, trochę różnego ziarna dla ptaków. Wróble dworskie, że to było nieopodal od zamku, ptastwo żarłoczne, przebiegłe i rozumne, zobaczywszy woje wodzinę, z lipy na lipę przelatywały za nią stadem. i czychały na ten podwieczorek. Zlatywały się niemal do nóg staruszki i czubiły, wyrwijając sobie tę zdobycz. Niekiedy i dzikszys jaki ptak spuścił się od lasu ku tój biesiadzie. Widywano czasem gołębice, czasem ruchliwe sroki, zaglądające, co się tam działo pod lipami. Ulica ta prowadziła tylko do pałacu i zabudowań dworskich, jeździli więc nią tylko ci, co jaką mieli potrzebę.

Wojewodzina właśnie wysypała była parę garści zboża, na które się wróble krzycząc wrzawliwie rzuciły, gdy ncho jój uderzył tentent jakby skromnego włościańskiego wozu. Wyjrzała nieco za gałęzie i dostrzegła w dali coś jakby firkę chłopską. około której czy się co zepsuło, czy koń ustał, bo zdała się zatrzymywać. Staruszka wzięła do ręki książkę pobożną, którą miała w kieszeni, i zaczynała się modlić, gdy usłyszała chód pośpieszny. Zwolna podniosła oczy, i zdziwiło ją, gdy ujrzała kobietę z dziecięciem, która żywo, nie oglądając się, przypadła do

figury Zbawiciela, klęka i z krzykiem, jakby mimowolnie z piersi wyrwanym, rzuciła się na ziemię. Dziecię, które poklęko także, rączkami osłoniło matkę i poczęło cucić ją, całując i łkając. Widok ten niespodzianie tak wzruszył wojewodzinę, iż porwawszy się z ławki, stanęła na chwilę niema, i po rozmyśle dopiero, rzuciwszy książkę podeszła, o ile jej wiek i siły dozwalały, śpiesząc ku nieznajomój, która się zdała omdloną. W istocie, gdy się zbliżyła do leżącej kobiety i dziecięcia, przekonała się, iż była bez czucia, a dziewczynka próżno podnosiła jej głowę bladą, martwą, ze zsiniałemi usty, otoczoną ciemnym, na wpół posiwiałym włosem. Jakież było przerażenie staruszki, gdy wpatrując się bliżej w kobietę, zdało się jej, iż poznaje w niej znienioną i zestarzałą, znędzniałą i schorzałą Maryę.

W istocie ona to była, lecz na chwilę bezprzytomna z radości, jakiej doznała przybywszy nareszcie do tych miejsc znajomych, w których pewną już była schronienia i opieki. Mimowolnie wojewodzinie z ust wyrwał się okrzyk:

— Marya!

Kobieta otworzyła oczy, rozpostarła ręce i rzuciła się do nóg ciotki.

— Jesteśmy ocalone! zawołała, słabnąc prawie znowu.

W pierwszej chwili słów brakło wszystkim, płakały. Urszulka czepiała się sukni matki i staruszki, uśmiech dziecka igrał na twarzyczce zmęczonej.

Szczęściem dla wojewodziny i dla Maryi, która prawie o swęj mocy powstać nie mogła, z jednej strony zjawił się wóz, na którym przyjechała, z drugiej stary sługa, czatujący zdala czyliby pani czego nie potrzebowała. Ten dopomógł podnieść osłabioną, podtrzymał ją, a że do zamku nie było daleko, posadzono Maryę na ławec, dopókiby lektyka lub wygodniejszy powóz nie pośpieszył. Wojewodzina nie śmiała ust na żadne zapytanie otworzyć. Marya nie miała siły nie powiedzieć, prócz: — Bóg wielki, jesteśmy ocalone!

Staruszka po sposobie jakim Marya przybyła, po jej strachu domyśliła się łatwo, iż musiała ujść, nie wiedząc o losie, jaki spotkał Wita, ani o powrocie i życiu Piotra, postanowiła więc ze wszelką ostrożnością przygotować ją do niespodzianych wiadomości.

— Nie śmiem cię pytać jakieś się tu dostała, rzekła wreszcie wojewodzina, Bogu za to dziękuję i proszę cię o jedno, bądź spokojną, bądź pewną, że od téj chwili, wszystkie twoje długie próby i cierpienia są skończone.

Marya rozplakała się znowu.

— Pod twemi skrzydłły, moja droga cioteczko, pewną jestem, że mnie nie dosięgnie ten człowiek, którego muszę mężem nazywać, lecz...

Wojewodzina uczuła, że to nie była pora może uspokajać ją wiadomością o jego śmierci i szepnęła tylko:

— Ani tobie, ani nikomu już on szkodzić nie będzie. Mam wiadomość z Drezna, iż wdał się tam w jakiś sprawy, nie wiem, i został uwięziony.

Marya spojrziała i zamilkła.

— Lecz na miłość Bożą, przerwała szybko ciotka, powiedz że mi, jakim cndem ty, sama z dzieckiem, potrafiłaś się tu dostać? o czém?

— Potrafiłam się tu dostać, odezwała się Marya, a pewno nie potrafię opowiedzieć jak? Sama nie wiem! Miłość dla dziecka, chęć ocalenia go prowadziły mnie. Anioł stróż Urszulki wiódł chyba! ani wiem jak kraj ten ogromny, obcy, straszny przebyć potrafiłyśmy, drzę myśląc, i rzeczywistość wydaje mi się nieprawdopodobną.

Zapłakana Marya westchnęła i mówiła:

— Byłam zamkniętą z dziećciem, a ludzie, co mnie pilnowali, sądzili, że strzegli obłąkanój, nie mogłam bez dozoru zrobić kroku. Byłyśmy na wsi, w rękach ludzi prostych i nie umiejących się ulitować nad nami. Długi czas musiałam udawać uspokojoną, ażeby dozór powoli rozbroić. Szczeręciem, w sąsiednim domu była kobieta mówiąca naszym językiem, a mająca dobrą wolę dopomożenia mi do ucieczki. Przez zagrodę w głębi sadu rozmawiałam z nią, umówiłyśmy się, prosiłam ją o sprzedanie brylantowego krzyżyka i kilku pierścieni, które miałam skrycie zachowane przy sobie. Pieniądze wzięte za nie posłużyły mi do ucieczki. Jednego dnia, gdy gospodarz wyjechał, a jego rodzina usnęła, wyszłam

do ogrodu, w wąwozie blizkim stał już ukryty wóz i człowiek pewny, który wziął na siebie odwiezienie nas do Wrocławia. Dla oszukania tych coby nas ścigać chcieli, dwie chusteczki, moją i Urszulki, rzucano na brzeg rzeki. Niewygodnym wózkiem, w ciągłej obawie pogoni, napaści, rozboju, kradzieży, po drogach okropnych dostałyśmy się do Wrocławia, gdzie mimo strachu, musiałam tydzień odleżeć, abym ja i Urszulka sił na dalszą podróż nabrała. Z kupcem z Wrocławia tak samo, kryjąc twarz, lękając się, aby na wielkich drogach Wit nas nie szukał, dobiłyśmy się do Warszawy. Tu już zabrakło mi wszystkiego, ostatni pierścionek sprzedalam we Wrocławiu, a dniem przed przyjazdem do Warszawy, Urszulka miała trochę mleka i bułki kawałek, ja nie. W Warszawie przypominałam sobie inniona kupców znanych z korespondencyj, kilku osób co w naszym domu bywały, ale tych nie zastałam, a kupcy, którzy mnie nie widzieli nigdy, pod ubogą suknią biednej kobiety, wynędznionej, przeleklej, nie mogli poznać dziedziczki Bożej Woli i siostrzenicy waszój. Wzięto mnie za awanturnicę przybierającą cudze nazwisko. Nie wiem już co by się ze mną stało, byłam prawie zmuszoną o zebrany chlebie iść pieszo, ale mnie strach o dziecię przejmował, choć Urszulka wytrzymywała wszystko z cierpliwością anielską.

To mówiąc, pocałowała ją w czoło, dziecko przytuliło się do niej, a wojewodzina uścisnęła je obie.

— Jakżeś ty na miłość Bożą, rady sobie dać mogła?

— Przypadek, a raczej Opatrzność nastroczyła mi, mówiła Marya, w nędznej gospodzie na Pradze gdzie stałam, człowieka z okolicy niedalekiej Racho-wa. Nie mówiłam mu już kto jestem, bo by mi był nie uwierzył, powiedziałam, że rodzina moja mieszka tu przy waszym dworze, żeni była na służbie nie-szczęśliwej, z której powracam i że krewni za mnie zapłacą, bylebym tu stanąć mogła. Nie wiem, czy słowa zmiękczyły człowieka, który z próżnym wózkiem powracał, wyprzedawszy len i przędzę, którą handlował. Po długim wahanii przyrzekł, że mnie zabierze, karcić będzie i dowiezie za cenę umówioną. Nie targowałam się o nią wcale. To obudziło podejrzenie, musiałam mu dać przyrzeczenie na piśmie. Woźnica mój złym nie był człowiekiem, cheiwym trochę. W drodze Urszulka przypomniała mi własne dzieci, miał więc o nas staranie, o nią szczególniej. Wlokąc się i popasając po dwa razy na dzień, zawsze w śmiertelnym strachu pogoni, ciągnęłyśmy się zmarzłe, często głodne, zmokłe często, aż tutaj. Otucha wstępowała w serce, przybywając w te strony, ale i trwoga rosła, nuż mnie u portu burza dogoni.

— Wszystko szczęśliwie skończone, nie myślmy o tém, zawołała wojewodzina, śpieszno mi was zabrac, abyście po tej męczeńskiej drodze odżyły.

Marya wstała, chcąc iść, ale nogi się pod nią za-

chwiały, sił nie miała, głowa się zawracała, émiło w oczach. Usiadła więc znowu, czekając na powóz, który wkrótce nadjechał. Nieco opodał stał ów nieszczanin z furą i spoglądając na czułe przyjęcie wojewodzinéj, na te nściski, w głowę zachodził, kogo tu przywiózł tak pożądanego. Cała okolica знаła staruszkę, wiedział i on, że to była pani zamku, a że miał przekonanie, że wiozł służę, nie pojmował, jak taka wielka pani tyle dla niéj czulości okazywać może.

W zamku coś się znać domyślano z opowiadań przybyłego kamerdynera, który pewnym nie był, ale mu się zdało, że poznał Maryę. Wszyscy więc, co ją tu pamiętali, których była niegdyś ulubienicą, starsza służba wojewodzinéj wybiegła na ganki i dziedzińce. Okrzykami podziwienia i radości, przywitano wysiadającą, kobiety porwały Urszulkę na ręce, drndzy cisnęli się do kolan nieszczęśliwéj, i spoglądając na twarz wybladłą, na przez pół siwe jój włosy płakali. Wszystko to wtoczyło się za przybyłą do pałacu, a sama wojewodzina traciła głowę, ocierała łzy i ścisła kogo spotkała, wydając tak sprzeczne rozkazy, że ich spełnić nie było podobna.

Stara Wawrzyńska, która jeszcze Maryę na ręku nosiła, pierwsza odzyskała przytomność i pomiarowała, że pokój i odpoczynek, były pierwszą potrzebą dla zbolałéj kobiety. Zaprowadzono więc ją do mieszkania obok wojewodzinéj, a Wawrzyńska

sama wzięła dowództwo nad służbą i natrętów rozpędziła dyktatorską władzą...

Doktor, którego zaraz przyprowadziła wojewodzina, znalazł stan Maryi weale nie zatrważającym, lecz osłabienie wielkie, podrażnienie straszliwe i potrzebę zupełnego odpoczynku ciała i ducha.

Wojewodzina przestrzegła zawczasu ludzi, ażeby o niczem, tyczącćin się rodziny, stosunków, Piotra i śmierci Wita wspominać się nie ważyli. Sama też ani nazajutrz, ani trzeciego dnia, ust jeszcze otworzyć nie śmiała.

Urszulka siłą młodości wróciła rychlój do zdrowia. Marya zdawała się dopiero po kilku dniach czuć tak złamaną jak była w istocie. Gdy gorączkowy niepokój ustał, wszystko odcierpiane odbiło się w nią, i siła ducha, co ją trzymała, upadła, przyszła choroba. Zwolna potćm odzyskiwała zdrowie, które już nigdy w pełni powrócić nie miało. Naostatek, widząc ją nieco lepićj, wojewodzina postanowiła nie ukrywać dłużej przed nią tego, co ją poratować mogło i do życia przywrócić.

Z rana tego dnia, Marya po raz pierwszy mogła przejść do kaplicy, a wróciwszy do swojego pokoju, powierzyła Urszulkę Wawrzyńskićj, zostawszy sama z wojewodzina.

Staruszka pocałowała ją w głowę i siadłszy naprzeciw, odczuwała się powoli:

— Wiele przebyłaś, moja droga Marysiu, ale ci jeszcze dosyć do przebycia zostaje. Wszystko się

szczęśliwie składa, jednak i do szczęścia potrzeba mieć siły, a męstwo.

Marya spojrzała, domyślając się jakiegoś nowego ciosu.

— Mów, kochana cieciu, znosić nawykłam.

— Wit umarł, rzekła najprzod ciotka, patrząc, jakie to na nią uczyni wrażenie.

— Iza potoczyła się z oczów Maryi.

— Niech mu Bóg tak przebaczy, jak ja mu przebaczam.

— Aniele mój, śleskając dodała ciotka, poezciwieś rzekła, niech Bóg mu przebaczy, gdyż wiele na tamten świat poniósł z sobą. Więcej niż ty wiesz, niż się domyślać może święte serce twoje.

— Więcej, nie, rzekła powstając z siedzenia zbłądła i wzruszona kobieta, więcej, nie! Ja wszystko wiem! Jam przeczuła, domyśliła się, odgadła jego zbrodnię, nim w szale i złości sam mi ją na pół wyznał. On był zabójcą mojego Piotra!

To mówiąc, zakryła sobie oczy.

— I ja, dodała, zmuszoną byłam dotykać ręki jego, krwią mego anioła zbroczonój, a milczéć, truchlejąc o życie dziecka, o własne, bo z mojem, jedyną opieką Urszulce by była odebrana. Al! życie moje! dni moje, moje noce bezsenne, to straszne milczenie, wśród którego każdy szelest przerażał, te pijane śmiechy obok, ta twarz zbójcy.

— Nie wspominaj, nie mów, nie dręcz się tém, co przeszło i nie wróci, dodała wojewodzina. Wiedzia-

łaś więc i musiałaś nilezcć, biedna istoto, lecz nie wiedziałaś o wszystkiém jeszcze.

Marya ciekawo odsłoniła oczy.

— Byłóż dla mnie co zakrytego? co czarniejszego jeszcze w tém sercu i na tych rękach?

— Nie, moje dziecko, mówiła zwolna wojewodzina, stosując się do przepisu lekarza, który nagle oznajmić chorój o życiu Piotra nie dozwalał, nie straszniejszego nie było, ale coś lepszego jost, czegośmy się spodziewać nie mogli.

— Prawdopodobnie, dodała, zdaje się, są wiadomości ze Stambułu, że Piotr, cudownie ocalony, żyje.

Z krzykiem porwała się Marya i padła do kolan ciotki.

— Piotr! mój Piotr! anioł mój, żyłby? ja bym go jeszcze widzieć i do piersi przycisnąć mogła? Piotr, ojcice Urszulki!

Nagle wyrazy zastygły na ustach, łzy się rzuciły potokiem, załamała ręce.

— Lecz jakże ja stanę przed nim? jakim czołem podam mu dłoń zwalną? Co on pomyśli o mnie? Godnaż jestem choć nogi jego uścisnąć?

— Na rany Boskie! — chwytając ją, odezwała się wojewodzina, — cożes ty winna? coś winna? Uległaś niegodziwej, podłej przemocy i zdradzie.

— Lecz czyż Piotr uwierzy? A! niech już sobie zabije, pogardzi mną, odepchnie — dodała — ale

niech żyje! niech ja go zobaczę, niech ja mu oddam dziecko, któremu zachowałam życie.

Krzy potoczyły się znowu.

— Powiedz, on żyje? on żyje pewno? on żyje?

Wojewodzina sama rozplakana, z za łez mogła się tylko zebrać na odpowiedź:

— Żyje! żyje!.

Marya uklękła się modlić, widać było, że szukała pokoju ducha w modlitwie. Wstała i pochwyciwszy ręce wojewodziniej, poczęła gorączkowo:

— Kiedy ja go zobaczę? gdzie on jest? Mówcie mi! zaklinam, ja dłużej żyć ani chcę ani mogę, tylko byłoby mi Urszulkę oddać, bo ja, doświadczyła z rodzajem obłąkania, ja jej ocaliłam życie. Ona była przez niego też na śmierć przeznaczona.

— Jakto? targnął by się na życie niewinnego dziecka?

— Dziecię to stało na drodze, nienawidził je jak przypomnienie swój zbrodni. W pierwszych latach tego nieszczęsnego pożycia, zmuszał nas do siadania razem do stołu. Na chwilę z oczów nie spuszczałam Urszulki, sadzałam ją zawsze przy sobie. Raz wysłał mnie w czasie śniadania po coś. Niezwykły ton, jakim się odezwał do mnie, niezwykle żądanie, tknęło przecuciem jakimś, idąc, wzięłam z sobą dziecko. Z za drzwi, zaraz po wyjściu naszym, spostrzegłam, że w kubek dziecka wsypał coś pośpiesznie. Wróciłam w tej chwili, cała drżąca. Wszedł służący. Byłam gniewną tak, iżbym się nie jego,

ale stu oprawców nie ulękła. Kazałam przyprowadzić psa z podwórza. Gdy się to działo, siedział niemy, przerażony, jakby schwytyany na uczynku. Odprawiałam przez sługi i dałam przy nim psu napój, od którego skonał w konwulsjach.

— Zbójco, rzekłam mu, widzisz, że cię odgadnąć potrafiłam. Trucizny mnie dać możesz, ale strzeż się tknąć tego dziecka. Pójdę, przebiję się, wydaję cię katom, zburzę lud, każe cię związać i sama świadczycę będę przeciw tobie.

Odszedł, nie mając siły odpowiedzieć mi słowa, od tego dnia nie siadłam z nim do stołu, nie dałam się zbliżyć do siebie i do dziecięcia. Nie przypomniałam mu wypadku, ale czytał jego pamięć w oczach moich.

Wojewodzina nie chciała pytać, aby nie wznawiać bólów już przysypanych mogiłą. Umiłkły obie.

— Mów mi pani! a! mów, Piotr żyje! gdzie jest Piotr?...

Nie mogła już dłużej nie tać przed nią staruszka i opowiedziała wszystko.

Tegoż samego dnia wyprawiono sztafetę do Drozna, która już Piotra i Wereszczaki nie zastała.

XIV. Zmartwychwstanie.

Podróż Wojskiego z panem Piotrem przeciągnęła się dość długo; nie mieli się czego śpieszyć tak bardzo, a Zagłoba obawiał się raczej niż pożądał zobaczyć znówu te miejsca, w których tyle różnych wspomnień, bolesnych soreu zostawił. Zatrzymali się dni kilka w Warszawie, potem Wojski zażądał od pana Piotra, ażeby z nim zajechał do Zdunek do matki i tam sobie odpoczął. W drodze, chociaż nie śmiał jeszcze całej prawdy, jakiej się domyślał, powiedzieć przyjacielowi, przygotowywał go ciągle do tego, iż Marya i dziecko zapewne nie żyją. Piotr milczał, lecz dopóki najmniejszą mógł mieć nadzieję, trzymał się jój z norem, który Wojskiego czasem dziwił, a niekiedy do pewnej przyprowadzał niecierpliwości.

Tak dojechali do Zdunek i siedli tu odpoczywać, bo Wereszczaka chciał matce nagrodzić długie roz-

stanie. W okolicy, a więc i tu jeszcze o powrocie Maryi nie wiedziano.

Po kilku dniach, staruszka za woławszy do siebie syna raz, odezwała się do niego:

— Ale ty, moje serce, źle robisz, że tu Piotra trzymasz... to mu tylko przedłuża ból i mękę. Niechby raz powrócił do Bożej woli, począł się ze swoim położeniem oswajać i pracować na nowe życie. Cóż to z tego będzie?... że się przeciągnie, co nieuchronne. Jam mu bardzo rada, ale rozum i przyjaźń tak dyktują.

— To dobrze — odpowiedział Wojski — ja go wstrzymywać nie będę, ale też namawiać do podróży nie mogę.

— Ale bardzo rozumiem — rzekła Stolnikowa — tylko za pierwszym razem gdy zażąda do Bożej Woli, ofiaruj się z nim jechać, odprowadź go, a potem, choćby powrócił, to już nie, niech się powoli oswaja....

Wojski uznał słuszność tych uwag, bo na boleść jest zawsze tylko jedno ludzkie lekarstwo; — praca, zajęcie, spojrzenie śmiałe położeniu, choćby najstraszniejszemu, w oczy. Nazajutrz był piękny dzień jesienny. Wojski, któremu się stęskniło za polowaniem, zapraszał do lasu, było wypatrzone gniazdo wilków i szczenięta już spore.

— Nie mam serca do myślistwa — rzekł Piotr — nie mam go do niczego, — nie mam ochoty w las jechać, a przyznam ci się, że i rusznicy się boję, bo

mi patrząc na nią przychodzi wielka pokasa w łeb sobie wypalić.

— Na miłość Bożą! — zawołał Wojski — chrześcianinowi żeby takie myśli mogły przystępować do głowy. Wstydź się — pluń na czarta, przeżegnaj się i — ot, jedźmy do lasu.

Mówię ci — odparł Piotr z pozornym spokojem — nie mogę.... Ta myśl samobójstwa tkwi we mnie tak, że mi się jój obronić trudno. Czasem sam na sam pozostać się lękam, gdy pistolety na stole.

— Jezu najśłodszy — przerwał Wojski — dali pan chce mi się gniewać na ciebie i zburezyć! To szatańskie są myśli. Zawsze uczeiwy człowiek znajdzie co robić na świecie. Grzeszna myśl, głupstwo po prostu — ale tak gnijąc i rozpaczając, a nie biorąc się do czego, można istotnie oszaleć.

— A cóż robić? — spytał Piotr.

— Cokolwiek bądź robić, byle coś robić.

— Mówże mi co, byle nie polowanie, bo ja na rusznicę patrzeć nie mogę — powtórzył Zagłoba

— Alboż ja wiem? — Jedźmy gdzie, przynuszę się do ludzi, samotność ta gubi, do mnie nawykłeś, ze mną już jesteś jak sam z sobą.

— Dokąd-że pojechać? chyba do Wojewodziniej — spytał Piotr — mam ochotę.

— Teraz nie, Wojewodzina się spłucze będzie lamentować i po wszystkiém, trzeba mężnie życiu zarzucić w oczy.

— No, to cóż? — zawołał Piotr — chyba mi każesz do Bożej Woli?

— Powiem ci całą prawdę.... nie byłbym od tego — rzekł Wojski. — Raz trzeba tę chwilę smutną przebyć, lepiej przedź, niż później. Pojedziemy, ja ci służę — wrócimy jutro....

Piotr się zawahał, głowa mu na piersi opadła.

— Jak ja tam pojedę! jak ja tam mogę pojechać! — zawołał. — Właśnie na progu tego domu, co widział szczęście moje, a dziś mego nieszczęścia ma być świadkiem — w łeb bym sobie strzelił.

— A wiesz, Piotrek! Jezu najśłodszy! — krzyknął Wojski — będę się chyba gniewał. To po prostu fiksacya! Wojna z Panem Bogiem!....

— No, nie gniewaj się — rzekł Piotr, łagodnie ściskając go — jedźmy, róbmy co chcesz. Dopóki z tobą, nie zrobię głupstwa, potem.... a no — nie zaręczam! — dodał. Jużci nie przeczę, że to fiksacya, ale są chwile, gdy człowiekowi sił nie staje.... gdy....

— No — no — no! dosyć. Jezu najśłodszy — ja tego słuchać nie chcę — zawołał Wojski.

— Każ podać konie.... wiesz co, ja widzę że ciebie korci, ty na miejscu usiedzieć nie możesz.... na polowanie jechać nie podobna mi.... chcesz ze mną do Bożej Woli — dobrze! Ale nie na wozie! potrzebuję, żeby mnie koń złamał. żebyś się strząsł, zmęczył....

— Zgoda! jadę konno! pięć mil czy coś, nie straszna rzecz. Dam ci bułanka sam wezmę karego, jedźmy.... ale cóż ci szkodzi, że za nami charty pobiegną...

— Niech sobie biegną — odparł Piotr.

— Pomknij się kusy, albo i co starszego.... niech się pobawią.

Piotr nie już nie odpowiedział.

Od czasu jak mu się przyznał pokusy samobójstwa, Wojski na chwilę już postanowił go nie opuszczać.... Nie poszedł więc koni dysponować, posłał chłopaka i krokiem nie ruszył z pokoju. Wiszące strzelby i pistolety natychmiast nie mówiąc powyręcał. Konie przywiedziono w kwadrans, Wojski nawet ze Stolnikową nie poszedł się pożegnać, dosiedli koni i ruszyli.

Drogi kawał był spory, a że wyruszyli około południa, mimo że oba konie miały doskonałego kłusa, nie można się było spodziewać stanąć w Bożej Woli przed wieczorem. Pora ta nie na rękę była Wojskiemu, wołałby był przybyć tam we dnie, lecz niepodobna już było zmienianie projektów. Dzień dosyć piękny sprzyjał przejażdżce, ale psy nie miały co robić, bo droga szła większą częścią lasami, — wlokły się więc za końmi, sznurkując tylko kiedy niekiedy po krzakach. Piotr mileżał uparcie, nawet na pytania Wojskiego nie odpowiadał. Posłyszawszy go mówiącego, zwracał głowę, pytał jakby nie rozumiejąc i na powtórzone pytanie ledwie głową skinął.

W miarę jak się zbliżali ku Bożej Woli, pogrążeni e to stawało się co raz widoczniejszém, okiem obłąkaném wodził do koła.... konia wstrzymywał, obawiać się zdawał przyjazdu tego....

Zmierzehło zupełnie, gdy wyjechali z ostatniego ostępu leśnego, po za którym wieś i dwór widać było. Dojeżdżając z téj strony, dom stary, ogród, budowy gospodarskie przedstawiały się najprzód oku na tle drzew. Lecz teraz trudno to było rozpoznać.

Wojskiego uderzyła jedna rzecz, która mu się dziwną wydała, połowa domu była mocno oświetlona, okna wszystkie wyraźnie się malowały na ciemnych drzew gąszczach. Znać, że i Piotra to uderzyło, odwrócił się do Wojskiego i spytał go głosem urywanym suchym:

— Czy dałeś znać, że będziemy?

— Ja? Jezu najśłodszy! ani mi się śniło, rzekł Wojski, po co? na co? Zresztą i sposobu bym nie miał? wyjechaliśmy nagle, a gdybym posłańca pehnął, nie wyprzedził by pewnie naszych koni, nawet dojeżdżacz na kozackiej kobyle.

— Cóż to jest? służba się znać weseli! z gniewem rzekł Piotr, rezydenci pana rotmistrza balują. Wiesz zawołał z gniewem, lepiej wróćmy, bo tę szuję batem wygonię, co oni mi z téj trumny mojej robią?

— Ale czekaj-że! stój! Jezu najśłodszy! niewiadomo kto i co? nie burz się zawczasu.

— Jak że się nie mam burzyć! któż mi tam śnieć gospodarzyć! jestem wściekły! drzę z gniewu!

— A wiesz co, to mieliśmy po co jechać? odparł Wojski. Stój!

Piotr stanął.

— W istocie i ja nie mam ochoty, rzekł, wejdź w moje położenie, w tej chwili gdy ja próg tego nie-szczęśliwego domu mego z religijném uczuciem mam przestąpić, posłyszę jakąś może bachanalię tych urwisów.

— Dalipan, nierozumiem, nierozumiem, mruczał Wojski, to dla mnie nie pojęte. Nie ważyli by się, słyszeli pewnie o twoim powrocie. W tém jest jakaś zagadka, ja bym, przyznam ci się, pojechał przodem, ale cię samego w tej chwili nie zostawię.

— Masz słuszność, zawołał Piotr, jedźmy i wielkie szczęście żeśmy pistoletów nie wzięli, byłoby niebezpieczeństwo.

Koń pana Piotra niecierpliwie, czując stajnię, zaczął się rwać. Zagłoba miał go puścić, Wojski stanął w poprzek drogi.

— Czekaj, rzekł, daj mi słowo wprzód, że się nie dopuścisz żadnej gwałtowni, cokolwiek bądź zastaniemy, ja na siebie biorę uprzątnienie się z winowajcami.

— No, jedźmy! zawołał Piotr, smutek zabił gniew. Cóż mnie to obchodzi, wszakże rozbójnicy godują na cmentarzach! Bóg z niemi! Sprawa to Boża!

W milezeniu powoli zbliżali się ku dworowi. Co raz wyraźniej jaśniały te okna domu w połowie przez Maryę zajmowanój. Oba wlepili oczy w nie, a Wojski z bijącym sercem Pana Boga prosił, ażeby oszczędził męki i zgrozy Piotrowi. Hałasu we dworze nie słychać było wcale, cisza dziwna, tylko około stajen widać było parę powozów, jak gdyby świeżo wyprężonych.

— No! wiesz co, rzekł Wojski, ja już ochłonałem i tyś się zgniewał darmo, ktoby tu śmiał ucztować? Rzecz prosta, zdaje mi się, że wojewodzina być musi. Powozy stoją przed stajniami.

— Ja to też widzę, odezwał się Piotr, sądząc także, iż zacna staruszka instyktem tu przybyła na ten dzień. Na sercu mi lżej.

— A widzisz, zawołał Wojski, weselój nieco. nigdy nie trzeba, Jezu najśłodszy....

Niedokończył już, bo w mroku ujrzał oczy Piotra wlepione z rozpaczliwym wyrazem w ten dom, usta miał ścięte, ręce mu drżały. Konie rwały się do ganku, minęli most. Piotr popędził bułanego, i zsunął się z siodła osłabły, padając na schody gankowe.

— Na miłość Bożą! siły, męztwa, rzekł Wojski podnosząc go nieco, chodź, chodź, wojewodzinę zastaliśmy, widzę ludzi w jój barwie, chodźmy.

Trudno zaprawdę opisać scenę, która nastąpiła.... niema, dziwną, długo niezrozumiałą dla tych, którzy wchodzili tu z rozpaczą w sercu i nie mogli zrazu nwierzyć oczom własnym. Piotr stał w progu drżą-

cy, zobaczył wojewodzinę, która siedziała w krześle patrząc ku drzwiom otwierającym się, przy niej złotowłosa dziewczynka, odwróciła także głowę patrząc z ciekawością i trwogą, na ukazujące się w progu postacie jakieś nieznane. Marya z przeczuciem, zerwała się ku drzwiom, w téj chwili Piotr zobaczył ją, rzucił się ku niej i pochwycił ją w objęcia, z krzykiem, w któryin łączył się jęk, radość razem dźwięczały. Urszulka przerażona podobieństwem tego nieznanego jój człowieka do rotmistrza, 'widząc, że pochwycił matkę, lękając się biedz jój na pomoc, z płaczem przycisnęła się do babki, tuląc głowę na jój kolanach. Wojski ze wszystkich był najmocniój może tknięty, bo pogrzebł w sereu te, które tu widział żywem, zalał rękę i wołał:

— Jezu najśłodszy! najśłodszy Jezu: co ja widzę?

W łązy rozpląnęło się to połączenie i nierychło otworzyły się usta, sąż słowa na takie chwile i uczucia? Bolesna przeszłość, której każdy dotknąć się obawiał, stała jeszcze widmem między niemi.

Nierychło ośmielona Urszulka podniosła oczy i poczęła się 'wpatrywać w ojca, dostrzegając wreszcie, że to nie był ten sam człowiek, którego się tak lękała. Łagodny uśmiech jego ją przyciągnął, matka była pośredniczką, zwolna, z obawą zbliżyła się ku niemu, lecz gdy się odezwał i usłyszała odmienny dźwięk głosu, gdy ostatnie wspomnienia wywołane rysami twarzy uleciały, przylgnęła serdecznie do oj-

ca. Uroczysta była to chwila, choć smutna mimo szczęścia jakie z sobą przynosiła, wojewodzina rada była dowiedzieć się szczegółów, sądziła bowiem, że list jój sprowadził Piotra.

— Listu, rzekł spytany, nieodebraliśmy żadnego, bośiny znać wprzód opuścili Drezno nim nadszedł. Aż do przestąpienia tego progu, niewiedzieliśmy, że Marya była ocalałą, oplakaliśmy ją, a Wojski przynajmniej najmniejszej nie miał nadziei.

— Jakżem mógł najmniejszą zachować, przerwał Wereszczaka, który ciągle łzy jeszcze ocierał. Z Schandau przysłano mi chusteczkę czarną Urszulki i było mniemanie powszechne, że pani Piotrowa z dzieckiem razem utonęła. Przygotowałem Piotra do tego ciosu, a Jezu najśłodszy! mnie tylko wiedzieć, jak zostałem wystraszony, gdy mi się przyznał, że życie chciał sobie odebrać....

— I niewiele do tego brakło, odezwał się Piotr zawstydzony, żebym był zbrodnię tę i niegodziwość popełnił i rozpaczy. Wstrzymywałem się, mimo najokropniejszej pokusy, ścigającej dniem i nocą. Zdejmowałem kilka razy strzelbę z kołka i siła jakaś anielska z rąk mi ją wydzierała.

— O mój Boże! — zawołała Marya, a mogłażbym ja żyć naówczas!

— W całej historii nieszczęść naszych, — dodał Piotr — i najcięższe losu próby i największe Opatrzności łaski były widoczne. Zawsze w chwili ostatniej, gdyż już niknęła nadzieja, przychodziły siły

niewidome na pomoc. Wszakże oba z Wojskim, za staraniem nieprzyjaciela, udani za szalbierzy i samozwańców przed królem, byliśmy wsadzeni do twierdzy w Koenigsteinie, gdziebyśmy zamrzeć i zgnić łatwo mogli, jak inni nasi, gdyby nas osobliwszy wypadek nie ratował.

— Osobliwszy i śmieszny, dodał Wereszczaka, bo gdyby kasztelan Niemira nie był się nieco szorstko o hr. Orzelskiej wyraził, nie wiedząc że ona przy nim stoi; jeszczebyśmy pokutowali w tych lochach.

— O tém wszystkiém, rzekła Wojewodzina, my niewiedziałyśmy nic.

— Ani o tém, uśmiechając się i obracając do żony, dodał Piotr, że ja pod oknami domu byłem, gdyś ty więziona siedziała w Dreźnie, pono ostatniego wieczora twojego tam pobytu. Widziałem Urszulkę widziałem zdala twarz twoją, serce mi biło. Wtém nagle w oknie ukazał się... on.

— I zobaczyłem cień człowieka pod drzewem, i strwożyłem się, podejrywałem, a nazajutrz wywiózł zamtąd, szepnęła Marya.

— A! dosyć tych wspomnień ohydnych, przerwał Piotr, dosyć, zapomnijmy, przebaczmy i odżyjmy życiem nowém.

— Mnie także staréj, rzekła wojewodzina, daliście życie nowe... bo mi teraz jaśniej i nie tak samotnie na świecie...

We łzach i rozmowie upłynęła chwila zaledwie, gdy błyskawicą rozchodząca się po dworze, po wsi

i okolicy wieść o powrocie Piotra, ściągnęła tłumy ludzi. Co żyło, biegło go oglądać, witać, winszować, a ci co patrzyli na niewolę Maryi, wielbili Opatrzność, która ją wyratowała. Dano znać Piotrowi, że gromady stoją w dziedzińcu; drzwi się otworzyły i stary Panas wszedł z czapką w rękę, rozradowany padając mu do kolan.

— Paneńku, wychodźcie do swoich, tam gromada na was czeka, niech że się i oni pocieszą.

W istocie, mimo ciemnej już nocy, dziedziniec był pełen, ganek, schody. Wynieść kazano światło, zapalić kagańce i Piotr z żoną, Urszulkę wiodąc za rękę, wzruszony wyszedł naprzeciw tłumowi, witany okrzykami radości.

Stary arendarz, żyjący jeszcze dworsey dawni ciniśnili się do pana Piotra. Z dawnych rezydentów, którzy zawczasu pomyśleli o sobie i zwinawszy węzółki, pouchodzili każdy w swoją stronę, nie było nikogo... Improwizowana uczta zakończyła ten dzień, którego końca tak trwożliwie wyglądał zacny pan Wojski... Nawykły dzielić wszelkie swe, szczęśliwe szczególnie przygody ze starą matką, Wereszczaka nie miał nic pilniejszego, nad wyprawienie tejże nocy posłańca do niej z oznajmieniem o niespodzianém szczęściu i z prośbą, ażeby mu przysłało brykę, strzelby i psy, bo zaraz nazajutrz miał w tu-tejszych lasach zapolować. Łowy te wszakże nie przysły do skutku, dzień to był bowiem uroczysty jeszcze, który starodawnym obyczajem rozpoczęto

w kaplicy od dziękczynnego nabożeństwa. A że musiano posyłać po księdza, i po drodze także posłaniec Wereszczaki rozgadał o powrocie do dworu obojga państwa z Bożej Woli, cudowna ich historya rozeszła się wnet po całym bliższém i dalszém sąsiedztwie. Co żyło więc tylko znajomych dawniej, przyjaciół, sąsiadów, jakby sobie słowo dali natychmiast jechać do Bożej Woli. Już poczawszy od południa, powozy, wózki, konni ściągali się do dworu z powinuszowaniami, a prawdę rzekłszy i z niezmierną téż ciekawością posłyszania, dowiedzenia się coś z ust własnych ocalonego cudownie pana Piotra. Nawet szanowny sędzia Dzierżyński i owe trzy godne córki jego, które tak czuła przyjaźń łączyła z nieboszczkiem Wittem Zagłobą, dowodząc, że się zawsze brzydziły tym człowiekiem, przybyły z tatkiem winszować pani Maryi. Sędzia miał szczególnież na widoku, że się tam przy ogólnej radości téj, bez dobrze zastawionego stołu i wytrawnego wina obejść nie mogło. Córkom jego pilno się było wytłómaczyć, że chociaż nieraz uczestniczyły w ohydnych zabawach rotmistrza, zawsze to czyniły ze wstrętem i wielkiém politowaniem nad losem samej pani. Na widok tych gości, którzy jój bolesne przypominali chwile, jakkolwiek uprzejma i grzeczna pani domu, cofnęła się z widoczném oburzeniem na bezwstydy, z jakim tu przybywali. Panny znalazły w tłumie z kim się zabawić, a sędzia wiedziony brzękiem szkła, z nśmieszkiem poszedł ku butel-

kom, i przy nich zajął sobie miejsce, o resztę się nie troszcząc. Napróżno go potem córki, widząc zimne przyjęcie, jakiego doznały, usiłowały wyciągnąć z domu tak niegościnnego. Dzierżyński dotrwał, póki sobie dobrze nie podchmieleł i dopiero wówczas dał się wyprowadzić.

Naostatku najinniej spodziewanemi zdziwieni zostali odwiedzinami, zwłókł się bowiem, poczuwając do obowiązku, stary pułkownik Szwałbiński, korzystając z folgi, jaką mu dała pedogra, w towarzystwie Cockiusa i licznych dworzan, aby złożyć hołd, a razem wytłómaczyć się przed Maryą, iż jej obronić nie umiał. Bolało go to niezmiernie, iż rotmistrz potrafił go tak w pole wyprowadzić i dopełnieniu rycerskiego obowiązku przeszkodzić.... Przyjęcie pułkownika dość było trudne i zdałby się na ten raz sędzia Dzierżyński, wyręczył wszakże Wereszczaka, który się do każdego humoru, Jezunajśłodszy! umiał zastosować. Odprowadził go z hajdukami do przeznaczonych pokojów, w stanie błogiego zapomnienia o ziemskich troskach *quod erat demonstrandum*.

* * *

Powieść byłaby skończoną bez wątpienia, gdyby nie jedna plotka, której choć nikt nie dawał wiary, wszakże, że się po świecie snuła, sumienny historyk wspomnieć o niej musi. Pan Piotr widział sam w więzieniu zsiniałe i ostygłe ciało bratanka, inni lu-

dzie byli przy składaniu go do trumny. Wprawdzie nikt tam tak bardzo twarzy nieboszczyka się nie przypatrywał, a najmniej biedny Piotr, dla którego była wstrętliwą. Śmierć jednak tego człowieka, nie zdawała się już ulegać najmniejszej wątpliwości. Majątek, jaki sobie w sąsiedztwie Bożej Woli nabył, przypadał spadkiem na Piotra, ten jednakże się go zrzekł i wiedzieć o nim nie chciał. Okazało się jednak, że na kilka miesięcy przed wyjazdem, sprzedał go już nieznanemu szlachcicowi, z innych stron przybyłemu. Zapomniano o Wicie i mało kto po cichu tę krwawą a straszną opowiadał historię, o której dla pocziwój rodziny zapomnieć chciano. Panu Piotrowi szło z Bożą pomocą wcale nieźle; przybył na świat po roku synek, potem córeczka, gospodarstwo się wiodło i, że wszystkiego wspomnienie czas zaciera, przebyte nieszczęścia powoli się zapominały. Oba z Wereszczaką polowali po okolicach, odwiedzali sąsiadów, a nieraz i dalsze przedsiębiorali wycieczki. Wojski się jakoś ożenić nie mógł, staruszcze matce jego bardzo to było bolesnem, chciała koniecznie póki żywa pobłogosławić synową, i wiedzieć syna szczęśliwym. Prosiła więc nieustannie Piotra, aby go swatał i żenił.

— Już bo widzisz, że doszedł do tego wieku, w którym się człowiek sam nie żeni, zaopiekuj że się nim, wybierz mu dobrego rodu dziewczynę, niech sobie będzie i ubogą, byle krew pocziwa i serce szlachetne...

Wziął to do serca Piotr, lecz z Wojskim bardzo było trudno, zrazu lgnął do każdej panny, a gdy przyszło do oświadczyn, kobierca, obrączek, znajdował tysiące powodów zwłoki i zawsze go ktoś podkupił. Niby to potem żałował, a w rzeczy rad był może, iż się jeszcze raz upiekło. Piotr wszakże nie zwątpił i obiecawszy stolnikowój, urząd swój dziewosłębi gorliwie spełniał. W kilka dobrych lat po opisanych wypadkach, napisała któraś z przyjaciółek stolnikowój, dając jej znać o dorosłej córce państwa Mostowniczowstwa Onuszków, natenczas mieszkających okolo Berezy Kartuskiej. Zachwalała ją w liście bardzo i zapraszała Wojskiego, aby z przyjacielem jechał, a ona téż tam przybędzie i już się tak wezmą tym razem, aby im panienka nie uszła. Miała piękne dwie wsie w posagu a i o kapitałach mówiono i sperandy na spadkach po matce były znaczne. Panna była piękna, a wychowana jak nie można lepij, i właśnie takiego charakteru, jak dla Wojskiego było potrzeba.

Naparł tedy Piotr pana Wereszczakę:

— Jedźmy!

Nie było rady, musiał, bo i matka pomogła, a matki słuchał zawsze. U Mostowniczowstwa Onuszków, znaleźli serca przygotowane ku łaskawemu konkurenta przyjęciu, sam jegomość życzył sobie téj kolligacyi najmocniój, bo stolnika kochał i kolegował z nim w kilku komisjach i familię znał a cenił. Panna nieco się zawahawszy, trzeciego dnia okazała iż przeciwko konkurentowi nie nie mia-

ła. Przeciagniono pobyt u Onuszków zabawami, myśliwstwem, wycieczkami w sąsiedztwo, aby niezbyt prędko przyszło do oświadczyn, a Wojskiemu znów niedać uciec. Ukartowano bardzo zręcznie wszystko tak, że Wojski wzięty w te sieci, ani się opatrzył, jak go zapędzono w matnię. Nastąpiły oświadczyzny, zaręczyny, intercyzja pod zakładem znacznym, żeby się Wojski cofać nie myślał i ślub naznaczono w zapusty następujące, choćby już nawet wyprawa nie była gotową.

Po téj zwyciężkiej kampanii, Wojski powracał z Piotrem razem, dosyć szczęśliwy, bo panna mu się podobała niezmiernie, ale zarazem, jak wszyscy starzy kawalerowie, gdy słodką ową złotą wolność utracić mają, marnotny, iż jarzmo, choćby miękkie i wygodne, wdziać przyjdzie. Na noc jakoś tak wypadło, że stanęli w Berezie. Nazajutrz, gdy rankiem w dalszą drogę ruszać przyszło, Piotr, który był bardzo pobożny, rzekł: — A jużciż na mszę pójdziemy!

— A jakże, chodźmy — rzekł Wojski.

Poszli tedy, wysłuchali mszy jednej i drugiej, dopiero na progu kościoła powiada Wojski: — No, to jużby się godziło i pustelnię obejrzyć, bom jój w życiu nigdy nie widział.

Nie bardzo się śpieszyli.... poszli więc do furty. Tu zawsze uprzejmie bardzo witano i wspaniale ugaszczano przybyłych; klasztor był bogaty i po książęcemu wyposażony. Ciągnęła ku niemu ciekawość,

bo tak surowej reguły nie wiele było w kraju klasztorów.

Jeden z braci przeznaczony ku temu, ukazywał zwykle gościom klasztor, domki, ogródki i co tylko było ciekawego. I tym razem nie odmówiono podróżnym wstępu. Milczący młody człek, nie wiele ich słowy objaśniając, śpiesząc się jakoś, przeszedł z nimi część ogrodu i pustelni. Wojski zapytał, czyliby choć jednego domku obejrzeć bliżej nie mogli, a stali właśnie przed jednym z nich, — przewodnik wprowadził... Wejrzeli najprzód przez kraćaste okno do małej kapliczki... Właśnie przed ołtarzykiem klęczał zakonnik.

Głowę miał spuszczoną tak na piersi, iż twarzy cale widać nie było, ręce na piersiach skrzyżowane... mimo szelestu, który usłyszeć musiał, nie podniósł ani oczów, ani z rozmyślenia dał się wyrwać... Wychudła głowa ta, ogolona cała, oprócz wianka krótkich podsiwiałych włosów, była prawie trupią czaszką, tak kości wszystkie, ledwie suchą a żółtą ociągniętą skórą, wystawały z niej, niby siecią siną poplątane wydatnemi żyły. Ręce téż, z których jedna była widoczną, zdawały się trupiami, tak białe, a raczej woskowo-żółte wyglądały.

! Nie chcieli przerywać rozmyślenia, i stali cicho goście, ale to obezwładnienie człowieka, którego dusza gdzieś indziej krążyła — może w sferach niebieskich. u stóp mistycznego krzyża, uczyniło na nich tak głębokie wrażenie, iż mimo lekkich oznak

niecierpliwości oprowadzającego ich braciszka, długo się ruszyć nie mogli.. Zakonnik, który nie drgnął nawet wśród tego rozmyślania, westchnął potem głęboko, wznosił ręce obie do góry, głowę ku niebu i oczy zwrócił, i padł krzyżem na stopnie ołtarza. W tym ruchu mignęła twarz równie straszliwie wychudzona, zniszczona, trupia a żółta jak czaszka.... mignęła i znikła... Oba z Wojskim ujrzeli ją i w jednej chwili krzyknęli razem, ale krzyku tego stłumionego natychmiast, zakonnik nie zdawał się słyszeć, ni wiedzieć o nim... nie drgnął, nie podniósł się, nie okazał najmniejszego znaku, iżby ten głos go doszedł, a braciszek natychmiast śpiesznie ich ztąd uprowadził. Na pytania potem, ktoby był ów zakonnik, odpowiedział im, że tu nazwisk nie noszą pokutujący dobrowolnie... Wszystko co ze świata przyniesli z sobą, zrzucają na progu....

Mimo to pan Piotr chodził do przełożonego jeszcze, usiłując się dowiedzieć o tym zakonniku, lecz i tu zaspokajającego żadnego objaśnienia nie otrzymał. Przeor grzecznie go zbył tém, iż kłauzura pokrywa przeszłość i imiona, pochodzenie i wszelkie ze światem stosunki, a reguła zabrania na pytania odpowiadać. Jednakże po chwili przy śniadaniu, które podać kazał i na które prosił, zrzecznie chciał wybadać pana Piotra i Wojskiego z kolei, dla czego się o tym zakonniku wypytywali. Zagłoba wytlómaczył się tém, iż go uderzyło dziwne, a zapewne przypadkowe twarzą podobieństwo. Na tém

się skończyło, powrócili oba do gospody, ale pan Piotr zrazu chciał w Berezie pozostać, gdyż czemu i Wojski nie przeczył, zakonnik tak był podobny do Wita, iżby przysiadz można, że jego, a nie kogo innego widzieli.

Sami się z siebie śmieli, boć przecie umarli z grobu nie wstają, a Wit niezawodnie umarły był i pogrzebiony, — ale to podobieństwo tak ich złudziło, tak zmieszało, iż długo sobie z niém rady dać nie mogli. Spóźniło to wyjazd z Berezy nieco, wszakże opamiętawszy się, ruszyli, opędzając dziwnéj téj myśli, a raczéj, jak sądzili, urojeniu. Długo wszakże pan Piotr widzenia tego zapomnieć nie mógł, i znalazł w niém pobudkę modlenia się za duszę nieszczęśliwego bratanka.

W lat dziesięć potém gdy i ta przygoda była zapomniana zupełnie, odebrał pan Piotr list od przeora Kartuzów, ażeby, gdy mu zręczność dozwoli był łaskaw kiedy klasztor odwiedzić, dla poufnego rozmówienia się z nim w pewnej sprawie. List ten przywiodł na myśl Zagłobie widzenie owo w pustelni i niebawem pośpieszył do Berezy, nie mówiąc nawet nikomu dokąd jechał i po co. Przeorem był już inny zakonnik. Po krótkim wstępie, gdy sam na sam zostali, Przeor wyjął ze stolika pismo i odezwał się do Zagłoby.

— Było życzeniem pobożném jednego z naszych braci, aby po zgonie jego, dano o nim znać panu i proszono o pamięć za duszę nieszczęśliwego. Brat

Biblioteka Raczyńskich

JIK 47



JIK0047